

Dorota Ostrowska

NO TO PIEKNIKE



Dorota Ostrowska

No to pięknie

część czwarta

© Copyright by Dorota Ostrowska & e-bookowo
Projekt okładki: Sebastian Bukowski

ISBN 978-83-7859-319-5

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2014

Pamięci mojej Matki

Duszyczka obudziła się, ale nie otwierała oczu, udając nawet przed sobą, że jeszcze śpi. Bardzo lubiła tę porę, kiedy wszystko wydawało się możliwe, a świat witał ją ponownie w swoich progach, pytając czego by sobie dziś życzyła i wydawał się gotowy te życzenia spełnić. Zrobiła w myślach szybki przegląd sytuacji i nadal wszystko wydawało się z grubsza w porządku i na właściwych miejscach.

Leżała w jedwabnej pościeli w głównej sypialni rezydencji Azazela w samym sercu piekła. Obok siebie czuła ciepło swego diabelskiego kochanka i poczuła dreszcz podniecenia. Całe zaświaty zastanawiały się nad wzajemną fascynacją Duszyczki i Azazela i gdyby sama miała powiedzieć co ją w nim tak pociąga, nie umiałaby udzielić logicznej odpowiedzi. Rozum nie miał z tym nic wspólnego i nawet początkowo protestował przeciwko ich związkowi, ale ciało wiedziało swoje.

Kącik ust Duszyczki podniósł się nieznacznie w uśmiechu zadowolenia, kiedy przypomniała sobie ich pierwsze spotkanie przed jaskinią Dezyderiusza i reakcję swego ciała, które było gotowe biec ku niemu wbrew logice. Już wtedy, zanim jeszcze jej dotknął, wiedziało, że to jest ten mężczyzna, o jakiego chodzi i dziś, po blisko czterech latach, nadal kochała go całą sobą. Uczucie

ograniczające się tylko do serca wydawało się jej w tym przypadku głęboko niewystarczające.

– Nie udawaj. Wiem, że nie śpisz, bo masz tę swoją minę kota, który się dobrał do śmietanki – powiedział Azazel, czubkami palców głaszcząc ją delikatnie po ramieniu. – Tylko czekam, kiedy zaczniesz oblizywać wąsy.

– Nie nabierzesz mnie, nie mam wąsów. Witaj, moja śmietanko – zamruczała, przysuwając się i przytulając policzek do jego ramienia.

Odkąd wróciła z kliniki, z trudem wyrwana niebieskim, którzy przymusowo wcielili ją do nieba i rozdzielili z Azazelem, diabeł trzymał ją pod silną strażą w swojej rezydencji w sercu piekła. Kiedy protestowała przeciw, jej zdaniem, grubo przesadzonym środkiem bezpieczeństwa, odpowiadał krótko, że to niezbędne, ale nie wyjaśniał, dlaczego. Czuła, że coś przed nią ukrywa, jednak nie widziała sposobu, by wydusić z niego prawdę. Sprawa musiała być poważna, skoro od miesiąca spędzał z nią wszystkie noce leżąc obok i obserwując ją podczas snu. Diabły nie śpiają, tylko pracują na okrągło, więc te codziennie wyrwane siedem lub osiem godzin z pewnością negatywnie odbijało się na jego obowiązkach, jako prawej ręki Lucyfera.

– Będę musiał niedługo iść, ale opowiedz mi, co robiłaś na ziemi, kiedy mnie uwięziono.

– Mówiłam ci już sto razy – zmarszczyła nos z niechęcią.

– Zawsze z przyjemnością cię słucham.

– Już mi od tego niedobrze – mruknęła, zaciskając usta. Jeszcze przed chwilą świat był piękny, a teraz nadszedł kolejny atak powtarzających się od pewnego czasu dolegliwości żołądkowych.

– Martwią mnie te twoje poranne mdłości – powiedział, patrząc spod przymrużonych powiek.

– Puknij się, jakie poranne? One są całodobowe, dopadają mnie o każdej porze, tylko wtedy ciebie tu nie ma, więc nie wiesz. To te cholerne frytki od Lardena. Smażyli je chyba na starym oleju silnikowym i mój biedny brzusek od tamtego czasu nie może dojść do siebie.

– Niemożliwe! To było dwa miesiące temu.

– Od nich się zaczęło.

Odetchnęła głęboko. Żołądek powoli się uspokajał.

– Powinnaś pójść do lekarza. Powiem chłopakom, żeby samochód był przygotowany.

– Nic innego nie robię, tylko latam po lekarzach, odkąd ta larwa Marimar mnie postrzeliła. Uszami mi już wychodzą. O, popatrz – odwróciła się bokiem do Azazela, który udawał, że wyjmuje jej coś z ucha i, trzymając w dwóch palcach, bacznie się temu przygląda.

– To ani chybi ten mały tłuszczoszek z kliniki –

uśmiechnął się pogodnie, ale oczy pozostały czujne, jakby coś nie dawało mu spokoju.

Duszyzka znów poczuła chłód, który od pewnego czasu wkradł się pomiędzy nich. Próbowała wstać, ale diabeł przytrzymał ją silnym ramieniem. Nie wrywała się, bo równie dobrze mogłaby walczyć ze skałą.

– Mów.

Teraz był rzeczowy i nagle bardzo poważny.

– Weszłam wtedy na strych, żeby przez okienko zobaczyć, kto nas odwiedził i dzięki temu kurdupel z uzi mnie nie znalazł. Kiedy poszedł zaminować piwnice, wyjęłam z sejfu pistolet i przeleżałam całą noc pod łóżkiem, celując w drzwi?

– A jak spędziłaś drugą noc?

– Kiedy Lucyfer mnie stamtąd ewakuował do swojego hotelu, zjadłam kolację i zeszliśmy do kasyna. Wygrałam w pokera jakieś kosmiczne ilości pieniędzy...

– To mnie nie dziwi. Powinni ci zabronić wstępu do wszystkich kasyn świata.

– Nie przerywaj mi. Potem zobaczyłam tego gangstera El Grisa, Velar pomógł mi uciec z hotelu, zgarnęliśmy Rożę z ich pensjonatu na godziny i poszliśmy nocować do jej siostry. Następnego ranka złapaliście Velara, więc już od niego wiesz, co i jak.

– Opuuszczasz szczegóły – powiedział, patrząc na nią czujnie.

– Cholera jasna! Daj mi wreszcie spokój!

– A następna noc? – naciskał.

– Dlaczego pytasz tylko o noc? Dni były znacznie ciekawsze.

Patrzył na nią bez zmrużenia powiek, więc ciągnęła dalej.

– Następną noc spędziłam z Lardenem i jego psem, jadąc samochodem na południe do tajnego domu El Grisa. Tam o świcie złapała mnie Marimar i ściągnęła do rezydencji w mieście, gdzie mnie znalazłeś. Zastrześliłeś ją i to było ostatnie, co widziałam, zanim straciłam przytomność. A teraz puść mnie, bo zaraz zwymiotuję na pościel i dołożę roboty nieszczęsnej Felicji.

Azazel niechętnie cofnął ramię i wstał, pomagając Duszyccze się podnieść, choć, jako żywo wcale tej pomocy nie potrzebowała. Opędzając się od niego weszła do łazienki zamknęła za sobą drzwi na klucz. Musiała pomyśleć.

Wiedziała, co Azazelowi chodzi po głowie, bo jej samej też to przyszło na myśl. Było jej niedobrze o różnych porach dnia, czasem rano, a czasem wieczorem, ale rzadko częściej, niż raz dziennie. Kiedy mdłości przechodziły, czuła się świetnie, jeśli nie liczyć osłabienia spowodowanego dużym upływem krwi i długim pobylem w południowoamerykańskiej klinice San Pedro Más Alto, w której uratowano jej życie.

Azazel traktował ją z mieszaniną nieufności i przesadnej troski, co było nad wyraz irytujące. Chciała, żeby sprawy wróciły do dawnego stanu, ale diabeł z jakiejś nieznaney przyczyny zamienił się w skrzyżowanie kwoki z inkwizytorem.

Stanąła pod prysznicem i puściła lodowatą wodę, od której zaparło jej dech. Pójdzie do tego cholernego lekarza i wreszcie się dowie, czy jej podejrzenia są prawdą. Może wtedy wszystkie elementy jej rzeczywistości wskoczą wreszcie na swoje miejsce i świat znów stanie się normalny.

Kiedy po wielu godzinach Azazel wrócił do domu, Duszczyka siedziała w salonie, wpatrując się w wygaszony kominek. Diabeł rozejrzał się dookoła i dostrzegł swoją kobietę skuloną w półmroku na kanapie. Zapalił światło.

– A ty, co tak po ciemku? Felicja! – zawołał, otwierając drzwi do holu. – Proszę napalić w kominku.

– Nie! – zaprotestowała Duszczyka, wstając szybko. – Od tego się mogą zrobić takie brzydkie, czerwone plamy. Moja babcia tak mówiła... że jak kobieta się wpatruje w ogień, to wtedy może... a nie daj Boże na twarzy... taki przesąd, ale nie chcę ryzykować – płątała się.

– Co ty mówisz? Jakie plamy? Od tysięcy lat patrzę w ogień i czy ja mam jakieś plamy? I nie wzywaj przy

mnie Najwyższej Hierarchii – nastroszył się diabeł.

– Bo nie miałeś matki – powiedziała autorytatywnie, jakby to miało mu wszystko wyjaśnić.

Azazel popatrzył na nią z większą troską. Stan umysłu jego kobiety pozostawiał jednak co nieco do życzenia i postanowił szybko zabrać ją na ziemię, zanim jeszcze bardziej jej się pogorszy. Pobyt w piekle zawsze znosiła nie najlepiej, choć paradoksalnie właśnie tu najłatwiej było zapewnić jej bezpieczeństwo.

– Co ma posiadanie matki do plam na twarzy, czy gdzie tam jeszcze? Byłaś u lekarza? – spytał podchodząc do barku. Stał teraz tyłem do niej i nalewał sobie solidną porcję koniaku Mefista. Duszyczka poczekała, aż odwróci się przodem i skinęła głową.

– I co powiedział?

Diabeł wydawał jej się nieco roztargniony, jakby myślami był jeszcze w pracy. Podeszła bliżej i uniosła głowę, żeby widzieć jego minę, kiedy to powie.

– Jestem w ciąży – oświadczyła uroczyście.

Zaskoczył ją spokój we własnym głosie. Miała ochotę tańczyć i śpiewać, wykrzyczeć wszystkim swoją radość, rozwiesić w całych zaświatach ogromne plakaty obwieszczające jej szczęście wszem i wobec. Czekwała kiedy Azazel porwie ją w objęcia i ze śmiechem zakręci wokół, jednak na twarzy diabła odbiły się kolejno zaskoczenie, niewiara i wreszcie wściekłość. Zupełnie nie

tego się spodziewała.

– Z kim? – ryknął, cofając się o krok.

Potrącona butelka spadła na dywan, tłukąc się rozlewając kosztowną zawartość.

– A jak myślisz, z kim? Przecież z tobą – krzyknęła. Oburzenie odbierało jej dech. – Ja się nie szlajam po jachtach z jakimiś blondynkami.

Azazel nie zwrócił nawet uwagi na przytyk, który miał go od razu ustawić na przegranej pozycji. Niemal przewiercał ją oczami płonącymi w wykrzywionej twarzy, marszcząc krzaczaste brwi. Jego wściekłość zdawała się materializować w powietrzu pomiędzy nimi.

– Diabły nie mogą mieć dzieci. Wiesz o tym równie dobrze jak ja. Z kim jesteś w ciąży? – krzyczał i chyba było go słychać aż pod wulkanem.

– Z tobą! – nie pozostała mu dłużna. Cieszyła się z tego dziecka, siedziała w półmroku salonu, myśląc czy to będzie chłopiec czy dziewczynka i do kogo będzie podobne. Miała nadzieję, że do Azazela, z jego smolistymi oczami i drapieżnym uśmiechem. Snuła już dla niego plany na przyszłość, wymyślała zabawy, zastanawiała się, gdzie na ziemi będą mieszkać i do której szkoły je posłać.

Zanim zgodziła się zostać z nim w piekle na zawsze, diabeł uprzedził, że w jej beczce miodu będzie i łyżka dziegciu, bo nigdy nie doczekają się dzieci. Diabły nie

mogą ich mieć z definicji. Diagnoza lekarza była więc i dla niej zaskoczeniem, ale myślała, że może złagodzone zakaz, albo po prostu jakoś to się stało. Może w niebie ktoś czegoś nie dopatrył, bo lekceważenie obowiązków mogło się przydarzyć wszędzie, czy Gabriel im to załatwił w biurze Najwyższej Hierarchii.

Patrzyła teraz w oczy Azazela tak wściekłego, jakim nigdy go przedtem nie widziała i nie spodziewała się, że kiedykolwiek może zobaczyć i ogarniał ją gniew. Nie rozumiała, jak przyszły ojciec może tak reagować na wieść o potomku. Najwyraźniej nie znała go wystarczająco dobrze.

Nie odrywając od niej wzroku diabeł odstawił szklankę na stolik za sobą, zamachnął się i bez jednego słowa otwartą dłonią uderzył Duszczykę w twarz. Cios był potężny. Próbując utrzymać się na nogach cofała się, rozpaczliwie machając rękami, żeby złapać równowagę, aż upadła w tył na miękką sofę. Azazel jednym skokiem znalazł się przy niej, kładąc ręce na oparciu z obu stron jej głowy i pochylając się tak nisko, że prawie jej dotykał. Była teraz zamknięta, jak w klatce, pozostawiona sam na sam z jego wściekłością.

Przez chwilę w grobowym milczeniu patrzyli sobie w oczy.

– Sama doskonale wiesz, że to nie moje dziecko. Z kim spałaś? – spytał wreszcie chrapliwym głosem.

– Z tobą – szepnęła, choć chciała to wykrzyczeć. Cała jej odwaga gdzieś zniknęła. Potworny ból rozsadał czaszkę i sprawiał, że łzy same płynęły z oczu, a szok nie pozwalał jasno myśleć. Chciała dotknąć dłonią policzka, żeby sprawdzić, czy go jeszcze ma, ale oparty nad nią Azazel uniemożliwił jakikolwiek ruch.

– Myślałem, że jesteś inna, uczciwsza od reszty, że po tysiącletniach znalazłem wreszcie właściwą kobietę. A ty jesteś po prostu kolejną małą puszczalską, jak wszystkie przed tobą.

– Mefisto! – zawołała Duszytzka z rozpaczą.

– On ci w niczym nie pomoże. Powiedz, z kim spałaś, bo i tak wytlukę z ciebie prawdę!

– Z tobą – szepnęła tak cicho, że sama ledwie się słyszała. Miała coraz większy problem, żeby cokolwiek powiedzieć. Ból szczęki zdawał się rozrywać jej twarz.

Azazel zamachnął się ponownie. Duszytzka skuliła się na kanapie nie mogąc ani uciec, ani uprzedzić uderzenia. Bała się, że nie przeżyje następnego ciosu i otoczyła rękami brzuch, starając się go chronić. Fakt, że diabeł może jej rozbić głowę, zdawał się drugorzędny. Azazel zawahał się na sekundę, widząc reakcję, której nie oczekiwał i która, jako mężczyźnie, nie przyszlaby mu nawet do głowy.

Drzwi do salonu otworzyły się gwałtownie i Mefisto wpadł do środka, spodziewając się katastrofy. Zatrzy-

mał się na sekundę, jakby nie ogarniał sytuacji i potrzebował chwili, żeby zrozumieć, co widzi. Pochylony Azazel zamarł z podniesioną do uderzenia ręką, a na kanapie kuliła się Duszydzka, której twarz nosiła wyraźny, czerwony ślad odbitej dłoni i nawet zaczęła już puchnąć.

Mefisto skoczył do przodu, łapiąc Azazela za rękę i odciągając w bok, byle dalej od na wprost leżącej dziewczyny.

– Straciłeś rozum? – wysyczał.

– Jest w ciąży. – Azazel patrzył na nią z mieszaniną rozpacz i nienawiści.

– Z kim?

Duszydzka poczuła, że pod nogami otwiera jej się przepaść.

– Mefistofelesie... – zaczęła i urwała. W przeciągającej się ciszy obaj mężczyźni wpatrywali się w nią intensywnie, czekając na rozwiązanie nurtującej ich zagadki. Skoro nie Azazel, to kto jest sprawcą?

Chrząknęła, przełykając łzy i zaczęła jeszcze raz.

– Mówiłeś kiedyś, że jesteś moim przyjacielem.

Mefisto kiwnął głową. Gdyby nim nie był, nie wpadłby tu jak szalony, czując jej wezwanie i rozumiejąc, że sprawy stoją bardzo źle. Nie pomylił się.

– Mam do ciebie wielką prośbę. Czy możesz wejść w moje myśli i powiedzieć Azazelowi, z kim spałam

przez ostatnie, powiedzmy cztery miesiące?

– To ty nie wiesz, kim on jest? – ryknął Azazel, próbując się wyzwolić z żelaznego uścisku.

– Wiem, ale chcę, żebyś to usłyszał od kogoś innego – powiedziała.

– Nawet nie masz na tyle odwagi, żeby sama się przyznać – rzucił pogardliwie.

Duszczyka wzruszyła jednym ramieniem. Ból zaczął się rozprzestrzeniać z twarzy w dół na resztę ciała i każdy ruch lewą ręką stanowił coraz większy wysiłek. Mefisto patrzył w napięciu to na jedno, to na drugie z nich.

– Jesteś pewna, że tego chcesz?

– Tak, bardzo cię proszę.

– A ty? – spojrzał na Azazela. – Zdajesz sobie sprawę, że będę teraz świadkiem tego, co wy dwoje robiliście w łóżku przez te cztery miesiące? Zgadzasz się, że bym to zobaczył?

– Skoro ta mała dziwka się zgadza, to ja też.

Gdyby świat Duszczyki nie zawalił się z hukiem chwilę wcześniej, na pewno runąłby teraz. Czuła łyzy płynące po policzkach z bólu i upokorzenia. To miał być taki piękny dzień, a teraz siedziała na sofie żegnając się ze swoim dotychczasowym życiem i z miłością, która była jego treścią i miała trwać wiecznie.

– Usiądź spokojnie i zamknij oczy. Nie ruszaj się

i nie odzywaj, póki nie skończę.

– Dlaczego?

– Pamiętasz jak wszedłem do twojego umysłu, gdy uciekałaś, próbując ratować Bazylego? Wtedy sprawdziłem tylko jedną myśl, a teraz muszę przeczesać cztery miesiące z twojej pamięci. Będziesz miała wrażenie, że mózg rozpada ci się na kawałki, bo faktycznie tak będzie. Potem poukładałam wszystko powrotem, ale muszę mieć spokój, żeby nic nie poprzestawiać. To niebezpieczna operacja i musisz mieć tego świadomość. Czy nadal chcesz, żebym wszedł w twoje myśli?

– Będę wdzięczna.

Było jej wszystko jedno, co się z nią stanie i czy zwa-riuje od tego, czy nie. Jej życie straciło sens. Dzielnie próbowała się uśmiechnąć, ale opuchlizna sprawiła, że podniósł się tylko jeden kącik ust, nadając jej twarzy drwiący wyraz. Azazel wpatrywał się w nią intensywnie i wyglądał, jakby miał ochotę splunąć.

– Zamknij oczy. Im mniej bodźców, tym lepiej. – Mefisto usiadł obok Duszycki na sofie, biorąc ją za rękę. – Zaczynamy?

Leciutko kiwnęła głową, walcząc z bólem. W tej samej chwili jej umysł rozsypał się, jak klocki roztracone przez psotne dziecko. Myśli wirowały bezładnie, a na powierzchnię wypływały jakieś rozmazane obrazy i znikły, zanim zdołała je zidentyfikować. Co jakiś czas

wyraźnie ukazywała jej się scena miłości z Azazelem. Do tej pory lubiła je wspominać i zawsze wtedy czuła przyjemne motylki w żołądku. Teraz sprawiały niemal fizyczny ból. Jęknęła w proteście, ale Mefisto łagodnie poklepał ją po dłoni, mrużąc coś uspokajająco. Karuzela w jej głowie zdawała się trwać w nieskończoność, aż wreszcie zatrzymała się i świat zaczął wracać na swoje miejsce.

– Skończyłem. Możesz otworzyć oczy.

Duszczyka starała się to zrobić, ale próba skończyła się częściowym niepowodzeniem. Lewa połowa twarzy spuchła jej tak bardzo, że mogła patrzeć tylko jednym okiem. Znowu poczuła mdłości i chwiejnie podniosła się z sofy.

– Niedobrze mi. Muszę iść do łazienki. – Miała wrażenie, że jej własny głos dochodzi gdzieś z bardzo daleka.

– Nie chcesz patrzeć mi w oczy, kiedy usłyszę prawdę? – spytał Azazel. – Nie jesteś ciekawa, co Mefisto mi powie?

Duszczyka zatrzymała się w pół drogi i odwróciła w stronę Mefistofelesa.

– Mam nadzieję, że powiesz mu prawdę.

Nie była w stanie wymówić imienia Azazela.

– Przysięgam na piekło i Belzebuba, że powiem mu prawdę, chociaż nic z tego nie rozumiem – mruknął

Mefisto. – Ale czy on mi uwierzy, to inna sprawa.

– Dziękuję ci, Mefistofelesie. Jak zawsze jesteś dobrym przyjacielem.

Usta Azazela zacisnęły się w pełną dezaprobaty kre-skę.

Nie zwracając na niego uwagi, Duszczyka odwróciła się na pięcie i na uginających się nogach wyszła do holu. Był pusty i jak zwykle pogrążony w czerwonym blasku wulkanu, wpadającym przez wysokie, podłużne okna. Podeszła do drzwi wejściowych i zawahała się. Potem zdecydowanym gestem sięgnęła do szyi i rozpięła naszyjnik z różowych brylantów – pierwszy prezent od Azazela. Odkąd go dostała, miała go zawsze przy sobie, nawet jeżeli nie na szyi, to na kostce lub chociażby w kieszeni. Traktowała go tak, jak kobiety zazwyczaj odnoszą się do ślubnej obrączki. Nie rozstawiała się z nim nigdy i jako jedyną biżuterię zabrała ze sobą, kiedy uciekała na Wysypisko. Był widowym symbolem ich związku i przypominał jej o miłości. Delikatnie pogłaskała brylanty czubkami palców.

– Żegnajcie. Nie mogę was zabrać. Nie jestem już kobietą Azazela.

Rzuciła naszyjnik na marmurowy stolik przy drzwiach i przeszła przez próg. Brylanty ześlizgnęły się z gładkiego blatu i spadły na podłogę.

Duszczyka wyszła na dziedziniec i po raz ostatni ro-

zejrzała się po swoim dotychczasowym świecie, który trwał, pozornie zupełnie niezmieniony. W poświęcie wulkanu wszystko wydawało się lekko różowe i nawet żółtawe latarnie na ogrodzeniu nie były w stanie tego zmienić. Sztuczne rośliny ustawione w kompletnej katastrofie zwanej szumnie ogrodem będą od dziś cieszyły inne oczy. Przed zamkniętą, żelazną bramą stało kilka samochodów, a obok ziewał znudzony strażnik z karabinem na ramieniu.

– Otwieraj – rzuciła przez ramię, poświęcając diabłu akurat tyle uwagi, co pyłkowi na rękawie. W obecnym stanie ducha nawet całe piekło nie byłoby w stanie jej zatrzymać. Ostrożnie starła łyzy z policzków, podeszła do wielkiej czarnej terenówki Azazela, wsiadła i odruchowo zapięła pasy.

Strażnik wahał się zaledwie przez sekundę. Azazel uprzedzał ich tego dnia, żeby przygotować dla pani samochód. Było oczywiste, że, jak zawsze, weźmie limuzynę z kierowcą. Na terenówkę szefa nie zwracała wcześniej uwagi, ale widać zmieniała zdanie. Znał kobiety władców piekła i już dawno zauważył, że w przytłaczającej większości były aroganckie, zepsute i wredne, a nawet jeśli na początku nie były, to wchodziły w rolę szybko i gładko. Ta zapewne nie stanowiła wyjątku i nie zamierzał ściągać sobie na głowę kłopotów. W sumie, co za różnica, czym ta suka będzie jechać? Bez słowa

protestu sięgnął do pilota i żelazne skrzydła bramy zaczęły się rozsuwać.

Świat zewnętrzny otworzył się przed Duszczyką, która ruszyła ostro, naśladowując styl jazdy Azazela. Im dłużej diabli będą sądzili, że to on gna przez piekło, jak zwykle z zawrotną prędkością i nie poświęcając nikomu uwagi, tym dla niej lepiej. Włączyła długie światła i dodała gazu, a mijani po drodze skazańcy i diabły pierzchali na boki.

Nie wiedziała, dokąd chce dojechać. Nie miała żadnego planu na dalsze życie i było jej obojętne, co się wydarzy. Chciała się przede wszystkim oddalić z miejsca, w którym spotkało ją największe zło, jakiego mogła się spodziewać. Mając przed sobą najbardziej pierwotny wybór między walką, a ucieczką, decydujący o przetrwaniu milionów istot, które żyły przed nią, wybrała ucieczkę, jako opcję w obecnej sytuacji bezpieczniejszą. Nad tym, co chce robić później, nie zastanawiała się zupełnie, byle mogła wraz z dzieckiem schronić się gdziekolwiek przed niepojętą wściekłością Azazela.

Straciła poczucie czasu. Jechała prosto, dalej i dalej. Droga, początkowo równa i dobrze utrzymana zaczęła się pogarszać w miarę zbliżania się do peryferii. Pojawiły się w niej dziury, a z czasem asfalt został zastąpiony zwykłym brukiem. Duszczyka jednak nawet nie próbowała zwolnić.

W pełnym pędzie wjechała na szczyt niewielkiego pagórka. Tuż za nim w jezdni ziała spora wyrwa. Zobaczyła ją w ostatniej chwili, bo zapuchnięte oko, które nie chciało się otwierać sprawiło, że widziała wszystko płasko i miała problemy z oceną odległości. Na równej gładkiej drodze w centrum nie stanowiło to większego problemu, tym bardziej, że i tak wszyscy uciekali jej z drogi. Teraz ostro zahamowała, jednocześnie skręcając kierownicę, ale spóźniła się o ułamek sekundy.

Samochód gwałtownie szarpnął, gdy przednie koło wpadło w głęboką dziurę, a potem przechylił się na bok i upadł, by wreszcie przekoziółkować na dach i zjechać w dół po stoku. Duszycka słyszała własny krzyk pośród zgrzytu i chrzęstu gnieczonego metalu. W końcu fontanny pryskających na boki iskiei zgasły, wirujący świat zatrzymał się, a ona wisiała do góry nogami w rozbitym aucie, zastanawiając się, czy jeszcze żyje.

Wokół panowała cisza. Nikt nie biegł z krzykiem w jej stronę i żadna diabelska twarz nie ukazała się w rozbitym oknie. W przyływie paniki odpięła pasy i z wysiłkiem wyczołgała się na zewnątrz. Za wszelką cenę chciała się wydostać, przekonana, że za chwilę auto wybuchnie. W filmach akcji zawsze tak było. Pełzła, zdzierając sobie łokcie i kolana, byle dalej, nie zważając na elegancką sukienkę, coraz bardziej brudną i podartą. Kiedy wreszcie uznała, że oddaliła się wystarczająco,

usiadła i rozejrzała się dookoła w krwistym półmroku.

Samochód zsunął się w zagłębienie terenu, potłuczone światła zgasły i z drogi z trudem można go było wypatrzeć, chyba, że ktoś wiedział, czego szuka. Przez jakiś czas na pewno nikt go nie zauważy, tym bardziej, że miejsce nie było nadmiernie uczęszczane.

Duszczyka siedziała, próbując zebrać siły, ale nie była w stanie podnieść się na nogi. Przyjrzała się sobie w poszukiwaniu plam krwi, poruszała stopami i dłońmi, sprawdzając czy nie są złamane i wreszcie wzięła głęboki oddech. Wydawało się, że oprócz siniaków i lekko krwawiących otarć nie odniosła poważniejszych obrażeń. Postanowiła posiedzieć chwilę na tym odludziu i odpocząć, bo nie wiedziała jak długo jeszcze przyjdzie jej iść. Miała nadzieję, że jej poszukiwania nie zaczną się szybko, o ile w ogóle.

Objęła rękami brzuch i oparła się o jeden z rozrzuconych gdzieś gładkich głazów, gdy doleciał do niej okropny smród. Podniosła głowę i czym prędzej zamknęła jedyne sprawne oko. W mroku jarzyło się kilkanaście żółtych ślepi. Wokół niej ciasnym kręgiem tłoczyły się ghule – śmiercionośne demony pustyni. Kiedyś uratowała przed zagładą z rąk Władcy piekła sześć ostatnich, zaklętych w złote kamienie. Nosila je wtedy po kieszeniach i w staniku, myła je i spała z nimi na jednym posłaniu, czego nikt od zarania świata dla nich nie robił.

One z kolei wybawiły ją od zemsty Belzebuba, wybierając właśnie ją na swoją panią. Niepojęta dla całego piekła przyjaźń trwała do tej pory i Duszczyka była jedyną istotą, która ze śmiechem bawiła się z nimi, jakby to były szczeniaki. Diabły bały się ich i unikały jak ognia, bo najłżejsze zadrażnienie skóry przez paskudne żółte kły raz na zawsze zmieniały nieszczęśnika w demona. Ghule wyczuwały cudzy strach, co wyzwalало w nich agresję i koło się zamykało.

– Moje pieski – szepnęła. – Moje kochane pieski. – Wyciągnęła do nich ręce.

Przewodnik stada, całkowicie pozbawiony nawet właściwej ghulom namiastki ogona, utraconej zapewne w jakiejś walce o prymat, przysunął się i powoli polizal ją po twarzy, tam, gdzie trafiła ręka Azazela. Ku zdziwieniu Duszczyki, ból się zmniejszył. Objęła ghula ramionami, przytuliła policzek do śmierdzącej sierści i rozplakała się głośno.

Mefistofeles podszedł do barku i bez pytania nalał sobie solidną porcję koktajlu Mołotowa. Uniósł szklaneczkę w górę i poprzez szkło patrzył na Azazela.

– Mów wreszcie. Z kim spała? – warknął Azazel, nie mogąc znieść czekania. – Muszę wiedzieć, kto to jest, a potem zrobię z nim porządek.

– Nie zrobisz – Mefisto uśmiechnął się drwiąco i po-

ciągnął łyk ze szklanki.

– Założysz się?

– Chętnie – przytaknął energicznie. – Otóż twoja kobieta, o ile jeszcze się za taką uważa, spała z tobą i tylko z tobą.

– Nie kłam! – krzyknął Azazel. Mefisto nie był zaskoczony, słysząc w jego głosie nie tylko ból, ale i nadzieję.

– Nie kłamię. Przysięgłem jej na piekło i Władcę, że powiem prawdę i mówię, co zobaczyłem. Jedyne sceny, nazwijmy to romantyczne, były z tobą w roli głównej. Też tego nie rozumiem, ale dziecko jest twoje.

– Czy ten twój wariograf można jakoś oszukać?

– W żaden sposób.

Azazel zmarszczył brwi, czując nieśmiałą nadzieję, a jednocześnie bojąc się dopuścić ją do głosu. Przerazenie tym, co zrobił zdawało się materializować i chichotać mu za plecami.

– Nie wierzę w niepokalane poczęcia.

– I słusznie. Ludzkość zna tylko jeden taki przypadek i nic nie wskazuje, żeby miał się powtórzyć.

– Chodźmy pogadać z tym lekarzem.

Mefisto skinął głową i dopił swój koktajl. Chwilę później po obu mężczyznach pozostał tylko niknący pośrodku salonu wir powietrza.

Kiedy Duszczyka wreszcie przestała płakać w psią

sierść, poczuła się troszkę lepiej. Policzek bolał ją mniej, a żal za utraconą miłością znalazł przynajmniej chwilowe ujście w łzach. Otarła policzki i odsunęła się od przewodnika stada, który podczas jej wybuchu rozpaczy stał nieruchomo, jakby wszystko pojmował i wiedział czego dziewczyna od niego oczekuje. Rozejrzała się wokół jeszcze nie całkiem przytomnie. Ghule otaczały ją ciasnym kręgiem i gdy zrozumiała, co widzi, gwałtownie zerwała się na nogi.

– Ile was jest? Przecież... – urwała, licząc wpatrzone w nią bestie. – Było was sześć, a teraz... – Znów próbowała zorientować się ile ich jest, ale nie umiała skoncentrować wzroku. Z pewnością co najmniej drugie tyle demonów wpatrywało się w nią fosforyzującymi, żółtymi oczami.

– Pamiętaj, żeby się nie bać – powiedziała do siebie, z trudem przełykając ślinę. – Nie ma czego. To tylko psy. W końcu, co mogą ci jeszcze zrobić złego, czego nie zrobił Azazel?

Na wszelki wypadek podniosła z ziemi kamień i odwróciła się do przewodnika stada.

– Zaprowadź mnie do granicy – powiedziała, starając się brzmieć władczo. – Muszę stąd wyjść. Nie zostanę w tym cholernym piekle ani minuty dłużej, niż muszę. Pilnujcie, żeby nikt do mnie nie podszedł, a jakby się znalazł jakiś bohater, to jeśli o mnie chodzi, możecie

go sobie nawet zjeść.

Nie wiedziała, co chce dalej zrobić, ale wydawało jej się najistotniejsze, by jak najszybciej uciec poza zasięg długich rąk Azazela i zapewnić dziecku bezpieczeństwo. Potem coś wymyśli. Zrobiła krok w stronę drogi.

W kompletnej ciszy, sześć ghuli ustawiło się wokół niej w luźny krąg, ale pozostałe ani drgnęły tylko otworzyły pyski, prezentując długie kły. Ślina kapiała im na ziemię. Duszyczka spojrzała na przewodnika stada, dziwiąc się, że toleruje taką niesubordynację, ale ten tylko patrzył wyczekująco.

– Chcesz powiedzieć, że sama mam na to zapracować? Dobrze. Skoro tak musi być...

Spojrzała na najbliższej stojącego psa, który obnażył kły.

– Jak się będziesz tak szczyrzył, to w końcu ktoś ci da w zęby – powiedziała niezyczliwie i rzuciła trzymanym w ręce kamieniem.

Z tej odległości nie sposób było chybić, nawet jeśli celowało się patrząc tylko jednym okiem. Kamień odbił się od skołtunionej sierści i upadł na skałę z metalicznym brzękiem, ale Duszyczka nie poświęciła mu uwagi. Natychmiast schyliła się po dwa kolejne i rzuciła je raz za razem. Trafiony nimi ghul niechętnie cofnął się o krok, a widząc, że dziewczyna znów się schyliła, odszedł i dołączył do kręgu. Pozostałe tkwiły bez ruchu.

Obolała i zmęczona Duszczyka czuła rosnącą irytację spowodowaną koniecznością walki i zbyt dużą, w jej opinii, zwłoką. Nie myśląc o swoim bezpieczeństwie i tym, że ghule z łatwością mogły ją roznieść na strzępy, tłukła je z regularnością dobrze utrzymanego kałasznikowa. Przy każdym kolejnym rzucie miała nadzieję, że to już ostatni kamień, ale nowe ghule z ociąganiem i dopiero po kilku trafieniach uznawały jej przywództwo i dołączały do kręgu. Ostatni, widząc swoje osamotnienie, nie zamierzał prezentować światu swojego bohaterstwa, tylko z podkuloną namiastką ogona uciekł i schował się za resztą.

Duszczyka była umordowana i wściekła. Usiadła ciężko na kamieniach, dysząc z wysiłku i starając się zebrać siły do dalszej drogi. Czuła się słaba i chora, a mdłości znów powróciły, sprawiając, że mimo bólu zacisnęły się jej szczęki.

– Głupie kundle, czy to nie mogło poczekać? Dlaczego akurat teraz muszę wam pokazywać kto tu rządzi i że to ja jestem samcem alfa? – Rozejrzała się wokół i wzruszyła ramionami. – Nie mam nawet siły i ochoty, żeby zabrać całe to złoto ze sobą. Na co mi ono? Niech się ktoś ucieszy.

Kiedy człowiek pokonał ghula w walce wręcz, przedmiot, którym go dotknął zamieniał się w złoto i teren wokół Duszczyki był zasłany złotymi kamieniami. Chętnie

nie oddałaby całe skarby tego świata za trochę zimnej wody. Żołądek znów zwinął jej się w kulkę i oddychała głęboko, starając się go uspokoić.

Demony powoli ruszyły w górę po stoku, nosami po-naglając dziewczynę do podjęcia wędrówki. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że w wypadku zgubiła buty. Może eleganckie pantofelki na obcasikach nie stanowiły wymarzonego obuwia do wędrówki przez piekło, ale byłyby lepsze niż nic. Obejrzała się przez ramię i machnęła ręką. Przeszukiwanie kamienistego pagórka w gęstym półmroku byłoby pracą z góry skazaną na porażkę. Trudno, będzie musiała dać sobie radę tak, jak jest. Kiedy wyjdzie na drogę z pewnością będzie łatwiej – pocieszała się, ostrożnie stawiając stopy na kamieniach.

Eskenezer siedział w koszarach Azazela, pogrążony w papierkowej robocie. Coraz bardziej rozdęta biurokracja doprowadzała go do szału, a konieczność poprawnego sporządzenia raportów sprawiała, że był gotów zabić każdego, kto mu w tym przeszkadzał. Z tego też powodu informacja o wędrującej po piekle Duszyccie dotarła do niego ze sporym opóźnieniem i tylko dlatego, że sam Azazel nie odbierał telefonów, a jego prywatny sekretarz Neferes, powszechnie zwany Dupkiem, siedzący na ciepłej posadce w rezydencji, jak zwykle nie umiał nic załatwić.

Diabeł, który przyniósł dyżurnemu dyspozytorowi tę wiadomość okręcił się na pięcie i zniknął w korytarzu, zostawiając go sam na sam z trudną decyzją. Dyżurny nie wierzył w to, co usłyszał i bał się zwracać do Eskenezera z niepotwierdzoną bzdurą. Niby czemu taka kobieta miałaby iść piechotą i na dokładkę bez eskorty? Dłuższą chwilę kręcił się na krześle, co raz podskakując jak na rozżarzonych węglach. Cokolwiek zrobi, może się okazać zgubne. Telefon od jednego z podwładnych raportującego, że kobieta Azazela faktycznie idzie sama przez piekło i co gorsza sprawia wrażenie, jakby ktoś ją ciut uszkodził, pomógł mu się zdecydować. Energicznie zapukał do drzwi wszedł, nie czekając na krzyk protestu.

Eskenezer podniósł umęczony wzrok znad papierów.

– Jeśli to nie jest naprawdę ważne, to jeszcze dziś wiesz pod wulkanem – zaczął, ale dyspozytor nie dał mu skończyć. Wystrzeliwał z siebie słowa jak karabin maszynowy, byle prędzej, zanim rozjuszony szef czymś go dzieli.

– Od dawna o tym wiesz? – Eskenezer już okrążył biurko i zmierzał do drzwi.

– Usłyszałem przed chwilą – nagiął nieco prawdę dyspozytor.

– Gdzie jest?

– Ostatnio widziano ją na drodze dwadzieścia sie-

dem i wyglądało, że idzie w stronę granicy. Chyba są z nią ghule – zawołał, ale za szefem został tylko wir powietrza, kręcący kurzem i śmieciami z podłogi. Dyspozytor wrócił do siebie, ze schowka na szczotki wyciągnął wiecznie zastrachaną sprzątaczkę i uderzeniem w plecy skierował ją do gabinetu.

– Masz kwadrans, żeby sprzątnąć – zawołał, choć wiedział, że to dużo za mało. Zaśmiał się z zadowoleniem. Jeżeli kobieta nie zdąży, a to pewne, będzie pretekst, żeby ją ukarać.

Azazel stał przed kontuarem recepcji w klinice, do której sam posłał Duszyckę. Nigdy wcześniej tu nie był, bo nadzór nad takimi miejscami w czyścicu nie należał do jego obowiązków. Teraz chciał szybko odnaleźć lekarza, który rozpoznał ciążę u jego kobiety. Musiał poznać prawdę, jakkolwiek by nie była, a jednocześnie się tego bał.

– Kilka godzin temu była tu pewna kobieta imieniem Duszycka. U którego lekarza?

Pielegniarka zajęta wypisywaniem jakichś papierów nawet nie podniosła głowy.

– Nie udzielamy tego typu informacji osobom postronnym – odpowiedziała sucho, aroganckim tonem człowieka, który lubi swoją porcję władzy.

Oczy Azazela zwężyły się niebezpiecznie. Przechylił

się, chwycił za klapy uniformu i jednym szarpnięciem przerzucił kobietę na swoją stronę kontuaru.

– Od kiedy jestem postronny w moim własnym piekle? – wycedził lodowato.

Pielęgniarka patrzyła teraz na niego rozszerzonymi przerażeniem oczami i przeklinała w duchu swoją głupotę. Każdy wiedział, jak wyglądają te najbardziej niebezpieczne diabły, zwane księżętami. Dysponowali nieograniczoną władzą i mogli zrobić wszystko, cokolwiek im przyszło do tych podłych, rogatych łbów, a ona, kompletna idiotka, nawet nie spojrzała, kto pyta. Błada, jak świeżo wyprane szpitalne prześcieradła, jękając się, bełkotała jakieś nieskładne przeprosiny i próbowała zapewniać, że zaraz zadzwoni po doktora, ale Mefisto zręcznie przeskoczył kontuar i ze złowrogim uśmiechem wyrwał sznur z gniazdka.

– Nie chcemy, żebyś go uprzedziła. Zaprowadzisz nas.

Samochód leżał do góry kołami, jak martwy żuk, ukazując światu brudne od kurzu podwozie. Eskenezzer patrzył na trupa ulubionej terenówki Azazela i czuł w żołądku mdlący strach. Strącając kamienie, szybkim krokiem zbiegł po stoku w stronę auta i zajrzał przez rozbitą szybę. Z ulgą zauważył, że w środku nie było ani żywej Duszczyki, ani jej zmasakrowanego w wypadku

ciała. Nie zauważył też żadnych plam krwi, co i tak go nie uspokoiło. Obrażenia wewnętrzne mogą być dla człowieka groźniejsze, niż otwarte rany.

Rozejrzał się pobieżnie dookoła, ale na kamienistej powierzchni nie zostały żadne ślady, tylko obok wraku leżał damski but na niewielkim obcasie. Nie wiedząc właściwie po co, Eskenezer schował go do kieszeni i pociągnął nosem.

Przez zapach wyciekającej na kamienie benzyny przebijał się trupi odór i diabeł w jednej chwili zrozumiał nowe niebezpieczeństwo. Ghule! Duszyczka pojejdzie do nich z ufnością, ale jej władzę nad sobą bez szemrania uznawało tylko te sześć, które uratowała, a przecież stado zwiększyło się ostatnio. Nie wiedział jak bardzo. Czy sześć wiernych demonów będzie na tyle silne, by narzucić swoją wolę pozostałym? Jeżeli kobieta, którą kochał do szaleństwa, choć nie było mu wolno, zostanie zamieniona w demona pustyni, jemu nie zostanie nic innego, jak też dać się ugryźć.

Gnany niepokojem ruszył w stronę granicy, ale za ledwie po kilkunastu krokach zauważył na stoku sporo złotych kamieni leżących wokół dużego głazu. Wyglądało, że Duszyczka stoczyła tu poważną walkę o prymat, ale nic nie sugerowało, z jakim skutkiem. Nie uspokoiło go to ani trochę.

Duszczyka szła na tyle szybko, na ile było to możliwe na niezbyt dobrze utrzymanej piekielnej drodze. Nierówny bruk przez stulecia wygładziły tysiące stóp skaźców i diablích buciorów, dzięki czemu dawało się po nim iść bosó. Niektórych kamieni brakowało i czasami boleśnie uderzała się w palce, kiedy zahaczała o wystające nierówności albo wpadała w dziurę.

Prowadzona przez ghule, szła z pochyloną głową nie rozglądając się na boki. Wiedziała, że zostanie doprowadzona dokładnie w to miejsce, w które chciała i że nikt, no może poza samym Belzebubem, nie będzie w stanie jej zatrzymać. Widziała tylko własne bosa stopy, pojawiające się na zmianę w jej ograniczonym polu widzenia. Lewa, prawa i znów lewa...

Próbowała liczyć kroki, żeby zająć czymś umysł, ale myliła się za każdym potknięciem, aż w końcu dała sobie spokój. Świadomość wyłączyła się całkowicie i Duszczyka szła jak automat, coraz bardziej forsownym marszem, w miarę zbliżania się ku granicy. Niezmordowane ghule bezszelestnie truchtały przy niej w luźnym kręgu, sprawiając, że przypadkowo spotykane diabły czym prędzej znikwały w ciemnościach. Kolejny dzień miał się zacząć dopiero za kilka godzin.

Eskenezer przeniósł się prosto do bramy piekła przy drodze numer dwadzieścia siedem i czekał. Skoro szła

ku granicy, prędzej czy później będzie musiała tu do-
trzeć. Bieganie po piekle i szukanie jej na oślep nie mia-
ło sensu. Jeżeli ghule poprowadziły ją jakimś skrótem,
mogli łatwo się minąć, a tego by sobie nie wybaczył.
Niepokój nie pozwalał mu stać spokojnie, więc cho-
dził w poprzek drogi, czym mocno niepokoił strażnika.
Pierwszy komandos Azazela czekający nie wiadomo na
co nie wróżył nic dobrego dla szeregowych diabłów.
Spodziewający się kłopotów strażnik nie był jednak
w żaden sposób przygotowany na to, co miało za chwilę
stać się jego udziałem.

Idąca z wyraźnym wysiłkiem Duszczyka, otoczona
wianuszkami śmierdzących, groźnych bestii ukazała
się w końcu w pełnym blasku reflektorów zamontowa-
nych przy bramie i wywołała skrajne reakcje. Strażnik
dał nurka do swojej budki, skąd wзираł ostrożnie, ob-
serwując poczynania ghuli i mamrotał jakieś przekleń-
stwa, czy może zaklęcia, mające odwrócić od niego nie-
szczęście. Eskenezer natomiast stanął jak zaczarowany
i bez słowa wpatrywał się w Duszczykę, która zdawała
się nie zwracać najmniejszej uwagi na otoczenie. Szła ze
wzrokiem wbitym w ziemię, obojętna na wszystko, jak
w letargu, aż drogę zagrodziła jej zamknięta na głucho
brama.

– Duszczyko... – zaczął Eskenezer, wstrząśnięty jej
widokiem. Zapuchnięte oko i siniejący policzek nie mo-

gły być obrażeniami z wypadku. Widział już wiele bitych kobiet i te ślady nie zostawiały wątpliwości – ktoś ją uderzył na odlew otwartą dłonią, pozostawiając wyraźne ślady palców. Nie mieściło mu się to w głowie. Kto, skoro pilnowały jej psy i odgoniłyby każdego napaśnika? No, zapewne oprócz Belzebuba, ale gdyby on chciał uderzyć, nie ograniczyłby się do policzkowania.

– Nie próbuj mnie zatrzymać, komandosie. Lubię cię, ale i tak każę psom cię zagryźć, jeśli wejdiesz mi w drogę. Jak każdego innego.

– Widziałem rozbity samochód. Jak się czujesz?

– W ogóle się nie czuję. Otwieraj bramę – zwróciła się do strażnika.

– Duszyczko – zmartwiony Eskenezer wyciągnął rękę i zrobił krok w jej stronę. Ghule natychmiast ruszyły ku niemu, obnażając kły i zaskoczony komandos cofnął się. Duszyczka ze zdziwieniem przyjęła fakt, że Eskenezer może się czegoś bać. Odwołała psy i zajęła się strażnikiem, który zabarykadował się w budce i najwyraźniej nie zamierzał wystawić nosa. Zamknięta na głucho żelazna brama dałaby się pokonać wyłącznie przez podkop, ale na to mogło nie wystarczyć czasu.

– Otwieraj – powtórzyła głośniejszym głosem, nie doczekawszy się jakiegokolwiek odzewu ze strony strażnika.

– Proszę, cię, powiedz mi, co się dzieje. Dlaczego wychodzisz z piekła? – dopytywał się Eskenezer. – Co to

był za wypadek i kto cię uderzył?

Duszyczka spojrzała mu prosto w twarz jedynym okiem, jakie chwilowo miała do dyspozycji.

– Azazel mnie pobił – powiedziała sucho, jakby nie było w niej już miejsca na emocje. Obojętność w jej głosie robiła większe wrażenie, niż gniew czy lament. – Nie zostanę tutaj. Idę do niebieskich i poproszę, żeby mnie znów przyjęli. Nie zatrzymasz mnie, komandosie.

Eskenezer był zdumiony i wstrząśnięty. Czego, jak czego, ale bicia Duszyczki zupełnie się po swoim szefie nie spodziewał. Poczuł gniew, jakby to jego kobietę ktoś sponiewierał.

Widząc brak reakcji strażnika, Duszyczka podeszła do budki i uderzyła w nią pięścią.

– Daj klucz, sama sobie otworzę.

Odpowiedziała jej cisza. Chciała kopnąć w ścianę, ale brak butów skutecznie ją do tego zniechęcił. Czowała jak przyływ frustracji chwytając ją za gardło, bo bała się, że Azazel lada moment ją dogoni i ściągnie z powrotem do rezydencji. Chyba wolałaby umrzeć. Zaklęła paskudnie na cały głos. Ghule zrozumiały to chyba jako ponaglenie, bo przewodnik stada podszedł do budki lekkim truchtem i niespodziewanie dla wszystkich, wbił zęby w narożnik, odrywając spory kawał drewna.

– Otwórz bramę, zanim moje psy się do ciebie dobiorą. Obiecuję, że cię nie drasną, tylko otwórz – perswa-

dowała, jak dziecku, ale nie wystarczyło jej cierpliwości na długo. – Otwieraj wreszcie! – wrzasnęła z furią, kiedy łagodność nie odniosła skutku.

Zamek szczęknął i przez szparę w wychylonych drzwiach strażnik w dwóch palcach podał jej klucz. Gdy tylko go wzięła, natychmiast cofnął rękę i zatrzasnął się w środku z poczuciem ulgi, która sprawiała, że miękły mu nogi.

Duszydzka przekręciła klucz w zamku, pchnęła skrzydło, które otworzyło się, skrzypiąc w proteście i odwróciła się w stronę Eskenezera. Diabeł stał nieruchomo, nie odrywając od niej oczu.

– Żegnaj, Eskenezere. Nie sądzę, żebym miała kiedykolwiek tu wrócić, więc już się chyba nie zobaczymy. Miło mi było cię poznać. – Boląca i spuchnięta twarz sprawiała, że mówiła niewyraźnie.

Eskenezer nagle poruszył się, jakby zdjęto z niego zaklęcie. Zrozumiał, że to pożegnanie, na co absolutnie nie był jeszcze gotowy. Na co zapewne nigdy nie będzie gotowy.

– Idę z tobą. Nie możesz tak całkiem sama... bo przecież ghulom nie wolno podchodzić aż do bramy u niebieskich. Odprowadzę cię – powiedział szybko, zadowolony z pretekstu, jaki udało mu się wymyślić. Chciał za wszelką cenę odwlec chwilę ostatecznego rozstania. Może jakoś mu się uda nakłonić ją do powrotu? Świata

bez tej kobiety absolutnie sobie nie wyobrażał i nie był pewny, czy chciałby w nim żyć.

Szli tak szybko, jak pozwalały obolałe stopy Duszczyki i jej wątły zapas sił, czyli w opinii Eskenezera wlekli się noga za nogą po wyboistej czyścowej drodze. Blask wulkanu powoli gasł w oddali i niebo rozjaśniała tylko zapowiedź świtu, sprawiająca, że chmury przed nimi wydawały się mniej gęste. Jałowe, skaliste wzgórza ustępowały miejsca łagodniejszym pagórkom majaczącym w oddali i mrugającymi na nich gdzieś ogniskami. O żadnych gwiazdach w tym świecie nie było mowy.

Pół godziny później psy zatrzymały się nagle.

– Dalej nie pójdą – wyjaśnił Eskenezera. – Tu jest granica ich działalności.

Duszczyka pożegnała się z demonami, głaszcząc każdego po łbie, czemu diabeł przyglądał się z mieszaniną wstrętu i zdumienia. On sam nigdy by ich nie dotknął, bojąc się, że nawet to mogłoby go przemienić w demona. Pomachała im na dowidzenia i odprowadziła wzrokiem, kiedy nikły w oddali. Teraz była zdana na dobrą wolę swojego towarzysza i nie była tym zachwycona, nie widziała jednak innego wyjścia.

Odmówiła wzięcia go pod rękę, co zaoferował, i bez jednego słowa szli teraz ramię w ramię przez czyściec.

Wszechobecny w piekle bruk przeszedł w zakurzoną polną drogę z koleinami i wąskim pasem zwiędłej trawy pośrodku. Na bosaka dużo łatwiej wędrowało się po piasku i Duszczyka przyspieszyła. Eskenezer dostosował się do jej tempa.

W zaświatach wstawał kolejny ponury dzień i robiło się coraz jaśniej.

– Zombie. Apokalipsa zombie – powiedziała nagle Duszczyka i uśmiechnęła się krzywo, jedną stroną twarzy.

Eskenezer gwałtownie rozejrzał się dookoła w poszukiwaniu zagrożenia, ale w zasięgu wzroku nie było żywego ducha.

– Zombie nie istnieją. Masz chyba na myśli skazańców – mruknął.

Pokręciła głową, na ile jej pozwalał ból szyi.

– Mam na myśli siebie. Nie uważasz, że mam coś z zombie? Z tymi wycieczkami tam i z powrotem po całych zaświatach i w ogóle. Ani żywa, ani martwa – dokończyła trochę bezradnie.

Wbrew sobie, diabeł spojrział na nią krytycznie i wzruszył ramionami.

– Nie. Jesteś całkiem żywa. I gdzie ta apokalipsa?

– Nic nie rozumiesz – szepnęła pod nosem. Cały czas miała nadzieję, że obudzi się w końcu z tego koszmaru.

Na niebie pokazało się słońce – widomy znak, że opuszczali tereny czyścica, gdzie zawsze panował półmrok, a w najlepszym wypadku na niebie kłębiły się niskie, ciemne chmury. Szli wzdłuż muru w stronę mającej w oddali recepcji, gdzie przy dwóch wielkich biurkach siedzieli, jak zwykle, młody anioł Zenobiusz i Staruszek z nieodłącznym papierosem w ustach. Na widok przybyszów obaj zamarli.

Duszyzka wyglądała jak ofiara wojny i to taka, nad którą front przewalił się kilkakrotnie. Przez nieprawdopodobnie brudną i podartą sukienkę miejscami przeświecało gołe ciało, podbite oko zdążyło zniknąć pod warstwą czarno-sinej opuchlizny, a na czole ciemniały zaschnięte krople krwi, które spłynęły z niewielkiego rozcięcia na głowie. Włosy miała skołtunione i przysypane szarym pyłem, szła boso, kulała i widać było, że ze zmęczenia ledwo trzyma się na nogach. Na dokładkę przeszła trupim smrodem ghuli, który roztaczała teraz wokół siebie. Zenobiusz wlepił w nią nawiedzone spojrzenie, nie wierząc w to, co widzi.

– O Najwyższa Hierarchio! – wyszeptał, nie bez satysfakcji. – Mogłabyś zagrać główną bohaterkę filmu „Piła”.

Siedzący przy sąsiednim biurku Staruszek z wyhaftowanym na koszulce napisem „Kierownik Recepcji” bez słowa odłożył niedogaszzonego papierosa do po-

pielniczki. Na towarzyszącego Duszyczce mężczyznę w czarnym uniformie bez jakichkolwiek dystynkcji żaden z nich w pierwszej chwili nie zwrócił uwagi.

– Przyszłam – oznajmiła krótko, jakby wszelkie wyjaśnienia były zbędne.

– Dopiero co dołożyłaś ogromnych starań, żeby wyjść – odparł Zenobiusz kwaśno. Nie wybaczył jej jeszcze potłuczenia monitora, ani, co gorsze, oskarżenia, że władza idzie mu do głowy. Zignorowała go całkowicie. Była potwornie zmęczona i nie miała już ani krzty sił na głupie dyskusje.

– Mefistofeles powiedział mi, że archaniołowie zgodzili się na mój powrót do nieba, jeżeli zmienię zdanie. Zmieniłam – oświadczyła rzeczowo.

– Twoje dane nie zostały jeszcze wprowadzone do systemu. Nie możesz wejść.

Zenobiusz założył ręce na piersi i rozparł się na krzesło, patrząc na Duszyczkę triumfalnie, jakby chciał powiedzieć „I co mi zrobisz?”. Pełne dezaprobaty chrząknięcie dobiegające od strony drugiego biurka przywołało go do porządku. Usiadł prosto i położył dłonie na blacie, ale z oczu nie zniknął mu wyraz czegoś, co Duszyczka określiłaby jako ukontentowanie.

– Założysz się, że wejdzie? – Eskenezer stanął tuż za nią w rozkroku, jakby był tu właścicielem.

Miał do wyboru starać się odwieść Duszyczkę od jej

zamiaru ucieczki z piekła, albo bezkarnie dokopać niebieskim, skoro otworzyła się taka okazja. Odruchowo wybrał to drugie. Zdawał sobie sprawę, że będzie teraz musiał konsekwentnie popierać dążenia dziewczyny, ale czasem mężczyzna po prostu musi zrobić coś wbrew sobie, żeby zachować twarz.

Duszczyka kolejny raz odnotowała, że Eskenezer miał ładny, niski głos i choć do Mefistofelesa było mu daleko, to jednak słuchało się go z przyjemnością. Przez głowę przemknęła jej głupawa w obecnej sytuacji myśl, że powinien pracować w radiu.

U pracowników Recepcji nie znalazł jednak uznania. Obaj spojrzeli ze zgrozą, jakby dopiero teraz zdali sobie sprawę, kto przed nimi stoi.

– Przecież... przecież... – pobladły Zenobiusz zająknął się z oburzeniem. Jak świat światem, jeszcze nigdy nie miał do czynienia z diabłem. Zamachał rękami, bliiski paniki. – Apage, satanas.

Staruszek nie zwrócił uwagi na działania swojego asystenta. Bez słowa wyjął z paczki kolejnego papierosa i przypalił wyjętą z szuflady połączoną zapalniczką. Przez chwilę bez słowa przyglądał się diabłu zza chmury dymu. Widać oględziny nie wypadły źle, bo niespodziewanie wyciągnął paczkę w jego stronę. Eskenezer pokręcił przecząco głową i ukłonił się nieznacznie.

– Chwilowo nie czuję potrzeby, ale dziękuję. – W jego

oczach zablęskło uznanie. – Czy mógłby przyjść ktoś z właściwymi kompetencjami i pomóc w tej sprawie?

– Nie myśl sobie, że archanioły tylko czekają przy bramie, żeby się zajmować tymi, którzy sami nie wiedzą, czego chcą – zachnął się Zenobiusz. – Gabriel pracuje w Pałacu.

– Więc rusz dupsko i go tu zaproś... – powiedział Eskenezer z pozornym spokojem.

Duszczyka uniosła dłoń w proteście, ale diabeł całkowicie ją zignorował. Czarnymi oczami świdrował Zenobiusza.

–... bo jak nie, to osobiście przecisnę cię przez pręty, ale wtedy już wejdiesz do nieba w plasterkach. – Odwrócił głowę i zlustrował bramę. – W trzech plasterkach. Choć nie wiem jak niebiescy wytrzymają kilku takich dupków jak ty.

Zenobiusz przez chwilę wyglądał, jakby się czymś zachłystnął i Duszczyka miała ochotę spytać, czy nie trzeba go walnąć w plecy. Staruszek z niezadowoleniem pokręcił głową, podniósł słuchawkę i nie odrywając oczu od Eskenezera krótko z kimś porozmawiał.

– To może trochę potrwać – powiedział z troską, kiedy skończył.

Duszczyka bez słowa odwróciła się, podeszła do muru i z widoczną ulgą usiadła obok bramy, opierając się o nagrzane słońcem cegły obrośnięte dzikim winem.

– Nigdzie się stąd nie ruszę. Będę czekać do skutku.

– Ale kolejka... – zaczął Zenobiusz z pretensją.

– Słyszałeś, co powiedziała? – spytał Eskenezer z groźbą w głosie. – A jeśli spróbujesz ją przepędzić, to za chwilę będziesz wyglądał gorzej, niż ona.

Zenobiusz zacisnął usta.

– Dlaczego to robisz, diable? – spytał nagle Staruszek, przechylając głowę. Siwe włosy, upodobniające go do Einsteina zakryły mu jedno oko.

– Nazywam się Eskenezer – ukłonił się diabeł.

– Zatem, dlaczego to robisz, Eskenezerze? – powtórzył Staruszek. – Dlaczego pomagasz jej wejść do nieba? Sądziłem, że przedstawiciel piekieł będzie raczej za wszelką cenę starał się zatrzymać ją u siebie.

Diabeł milczał dłuższą chwilę, i kiedy już wydawało się, że zamierza zignorować pytanie, odezwał się cichym głosem, jakby nie chciał, żeby Duszczyka go usłyszała.

– Bo w odróżnieniu ode mnie i twojego przydupasa, ona jest dobra.

Zenobiusz gwałtownie wciągnął powietrze.

– A co ty możesz wiedzieć o tym, kto jest dobry? – rzucił z oburzeniem.

Eskenezer zwrócił na niego swoje czarne oczy i pochylił się lekko w stronę biurka, jakby chciał być dobrze usłyszany.

– Od tysięcy lat zajmuję się karaniem tych, którzy

dobrzy nie są – powiedział tonem, jakim się mówi do niezbyt bystrych dzieci i całkiem tępych dorosłych. – Świetnie odróżniam jedno od drugiego, tyle tylko, że opowiedziałem się po przeciwnej stronie, niż niebiescy. Ona do nas nie należy. – Wyprostował się i nie czekając na odpowiedź, podszedł do dziewczyny i usiadł obok niej pod murem. – Poczekamy tu oboje na wasze rozstrzygnięcia, jak długo będzie trzeba.

Duszczyka siedziała zaledwie przez chwilę, zanim zaczęła się kręcić. Nie pomyślałaby wcześniej, że mur niebiański może być niewygodnym oparciem, a jednak. Pod liśćmi niewątpliwie dekoracyjnego dzikiego wina kryły się ostre nierówności cegieł i twarde gałęzie.

– Oprzyj się o mnie – zaproponował Eskenezer, unosząc ramię i wskazując jej miejsce na swojej piersi. Niewiele myśląc Duszczyka usiadła przy nim i oparła się wygodnie, kładąc mu głowę na ramieniu. Jako była kobieta Azazela nie musiała już się przejmować tym, co ten szaleniec sobie pomyśli i kogo będzie chciał gotować w smole za wyimaginowany brak szacunku. Jej zobowiązania wobec niego wygasły. Ponownie chciało jej się płakać z jakiejś nieznannej przyczyny. No bo przecież nie dlatego, że znów została sama.

Eskenezer otoczył ją ramionami. Przypomniała mu się scena sprzed lat, kiedy pomagał jej przetrwać ataki ciurów Belzebuba. Nocowali wtedy w starym, opusz-

czonym kiosku Ruchu w prowincjonalnej dziurze. Duszyczka spała na podłodze, na rozłożonych starych gazetach, z głową na jego udzie i przez kilka godzin bał się drgnąć, żeby jej nie zbudzić i nie zniszczyć tego czarownego momentu. Delikatnie, czubkami palców gładził rozsypane na jego nodze włosy, ale nie posunął się dalej.

Teraz miał ogromną ochotę pocałować ją w czubek głowy, ale bał się, że wszystko zniszczy zbyt śmiałym zachowaniem. Oparł więc tylko policzek o jej włosy, delikatnie, tak, by jej nie spłoszyć. Przeżywał najpiękniejszą chwilę swojego żywota i chciał, żeby trwała wiecznie. Miał nadzieję że Gabriel będzie tak zajęty, że nie pojawi się jeszcze przez kilka godzin.

Duszyczka podniosła rękę i dotknęła policzka.

– Boli? – spytał z troską.

– Już nie tak bardzo, odkąd go ghul polizał. Chyba mają jakieś działanie znieczulające.

Diabeł skrzywił się ze wstrętem.

– Czy zgodzisz się mi powiedzieć, co tak rozjuszyło Azazela, że cię uderzył? Zawsze myślałem, że prędzej odrąbie sobie rękę, niż ją na ciebie podniesie.

– Jestem w ciąży – oświadczyła zmęczonym głosem. Nie widziała powodu, żeby robić z tego tajemnicę. I tak niedługo wszyscy zauważą.

Eskenezer wyprostował się, chwycił Duszyczkę za ra-

miona i odwrócił, żeby spojrzeć jej w twarz.

– Z kim? – spytał, a w głosie słychać było ból.

Duszczyka strąciła jego ręce z ramion i odsunęła się gwałtownie.

– Nie dotykaj mnie! I dziękuję za twoją dotychczasową pomoc. Nie musisz ze mną czekać.

Patrzyła oczami kłującymi, jak szpilki, nagle wroga i niedostępna. Najbardziej czarowna chwila z długiego życia Eskenezera przeminęła bezpowrotnie.

– Ale przecież diabły nie mogą... – zaczął bezradnie i umilkł pod karcącym spojrzeniem dziewczyny. Widać było, że nie rozumie co zrobił źle i dlaczego tak nagle został odprawiony.

– Zadałeś niewłaściwe pytanie, jak Azazel. No cóż, każdy sądzi według siebie – powiedziała jadownicie, ale w oczach znów miała łzy.

Eskenezera nadal nie rozumiał.

W tej samej chwili w bramie stanął Gabriel i obrzucił ich zdumionym spojrzeniem. Powiedziano mu, że w Głównej Recepcji stoi Duszczyka i domaga się, aby ją wpuścić, ale na taki widok nie był przygotowany. Brudna i w obszarpanej sukience siedziała pod murem naprzeciwko pierwszego komandosa Azazela, który próbował coś mówić. Cała jej postawa świadczyła o wrogości. Kiedy odwróciła twarz w jego stronę, aż go ścisnęło w żołądku.

Na widok archanioła obydwójce szybko podnieśli się z trawy.

– Coś ty jej zrobił, ty... ty... – Gabriel zająknął się z oburzenia – ty kreaturo!

Eskenezzer pokręcił głową w proteście, ale nie odezwał się. Opuścił wzrok na szczupłe plecy stojącej przed nim dziewczyny i nagle uświadomił sobie z całą mocą, że ona za chwilę przestąpi bramę nieba i odejdzie od niego na zawsze. Poczul się stary i zmęczony i nie miał nawet ochoty bronić swojego dobrego imienia. Było mu wszystko jedno.

Duszczyka zrobiła krok do przodu i rozłożyła ręce, jakby chciała rozdzielić zwaśnione strony.

– To nie on – zaprotestowała. – Odprowadził mnie tylko, żeby już nikt więcej...

Gabriel podszedł bliżej i patrząc ze współczuciem wyciągnął dłoń w stronę jej zmasakrowanego policzka, ale nie odważył się go dotknąć.

– Kto? – spytał surowo. W długiej, ceremonialnej szacie i z ognistym mieczem przy boku wyglądał imponująco i widać było, że jest gotów natychmiast biec i ukarać złoczyńcę. Duszczyka przez chwilę przyglądała mu się bez słowa, lekko przechylając głowę.

– Azazel – odpowiedziała w końcu, obojętnie.

Archanioł cofnął się o krok i podniósł obie ręce w proteście, broniąc się przed dostępem bolesnej prawdy.

– O, nie, nie, nie! W takie rzeczy to ja nie uwierzę!

– Gabrielu, czy ty się dobrze czujesz? – zawołała z nagłym gniewem. Zarzucanie jej kłamstwa odebrała jak obelgę.

Od strony biurek dobiegło sapnięcie Zenobiusza, pełne potępienia dla jej bezczelności.

– Chyba ja wiem najlepiej, kto mnie pobił! – ciągnęła. – Odeszłam od niego, ale tutaj nie chcą mnie wpuścić. Mefistofeles powiedział, że zawarł ugodę z archaniołami i że zgodzili się na mój ewentualny powrót do nieba. Czyżby kłamał?

– Nie. Faktycznie jest taka umowa...

– Więc dlaczego nie mogę wejść?

– Bo widzisz... – Gabriel spojrzał w stronę, skąd przysła Duszczyka. – Nie sądziliśmy, że wrócisz, a już na pewno nie tak szybko i jeszcze nie wprowadziliśmy twoich danych do systemu.

– To rusz się i je wprowadź. – Eskenezer miał dość tego odbijania piłeczki. Zdawał sobie sprawę, że Duszczyka z trudem trzyma się na nogach.

Gabriel zdawał się go nie słyszeć.

– Dlaczego Azazel cię pobił?

– Bo ona jest... – zaczął Eskenezer, ale Duszczyka mu przerwała.

– To nie wasza sprawa! – krzyknęła. Czuła, że jeśli usłyszy jeszcze jedno głupie i obelżywe pytanie, kto jest

ojcem, to pozabija wszystkich w zasięgu wzroku.

– ... w ciąży – dokończył diabeł zdławionym głosem, jakby chciał przerzucić na Gabriela choćby część swojego nieszczęścia.

– Z kim? – spytał archanioł bezdźwięcznie, ledwie poruszając wargami. To była ostatnia rzecz, jakiej mógł się spodziewać.

Duszczyka o mało nie spopieliała go wściekłym spojrzeniem, ale Gabriel nawet tego nie zauważył.

– Naprawdę chcesz wejść? – spytał, wpatrując się w dal.

Skinęła głową. Nie miała już ochoty z nim rozmawiać.

– Przestań grać na czas – ofuknął go Eskenezer. – Widzisz, że ona ledwo stoi. Nie masz miłosierdzia? – Działał wbrew własnemu interesowi, ale nie mógł patrzeć, jak dziewczyna cierpi. Nie rozumiał, co się z nim stało, bo, jako żywo, nigdy przedtem cudze cierpienia w najmniejszym stopniu mu nie przeszkadzały.

– Tak, oczywiście – Gabriel sprawiał wrażenie, jakby nagle się obudził. Podał dziewczynie ramię, ale ona odwróciła się w stronę diabła.

– Żegnaj, Eskenezerze – powiedziała i nagle, sama nie wierząc w to, co robi, przytuliła się i objęła go ramionami. – Żegnaj – powtórzyła ze łzami.

– Jesteś pewna, że chcesz to zrobić? – Diabeł nagle

zapraǳał odwlec chwilę, po której wszystko w jego świecie zmieni się na gorsze.

Duszczyka skinęła głową bez jednego słowa, jakby bała się, że kiedy zacznie mówić, powie nie to, co by chciała.

Chwilę później brama zatrzasnęła się za nią, a Eskenazer stał i jeszcze długo wpatrywał się w kute, żelazne pręty, nie zważając na ponaglenia Zenobiusza.

Atmosfera w rezydencji Azazela była pełna napięcia. Służba zbiła się w kuchni w gromadkę, jak wystraszone stadko kurcząt i wszyscy popatrywali na siebie z niepewnością. Sytuacja wydawała się dużo gorsza, niż podczas poprzedniego kryzysu i żadne z nich nie wierzyło, że pani może kiedykolwiek wrócić. Ich przyszłość rysowała się ponuro. Gdy usłyszeli wściekły głos Azazela, przyzywającego swojego sekretarza, Neferesa, odsunęli się dalej od drzwi.

Po wejściu do rezydencji Azazel pierwsze kroki skierował do salonu, potem wbiegł na górę do sypialni, przeskakując po trzy stopnie, ale Duszczyki także i tam nie było. Gdy nie znalazł jej w łazience, ani w żadnym z pokoi gościnnych, wezwał siedzącego w gabinecie sekretarza.

– Gdzie ona jest? – spytał.

– Kto, panie? – Neferes starał się wyglądać na moż-

liwie niewinnego, choć po głowie tłukła mu się myśl, że chyba sprawy stoją nienajlepiej.

Azazel podniósł go do góry za koszulę.

– A jak myślisz?

– Podobno... znaczy taka plotka jest... słyszałem, że wyszła i... – za żadne skarby świata nie chciał się przyznać, że wiedział o samotnej eskapadzie kobiety szefa i nic w tej sprawie nie zrobił. Słyszał przedtem wrzaski Azazela, pytającego, z kim Duszydzka jest w ciąży i sądził, że jej czas w rezydencji nareszcie dobiegł końca. Patrząc teraz na twarz szefa nie był już tego taki pewny.

– Dokąd? Kto jej towarzyszył? – Azazelowi nie mieściło się w głowie, że mogłaby iść przez piekło sama.

– Nie wiem – wydukał Neferes.

Azazel rzucił nim o podłogę.

– Jesteś bezużyteczny! Felicja! – ryknął, wybiegając do holu.

Służący popatrzyli na pokojówkę ze współczuciem, a kucharz poklepał ją po ramieniu, próbując dodać otuchy.

– Musisz iść – szepnął. – Nie martw się. Może nie będzie tak źle...

Łykając łzy, Felicja wyszła z kuchni i stanęła przed swoim panem. Nie miała śmiałości podnieść oczu.

– Gdzie jest pani?

– Wyszła.

– To już wiem. Dokąd? – spytał surowo.

– Nie mówiła – chlipnęła Felicja. – Wzięła samochód.

– Limuzynę? – Diabeł podszedł do jednego z bliźniaczych okien przy drzwiach wejściowych i wyjrzał na podjazd. Felicja pochyliła głowę jeszcze niżej. – Kto pozwolił, żeby jechała terenówką?

Wyskoczył do bramy i po chwili dyżurny strażnik już wiedział, że dni spokojnej służby nieprędko znów będą jego udziałem.

Felicja patrzyła, jak jej pan wraca do rezydencji i miała, z pewnością mylnie wrażenie, że on czegoś się boi i to chyba jeszcze bardziej, niż ona. Uklękła pośrodku holu i, opuściwszy głowę, wyciągnęła w jego stronę obie ręce. Azazel przez chwilę patrzył, nie rozumiejąc, zanim dostrzegł, że z palców pokojówki zwisa naszyjnik w różowych brylantów, z którym jego kobieta nigdy i w żadnych okolicznościach się nie rozstawała.

Poczuł, jak pod stopami otwiera mu się najgłębsza otchłań piekieł.

W koszarach tętniło normalne życie, zupełnie, jakby świat wcale się nie zawalił. Diabły kręciły się po dziedzińcu, w kącie jakaś niewielka grupka spędzała wolny czas na grze w karty, klnąc soczyście i co chwila wybuchając zgodnym rechotem. Jakiś nieszczęśnik przywią-

zany do centralnego słupa odbierał właśnie chłostę, do której biczownik nie bardzo się przykładał. Azazel stał w rozkroku, z rękami założonymi do tyłu, opierał czoło o szybę okienną w swoim gabinecie i patrzył na koszary niewidzącym wzrokiem.

– Jak to się stało? – spytał w końcu metalicznym głosem.

Eskenezer podniósł z biurka niewielki plik papierów.

– Napisałem pełny raport, panie.

– Czytałem. – Azazel nawet się nie obejrzał. – Chcę, żebyś mi opowiedział to, czego w nim nie ma. Jak mogłeś jej pozwolić wyjść z piekła?

– Nie miałem nic do powiedzenia. Groziła, że poszczuje na mnie psy i rzeczywiście była gotowa to zrobić.

– A pod bramą niebieskich?

Eskenezer z trudem powstrzymał się, żeby nie wzruszyć ramionami.

– Znam swoje miejsce. Jestem co najwyżej jej ochroniarzem. Nie mnie mówić, co ma robić, a czego nie. Była w złym stanie...

– Wiesz, o co nam poszło?

Eskenezer zrozumiał, że wchodzi na śliski grunt. Sam nie poruszyłby tego tematu, ale skoro książe chce rozmawiać o niewierności swojej kobiety, trzeba będzie wypowiadać się ostrożnie.

– Tak, Duszczyka powiedziała, że ją uderzyłeś, panie, bo jest z kimś w ciąży – powiedział, starając się, by w jego głosie nie zabrzmiało potępienie.

Azazel odwrócił się od okna.

– W ciąży – powtórzył.

W gabinecie zapadła cisza, przerywana okrzykami grających w karty i teatralnymi wrzaskami smaganego biczem diabła.

– Ten skazaniec, którego dostarczono przed kilkoma godzinami... – odezwał się wreszcie Azazel.

– Tak, wiem który. Konwojent mówił, że to twój więzień pod specjalnym nadzorem.

– To lekarz, który rozpoznał ciążę. Wezwij Krwawego Topora, żeby się nim zajął i daj mu wolną rękę. Ten gnój ma umierać wiele razy, zanim wrzucicie go do wulkanu, żeby zniknął na zawsze.

– Za co? – Eskenezer zaryzykował brak subordynacji i zakwestionował polecenie szefa.

– Widzisz... – Azazel podszedł bliżej i oparł się dłońmi o blat biurka, które teraz oddzielało ich od siebie. Twarz miał ściągniętą bólem i jeszcze czymś, czego Eskenezer nie umiał rozpoznać. – Duszczyka nie jest w ciąży.

Obaj milczeli przez chwilę, patrząc sobie w oczy. W końcu komandos pokręcił głową.

– Nie rozumiem. Straciła je? Po tym wypadku?

– Nie. Nie było żadnego dziecka. I pomyśleć, że sam ją tam posłałem. – Azazel potarł czoło dłonią. – Ten lekarz, to były kochanek Marimar. Chciał się za nią zemścić i narobić Duszyccze niepotrzebnej nadziei. W najśmielszych marzeniach nie sądził, że tak się to skończy. Wyduśliłem z niego prawdę, ale chwilę to trwało i dlatego spóźniłem się pod bramę. Ona już była u niebieskich.

Eskenezer patrzył na Azazela i modlił się do wszystkich diabłów, żeby na twarzy nie odmalowała mu się wściekłość, jaką teraz czuł. Pierwszy raz w życiu miał ochotę zabić swojego szefa.

– Mówiła, że dziecko jest moje, a ja jej nie uwierzyłem – ciągnął Azazel. – Najgorsze jest nie to, że ją uderzyłem, ale że zarzuciłem jej kłamstwo i niewierność.

Eskenezer nadal milczał i Azazel słusznie odczytał to jako potępienie.

– Na czas mojej nieobecności przejmiesz wszystkie obowiązki – powiedział sucho.

– Kiedy wrócisz, panie?

Azazel ze znużeniem pokręcił głową.

– Nie potrafię ci powiedzieć. I jeszcze jedno. Wybacz mi.

– Nie mam ci nic do wybaczenia, panie – zdumiał się komandos.

– Naprawdę myślisz, że nic nie zauważyłem? – Aza-

zel uśmiechnął się smutno. – Ona może nie zdaje sobie sprawy, ale ja widzę, że chciałbyś, żeby to była twoja kobieta.

Eskenezer zaczął coś nieskładnie mówić.

– Daj spokój. No, muszę iść – Azazel wyciągnął rękę, którą jego komandos mimo wszystko uścisnął, chociaż po krótkim wahaniu. – Jeszcze jedno. Znajdź mi szybko dobrego prawnika, który będzie reprezentował moje interesy u niebieskich. Podpiszę pełnomocnictwa i znikam. Teraz jakiś czas będę jeszcze załatwiał sprawy w podziemiach, więc tam go przyślij.

Eskenezer usiadł ciężko na fotelu za biurkiem i oparł głowę na rękach. Będzie teraz miał masę pracy. Może to i lepiej. Przynajmniej nie będzie stale myślał o kobiecie, którą obaj utracili na zawsze.

Później Duszyzka nie była w stanie sobie przypomnieć jak dotarła do mieszkania, tego samego, które przydzielono jej w czasie poprzedniego pobytu. Zapewne towarzyszył jej Gabriel, ale tego mogła się tylko domyślać. Kiedy przestąpiła próg i zamknęła za sobą drzwi, oparła się o ścianę i powoli osunęła po niej, aż usiadła na podłodze. Po chwili nawet ta pozycja wydała jej się zbyt wyczerpująca, więc położyła się, opierając policzek o szorstką wykładzinę i zwinęła w kłębek, obejmując się ramionami. Miała mocne postanowienie,

żeby tak właśnie spędzić resztę wieczności.

Napięcie związane z ucieczką, które napędzało ją do tej pory i dodawało sił, teraz przeminęło i poczuła potworne zmęczenie. Co jakiś czas dreszcze przebiegały jej po plecach, wstrząsając ciałem, ale nie miała w sobie tyle energii, by wejść w głąb mieszkania i poszukać czegoś do okrycia.

Dzień powoli przeminął i nastał nocny mrok. Duszczyka nie była pewna, czy śpi, czy tylko trwa w odrętwieniu. Miała wrażenie, że ze schodów dobiegają jakieś odgłosy, czyjeś kroki, brzęk szkła, ale uznała, że w najmniejszym stopniu jej nie dotyczą. Azazel nie miał tu wstępu, a inni nic jej nie obchodzili.

Kiedy ponownie zrobiło się jasno, usiadła i rozejrzała się dookoła. Przedpokój był niewielki, a sądząc z ilości drzwi, w mieszkaniu były tylko dwa pokoje, kuchnia i łazienka. Odnotowała to dla porządku, bo jej natura księgowej lubiła systematyzować otoczenie. Tak naprawdę było jej wszystko jedno, czy mieszkanie ma dwa pokoje, czy dwanaście, bo i tak nie zamierzała z nich korzystać. Wystarczyłaby jej jedna klitka, w której mogłaby się położyć i umrzeć, na co, ku swojemu żalowi, nie miała szans.

Podniosła się z wysiłkiem i powlokła w stronę pomieszczenia, które słusznie uznała za łazienkę. Kiedy zapaliła światło, z lustra spojrzęło na nią jej własne,

budzące grozę odbicie. Mogła już otworzyć oboje oczu, ale widok własnej twarzy sprawił, że czym prędzej je zamknęła i dopiero po chwili znów powoli i ostrożnie uchyliła powieki. Nic się nie zmieniło. Dziewczyna w lustrze nadal miała skołtunione włosy, spod których na czoło spłynęła strużka zaschniętej krwi. Aż dziw, że ghule jej nie pożarły, bo przecież musiały to widzieć, a co gorsza także poczuć.

Lewy policzek prezentował się naprawdę paskudnie. Opuchlizna wprawdzie nieco się zmniejszyła, ale oko było podbite na czarno, a obok widniało ciemnofioletowe odbicie otwartej dłoni Azazela, które zaczęło już nieco zielenieć na brzegach. Wyglądała, jak napiętnowana przez diabła.

– Ty żalosna idiotko – westchnęła. – Jak mogłaś myśleć, że ci się z nim uda. Wszystkie przed tobą spotkało to samo.

Odwróciła się od lustra i szybko zdjęła brudną i podartą sukienkę, która budziła obrzydzenie i rzuciła ją w ką. Długo stała pod prysznicem, zmywając z siebie piekielny kurz i żałując, że nie może zrobić tego samego ze wspomnieniami.

Jeżeli Duszczyka myślała, że najgorsze, co mogło, już ją w życiu spotkało, to nigdy nie pomyliła się bardziej. Kilka dni później, gdy podbite oko zdążyło już nieco

zółknąć, ubrała się w przydziałową szatę anioła i wyszła do miasta, znaleźć jakikolwiek szpital. Musiała zapewnić dziecku odpowiednią opiekę.

Starszy lekarz, do którego gabinetu ją skierowano, zbadał ją, a potem posadził po drugiej stronie biurka i poprosił pielęgniarkę, żeby przyniosła dwie filiżanki herbaty. Czekaając, zabawiał ją rozmową o błahostkach, a w Duszyczce narastała mdląca pewność, że coś jest nie w porządku.

Gdy usłyszała, że żadnego dziecka nie ma i nigdy nie było, zwyczajnie nie uwierzyła i zażądała konsultacji. Lekarz, nie okazujący ani odrobiny niezadowolenia z takiego braku zaufania, popatrzył współczująco i zaprosił do gabinetu jeszcze dwie panie doktor. Po chwili Duszyczka już wiedziała, że żadnej małej istotki nie było i nie będzie. Napojona przez pielęgniarki uspokajającą herbatką, pocieszana przez personel i zapewniana, że w razie jakichkolwiek problemów wszyscy będą tu na nią czekać, jak lunatyczka wróciła do domu.

Następne dwa dni spędziła siedząc na kanapie i patrząc w przeciwległą ścianę. Nie miała chęci na jakąkolwiek aktywność i nawet nie mogła płakać, co z pewnością przyniosłoby jej ulgę. Musiała przemyśleć całe dotychczasowe życie, jakkolwiek głupie by jej się wydawało.

Szybko doszła do niemiłego wniosku, że sama była

swoim największym problemem. Wpadła Azazelowi w ręce praktycznie bez wysiłku z jego strony, jak ostatnia idiotka, więc nic dziwnego, że nie musiał się troszczyć o to, co się z nią stanie. Woląla nie pamiętać o dobrych momentach ich związku i szczerym oddaniu diabła, który przez te lata okazywał wiele troski. Skreśliła go całkowicie i bezwarunkowo. Ten etap uznała za zamknięty, rozliczony i mogła więc więcej do niego nie wracać.

Sprawy z dzieckiem nie były już takie proste. Przecież nie można stracić czegoś, czego się nigdy nie miało, więc skąd ten żal? Ot, ktoś ją nabrał może dla żartu, a może lekarz był nieukiem i za to trafił do piekła? Zostając z Azazelem pogodziła się z myślą, że nigdy nie będzie miała dzieci i zaakceptowała taki stan rzeczy. Czemu więc teraz było jej tak przykro i smutno? Raz obudzona nadzieja nie dawała się zabić i Duszyccze pozostawało tylko czekać, aż czas wszystko załagodzi, ale myśl o małej istotce, która nigdy nie istniała, zostanie z nią już na zawsze.

Miała wrażenie, że siedzi na kanapie już od wieków i nie czuła się ani trochę lepiej. Rozsądek mówił swoje, a jej nadal chciało się płakać, choć oczy miała suche. Zirytowana własnym mazgajstwem wstała i wyjrzała przez okno. Zobaczyła ulicę, ludzi, czy raczej anioły i z rzadka przejeżdżające samochody. Życie toczyło

się dalej, tyle że bez niej. Przetarła twarz dłońmi. Musiała wyjść z domu, żeby nie zwariować do reszty. Musiała znaleźć jakąkolwiek pracę, żeby zająć czymś ręce i umysł. Z mocnym postanowieniem zmiany własnej pozbawionej sensu i celu egzystencji ruszyła do łazienki, żeby na początek upodobnić się do ludzi.

Po wyjściu z domu, pierwsze kroki skierowała do biura pośrednictwa pracy. Szaleńczo uprzejma, wręcz nadskakująca panienka, która najwyraźniej nie miała wiele zajęcia, pomogła jej wybrać najbardziej odpowiednią ofertę i Duszczyka uznała, że niebo ma jednak niezaprzeczone zalety w postaci życzliwych urzędników, o co na ziemi nie jest tak łatwo.

Z kilku przedstawionych jej ofert wybrała tę, która zdawała się stanowić największe wyzwanie. W firmie o wiele mówiącej nazwie „Daremny Trud” poza właścicielem nie było innych pracowników. Nieprawdopodobnie zabagniona księgowość oferowała Duszczyce zadanie na wiele miesięcy, jeśli miała ją uporządkować i aż dziw, że właściciela wcześniej nie wsadzono za kratki. Stajnia Augiasza wydawała się przy tym zadaniu dziecinną igraszką, ale w obecnym stanie ducha dziewczyna rzuciła się w wir chwilami nieco zbyt kreatywnych działań, jak harpia na ofiarę.

Zajęta bez reszty pracą, nie zwracała uwagi na oto-

czenie i ledwie rozmawiała ze swoim szefem – miłym, wiecznie zatroskanym grubaskiem, który z jakiejś niezrozumiałej przyczyny zdawał się lubić swoją pracoholiczną i mrukliwą księgową. Może dlatego, że była jedyną osobą która po obejrzeniu papierów zgodziła się dla niego pracować.

Żółte koperty przychodziły od pierwszego dnia jej pobytu, ale zajęta sobą i swoją rozpaczą Duszydzka nie zwracała na nie uwagi. Nie oczekiwała żadnej korespondencji i uznała je za reklamy, obojętnie odsuwając nogą pod ścianę, kiedy wpadały przez szparę na listy. Świat zewnętrzny jej nie interesował i nawet gdyby nadeszła korespondencja od wszystkich archaniołów razem wziętych, potraktowałaby ją tak samo.

Któregoś dnia jednak, wiedziona ciekawością, pozbiierała koperty z podłogi i sprawdziła nadruk. Nadawcą było nieznanne jej Biuro Pośrednictwa Kontaktów, Sekcja Międzystrefowa, a ponieważ chwilowo nie chciała mieć z nikim żadnych kontaktów, bez względu na jego strefę, wszystkie listy odłożyła na szafkę w przedpokoju, zamierzając w najbliższej przyszłości wynieść je na śmietnik.

Uporczywość Biura, które, niezrażone obojętnością dla podejmowanych przez nie wysiłków, codziennie starało się uszczęśliwić ją kolejnym listem, odniosła

wreszcie skutek. Duszyczka musiała jednak w głębi serca uczciwie przyznać, że skutek odniosła raczej niewielka ilość miejsca na szafce, która spowodowała, że raz podniesione i odłożone koperty spadały z powrotem na podłogę, dając dziewczynie stałe zajęcie, choć niezupełnie takie, o jakie by jej chodziło.

Mamrocząc pod nosem niepochlebne uwagi na temat nachalności Biura, które nie rozumiało jej wyniosłej odmowy, pozbierała wszystkie listy i starając się nie pogubić ich na schodach, zeszła na dół do śmietnika. Była zdecydowana pozbyć się korespondencji bez wnikania w jej treść.

Na krawężniku pod trzepakiem siedział jasnowłosy chłopczyk, ten sam, który kilka miesięcy wcześniej pomagał jej zmaistrować transparent do protestu przed pałacem Najwyższej Hierarchii przeciwko przymusowemu zatrzymaniu jej w niebie.

– Cześć Jurek – uśmiechnęła się do malca. – Twoja mama jeszcze nie przyszła?

– Cześć – chłopczyk podniósł się z krawężnika. – Ta ziemka jeszcze nie. Trzeba czekać, tak mówi moja zastępcza mama.

– Mam nadzieję, że już niedługo – uśmiechnęła się Duszyczka, starając się go pocieszyć.

Jurek obojętnie kiwnął głową, dając wyraźnie do zrozumienia, że stale to słyszy i przestał już wierzyć.

– Będziemy robić transparent? – spytał z nadzieją, widząc w jej rękach stertę kopert.

Duszczyce przykro było go rozczarować.

– Nie, ale wiesz... – zawahała się. – Umiesz robić samoloty z papieru?

– Tylko strzały. Tata mi kiedyś pokazał, ale nie wiem, czy pamiętam.

– Przypomnę ci. Zobaczmy ile ich możemy zrobić.

Wspólnie przeliczyli listy, układając je w schludne kupki po dziesięć. Duszczyka zdumiała się, że było ich aż pięćdziesiąt siedem. Po pierwsze nie sądziła, że jest tu już tak długo, a po drugie zdumiała ją wytrwałość urzędników, którzy nie zrazili się przez blisko dwa miesiące.

Rozerwała pierwszą z brzegu kopertę. Papier był gruby i porządny, więc darł się z pewnym trudem, co nie nastroiło Duszczyki pozytywnie do Biura Pośrednictwa Kontaktów. Najgorsze miało jednak nadejść. Rozprostowała papier i poczuła, jak robi jej się gorąco.

Kwiecistym, urzędniczym stylem Biuro informowało ją, że o widzenie wystąpił niejaki Azazel, rezydent z piekła. Jeżeli ma życzenie się z nim zobaczyć, powinna w ciągu dwudziestu czterech godzin osobiście zawiadomić o swojej decyzji Biuro, które mieści się tu i tu, lub telefonicznie, dzwoniąc pod numer taki to a taki.

– Złe wiadomości – bardziej stwierdził niż zapytał

Jurek, patrząc na nią uważnie.

– Bardzo – kiwnęła głową.

– Może w tamtych jest coś lepszego? – próbował ją pocieszyć, wskazując pozostałe listy.

Po chwili leżało przed nimi pięćdziesiąt siedem jednobrzmiących pism, które różniły się między sobą wyłącznie datami. Widząc jej poruszenie, chłopiec bez słowa zebrał wszystkie i wyniósł do śmietnika. Resztę dnia spędzili siedząc pod trzepakiem, a strzałki zrobione z zeszytowych kartek przyniesionych z domu przez Jurka niefrasobliwie rzucali przez płot na ulicę.

Turyści szli wąską ścieżką, biegnącą w poprzek skalistego zbocza. Byli trudnym celem. Mieli odpowiednie do takiej wędrówki buty i sprzęt, a co ważniejsze, nie byli żółtodziobami. Zirytowany Larden czatował na nich już drugi dzień, ale ciągle mu się wymykali. Teraz wreszcie miał pewność, że ich załatwi. Widział, jak mozolnie wspinają się w górę, coraz bliżej miejsca, gdzie miał nadzieję ich dopaść. Mogli jeszcze zmienić zdanie i zawrócić, ale tacy jak oni nigdy tego nie robią. Uśmiechnął się, podniósł spory kamień i czekał. Wywołana nim lawina powinna wystarczyć, by ich zabić, ale żeby na pewno się to udało, musieli przejść jeszcze kawałek.

– Eskenezer cię wzywa. W tej chwili – usłyszał głos

za plecami. Odwrócił się, wściekły. Za nim stał obcy diabeł w stroju turysty, trzymając w zębach źdźbło trawy.

– Zamknij dziób, bo mi zmarnujesz dwa dni pracy.

– Wiesz gdzie szef ma twoją pracę? Powiedział, że natychmiast, to natychmiast. Jest pilne zadanie.

– Za minutę – Larden w napięciu wpatrywał się w wolno sunące sylwetki. Jeszcze kilka kroków i będzie mógł rzucić.

– Powiedział, że masz przyjść od razu – naciskał przybysz. Nie uśmiechała mu się ta misja, bo Larden był nieobliczalnym świrem, od którego wszyscy starali się trzymać z daleka, ale rozkaz, to rozkaz, a Eskenezera bał się bardziej.

Larden ze złością rzucił kamień i patrzył, jak obija się po stoku, porywając za sobą następne. Lawina ruszyła w dół, uderzając w dwie idące z przodu osoby. Trzecia, widząc, co się święci, zdołała odskoczyć i kamienie wprawdzie ja uderzyły, ale nie zdołały porwać ze sobą.

– Załatwiłbym wszystkich, gdybyś mnie nie poganiał – burknął Larden, rozczarowany niepowodzeniem. – Jak mnie znalazłeś?

– Twój telefon.

– Pieprzone nowomodne wynalazki.

Oba diabły znikły w niewielkich wirach powietrza.

Biurowo Pośrednictwa Kontaktów niewątpliwie pamięć-

tało lepsze czasy. Jednopiętrowy budynek był stary, na ziemi można by nawet powiedzieć, że zabytkowy. Nie imponował wielkością i najwyraźniej nie stanowił priorytetu dla żadnych władz, skoro tu i ówdzie z muru łuszczył się tynk. Stał jakby nieco wstydliwie schowany w bocznej uliczce i otoczony ogrodzeniem z żelaznych prętów obrośniętych dzikim winem.

Duszczyka weszła przez otwartą bramę i pchnęła drzwi, na których przybito tabliczkę z nad wyraz krótkimi godzinami urzędowania. Pokój numer siedemnaście, do którego ją skierowano mieścił się przy końcu korytarza, a tabliczka na drzwiach informowała wszem i wobec, że mieści się tu Sekcja Międzystrefowa M1. Zapukała i nie czekając na zaproszenie weszła do środka.

Pokój był długi i wąski, z dużym oknem umieszczonym w odległym końcu i ustawionym pod nim biurkiem. Duszczyka miała wrażenie, że starano się w ten sposób dać urzędnikom czas na właściwą reakcję, gdyby niesforny petent wtargnął tu i zapragnął dochodzić swoich praw. Próbowano też złagodzić bezosobowy charakter biura, bo na drewnianej podłodze położono lekko wytarty sznurkowy chodnik, prowadzący od drzwi do samego okna. Ściany pomalowano na niezwykły w urzędach kolor łososiowy, ale niewiele to dało. Biuro Pośrednictwa Kontaktów nie wydało się Duszczyce szczególnie przyjazne.

Urzędujący wewnątrz anioł był mężczyzną, jak to się kiedyś mawiało, w sile wieku, z niewielkim wąsikiem i schludnie zaczesanymi, ciemnymi włosami, na których widniał ślad pomady. Wszystko w nim było przedwojenne, włącznie z granatowymi zaręczawkami.

Na widok Duszczyki zerwał się zza biurka i sprawiał wrażenie, jakby czekał na nią od zarania świata. Wręcz promieniał szczęściem i entuzjazmem.

– Dzień dobry, droga pani – zawołał jowialnie. – Proszę, proszę dalej. Może zechce pani spocząć?

Podsunał lekko wytarty fotelik i z pietyzmem usadził na nim dziewczynę, jakby była cennym eksponatem i mogła za moment rozsypać się na kawałki. Wprawdzie podczas życia z Azazelem Duszczyka zdążyła się przyzwyczaić do służby będącej na każde jej skinienie, ale przecież nie do czegoś podobnego. Jej wrogość do Biura Pośrednictwa Kontaktów, a konkretnie jego Sekcji Międzystrefowej, rozwiała się jak siwy dym. Przyszła tu kategorycznie domagać się zaprzestania nękania jej codziennymi pismami, których sobie absolutnie nie życzyła. Ani się obejrzała, gdy siedziała na fotelu przy biurku i uprzejmie gawędziła z urzędującym aniołem nad filiżanką kawy z syropem waniliowym. W obecnym stanie o żadnej awanturze nie mogło być mowy i musiała w głębi duszy przyznać, że w tym szaleństwie jest metoda.

W końcu zdecydowała się jednak przejść do rzeczy i położyła papier na biurku.

– Jestem tu w związku z pismem od państwa.

Anioł uważnie przeczytał treść, jakby widział list po raz pierwszy w życiu i wcale nie wyszedł on z sekcji, w której pracował. Na twarzy miał wyraz szczerzego rozczarowania. Pochylił się w stronę Duszczyki.

– Droga pani, jest mi szalenie przykro, ale to zaproszenie już się przeterminowało. Niestety, należy zgłosić się w ciągu dwudziestu czterech godzin, w przeciwnym wypadku...

– Nic nie szkodzi. Nie zamierzam się spotykać z tym panem.

– Z księciem Azazelem – wtrącił anioł, jakby chciał jej zwrócić uwagę, że należy stosować oficjalne tytuły.

– Ale w takim razie, w czym mógłbym okazać się pomocnym? Jeżeli pani nie chce korzystać z zaproszenia, to wystarczy wyrzucić je do kosza.

– I to właśnie robię, ale chciałabym, żeby państwo przestali przysyłać mi te, jak pan je nazwał, zaproszenia. Nie zamierzam z nich korzystać. Nigdy – Duszczyka starała się brzmieć twardo i kategorycznie, ale w obecnych okolicznościach przychodziło jej to z pewnym trudem. Kawa z syropem waniliowym z jakichś nieuświadomianych przyczyn zawsze działała na nią kojąco. Z kolei Azazel nie rozumiał, jak w ogóle można

pić coś tak okropnego. W jego opinii kawa powinna być czarna i gorzka, a wszelkie dodatki to profanacja i świętokradztwo. Właśnie sobie uświadomiła, jak bardzo tęskniła za jego kpiącymi uwagami na temat jej gustów kulinarnych. Odsunęła od siebie tę głupią myśl.

Anioł przesunął pismo po blacie biurka w jej stronę, jakby odbijał piłeczkę.

– Niestety, nie wolno nam stosować jakiegokolwiek selekcji – powiedział aksamitnym głosem i Duszczyka czekała, kiedy facet zacznie trzepotać rzęsami. – Weryfikacja jest dokonywana na wyższych szczeblach. W naszym dziale mamy obowiązek przysyłać niebiańskim rezydentom zaproszenia, jeżeli wpłynie taka prośba. Tak mi przykro.

Miał minę spaniela, któremu nie udało się aportoować patyka. Duszczyka była bliska przeproszenia go i podrapania za uszami.

– Czyli nadal będę informowana o wszelkich próbach kontaktu z tamtej strony? I codziennie dostanę taki list?

– Tak, o ile wpłynie do nas wnioszek. – Anioł skinął głową i natychmiast chwycił podgrzewany dzbanuszek z kawą. – Pozwoli pani sobie dolać? – Nie czekając na odpowiedź, napełnił filiżankę Duszczyki i przysunął w swoją stronę monitor komputera.

– Rozumiem pani niechęć do tych pism, to nad wy-

raz niedogodne, przyznaję. Nad wyraz. Jest mi tym bardziej przykro poinformować, że jutro otrzyma pani nawet dwa.

– Od kogo? – zdumiała się. Czyżby Mefistofeles aż tak się za nią stęsknił, żeby oficjalną drogą występować o zgodę na widzenie? Jakoś nie wydawało się to prawdopodobne. Żaden inny kandydat nie przychodził jej do głowy, natomiast Azazel proszący ni z tego ni z owego o dwukrotne spotkanie musiałby ani chybi zwariować.

– Jedno, droga pani, jak zwykle od księcia Azazela. Drugie natomiast od kogoś, kto nazywa się Larden i też jest rezydentem z piekła – popukał paznokciem w monitor dla potwierdzenia swoich słów. – Jest pani w tej chwili jedyną osobą, która otrzymuje takie zaproszenia, więc łatwo zapamiętać.

Duszczyka patrzyła na paplającego anioła, ani w ząb nie mogąc zrozumieć, czego Larden od niej chce.

– Zna pani wnioskodawcę?

Powoli skinęła głową. Tak, znała go, choć krótko.

– Czy życzy pani sobie go zobaczyć?

Nie życzyła sobie, a przynajmniej jeszcze przed chwilą była tego pewna. Tym bardziej zaskoczyła ją własna odpowiedź.

– Tak.

Następnego dnia nieufna i ciągle wahająca się Du-

szyczka weszła do sali wizyt, poprzedzona przez barczystego anioła z sił porządkowych. Pomieszczenie było niewielkie, zalane trupim światłem jarzeniówek i pomalowane na wstrętny zielonkawy kolor. Każdy w tym oświetleniu musiał wyglądać jak nieboszczyk po wielokrotnej ekshumacji, co nie nastroiło dziewczyny ani odrobinę bardziej pozytywnie do całego przedsięwzięcia.

Po obu stronach grubej szyby przegradzającej salę na pół, zamontowano szerokie lady i ustawiono po jednym twardym krzeselku. Spartański wystrój przypominał jej poczekalnię w banku Icka Szwindelkopfa, choć zapewne motywacja leżąca u postaw takiego minimalizmu była całkiem inna.

– Rozmowa może trwać najwyżej kwadrans. Jeżeli skończysz wcześniej, po prostu wyjdź. Będę czekał na zewnątrz.

– Czemu tak krótko?

– Nie życzymy sobie nadmiernej indoktrynacji.

Anioł odwrócił się na pięcie i zniknął za drzwiami. Duszyczka wzruszyła ramionami i podeszła do lady. Chciała przysunąć sobie krzeselko, ale okazało się solidnie przymocowane do podłogi. Widać rozmowy przybierały niekiedy gwałtowny obrót i próbowano, choćby taką metodą, studzić temperamenty. Usiadła i czekała dłuższą chwilę, zastanawiając się, czy decyzja o przyj-

ściu tutaj była całkiem bezsensowna, czy tylko trochę szalona. Powinna wprawdzie odciąć się całkowicie od swojej chybionej przeszłości i żyć tym, co miała teraz, jakkolwiek nudne by nie było, jednak ciekawość wzięła górę. Bo niby czego mógł od niej chcieć Larden, niezrównoważony emocjonalnie, żeby nie powiedzieć psychopatyczny diabeł, którego znała raptem jeden dzień? Azazel na pewno by do niej nie przysłał nikogo tak nisko postawionego i to z misją pojednawczą. W ogóle z żadną misją.

W drugiej części pomieszczenia otworzyły się drzwi i wszedł inny niebiański strażnik, prowadząc Lardena w czarnym uniformie komandosa. Diabeł niewiele się zmienił odkąd go ostatni raz widziała, tylko wielka szopa czarnych włosów jeszcze bardziej sterczała we wszystkie strony. „Jakby piorun strzelił w rabarbar” przemknęło jej przez głowę i mimowolnie uśmiechnęła się leciutko do tej myśli. Diabeł zinterpretował jej reakcję po swojemu i radośnie wyszczerzył zęby w powitaniu.

– Masz piętnaście minut na rozmowę, diable. Potem wyłączamy mikrofony. – Duszczyka usłyszała przetworzony elektronicznie głos anioła, napływający gdzieś z sufitu. Rozejrzała się wokół, ale nie umiała zlokalizować ani głośnika, ani mikrofonu, do którego powinna mówić. Widać dzisiejsza technika oferowała miniatury-

zacje, o jakiej jeszcze niedawno nikomu się nie śniło.

Anioł wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi, a Larden uklonił się bez słowa, zanim usiadł i położył na blacie dłonie o połamanych i nie całkiem czystych paznokciach. Przez chwilę patrzyła na nie, jakby miały coś oznaczać, zanim podniosła wzrok.

– Dziękuję, że tak szybko zgodziłaś się ze mną zobaczyć – zaczął diabeł, a jego zmieniony przez mikrofon głos dobiegał z sufitu. – Wyglądasz bardzo ładnie.

Ostatnie zdanie dobitnie świadczyło o jego dobrej woli i pragnieniu pozytywnego nastawienia dziewczyny do siebie, a jednak gdzieś pod spodem czaiła się drwina. Duszyczka zjeżyła się nieufnie i diabeł to dostrzegł. Przywołał na twarz swój najlepszy uśmiech, próbując wyglądać dziarsko i optymistycznie.

Duszyczka zaczęła wietrzyć katastrofę.

– Nie sądzę, żeby ładnie, ale przynajmniej przestałam wreszcie wyglądać, jak typowa ofiara przemocy domowej. W każdym razie dziękuję.

Diabeł zacisnął zęby, starając się jednocześnie zachować uprzejmy wyraz twarzy, co wiele go kosztowało i nadawało wygląd pacjenta stomatologicznego. Nie umiał postępować z kobietami i wcale nie pragnął się tego nauczyć, bo w jego opinii była to wiedza całkiem zbędna. Wystarczyło wiedzieć, jak je zabijać. Sytuacja, w jaką wmanewrował go Eskenezer była zupełnie nowa,

a delikatność misji sprawiała, że czuł się niezręcznym prostakiem. Nie wiedział jak zacząć i taktownie przekazać, co mu kazano, a Duszczyka, ze swoją miną czterdziestu męczenników razem wziętych, nie ułatwiała mu zadania. Zaczął się denerwować i czuł rosnącą agresję.

– Ładna jest ta niebieska... spódnica – brnął dalej.

Sukienka Duszczyki była zielona, a przynajmniej za taką ją uważała.

– Dziękuję. – Przechyliła głowę, przyglądając się diabłu podejrzliwie. – Dlaczego chciałeś się ze mną widzieć? Przecież nie w kwestiach odzieżowych.

Larden z ulgą powitał przejście do konkretów. Krążenie wokół tematu było bardziej wyczerpujące, niż podrzynanie gardeł.

– Eskenezer powiedział, żebym przyszedł – oświadczył śmiało i umilkł. Delikatne przekazanie wiadomości, z jaką go przysłano było, w jego mniemaniu, absolutnie niemożliwe. Wypalić tak prosto z mostu wydawało mu się nieodpowiednie w kontaktach z, wprawdzie była, ale mimo wszystko kobietą księcia.

– Przyszedłeś więc. – Duszczyka nie była ani trochę pomocna. Wpatrywała się w niego przez grubą szybę, jak w dziwne i nieco niebezpieczne zjawisko pogodowe.

Diabeł poczuł, że spocily mu się ręce. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz coś takiego miało miejsce. Chyba wtedy, gdy doprowadzał do szaleństwa żonę hrabiego

Barconi, ukazując jej się we wszystkich lustrach, w jakie spojrzała. Było to mimo wszystko miłe wspomnienie i diabeł zdekoncentrował się na tyle, że zapomniał o wskazówkach, jakich bezwzględnie miał przestrzegać. Eskenezer zabronił mu wspominać Azazela, na co kładł widać duży nacisk, skoro powtarzał to kilkakrotnie.

– Skoro teraz nie ma w piekle Azazela i Eskenezer go zastępuje... – zaczął, ale nie dane mu było skończyć.

– Tylko mi nie mów o Azazelu – zawołała Duszczyka, podnosząc obie dłonie do góry w proteście. – Nic o nim nie wiem i nie chcę wiedzieć. Nie będę negocjować ani z nim, ani z żadnym posłańcem. To skończone.

Larden poczerwieniał. Maską uprzejmości spadła z niego w ułamku sekundy, odsłaniając wkurzonego diabła, który miał dość kurtuazji i dobrych manier, a cierpiętniczy wyraz twarzy Duszczyki doprowadzał go do pasji.

– Zawsze byłem o tobie dobrego zdania, bo byłaś niezłym kompanem tamtego dnia. Nie myślałem, że jesteś tchórzem. A tymczasem jesteś... – zająknął się – ... jesteś rozlazłą cipą! – rzucił najgorszy epitet, jaki mógł wymyślić.

Duszczyka zerwała się gwałtownie i walnęła pięściami w blat. Jej twarz znalazła się tu przy szybie, niemal jej dotykając.

– Dla ciebie nie jestem żadną cipą! Rozlazłą, czy nie!

– krzyknęła w najwyższym oburzeniu.

Larden wstał i też przysunął twarz do szyby. Dzieliło ich tylko kilka centymetrów i dobrze się składało, że były to centymetry pancerne.

– Jak to nie?! A kto przy pierwszych oznakach kłopotów bierze ogon pod siebie i zwiewa? Przedtem myślałem, że masz jaja z wolframu skoro wygrałaś z Belzebubem. Szanowałem cię, kiedy uciekałaś od Azazela i schowałaś się na Wysypisku. Mało kto by się odważył na takie rzeczy. Ale teraz widzę, że ty po prostu beksa jesteś. Mazgaisz się zamiast walczyć!

– Gówno prawda!

– Dlaczego wtedy uciekałaś? – spytał nagle zupełnie spokojnie, przechylając głowę i patrząc na Duszczykę, jak na robaka na szpilce. – Bo się bzyknała z jakąś dziewczuchą? Przecież to śmieszne.

Usiadł i jakby nigdy nic rozparł się wygodnie w oczekiwaniu na ciekawą historyjkę. Duszczyka patrzyła na niego bez słowa i ku swojemu zdziwieniu poczuła ulgę. Pierwszy raz tak naprawdę miała z kim o tym porozmawiać, choćby to był i diabeł. Powoli usiadła na krześle.

– Nie tylko dlatego. Podłączył do prądu druty na murach rezydencji. Żebym mu nie uciekła – westchnęła i dorzuciła z mściwą satysfakcją. – No to mu pokazałam.

– To jeszcze od biedy mogę zrozumieć, ale i tak nie

myślisz jak diabeł. Trzeba było Azazela wepchnąć na te druty.

– Niby jak to sobie wyobrażasz?

Wymownie popukała palcem w czoło.

– No to mogłaś tę jego zasraną rezydencję wypalić do fundamentów, zrównać z ziemią i zaorać. I posolić na dokładkę. Diabeł by coś wymyślił. A ty jesteś ciota. – Ostatnie słowo wydawało się splunięciem.

– Jak śmiesz?! – znów ogarnęła ją dusząca wściekłość.

– Pokażę ci jak śmiem!

Larden zerwał z głowy rozwichrzoną perukę, odsłaniając niestarannie ogoloną czaszkę pokrytą z lewej strony dziesiątkami wytatuowanych czarnych kropek. Zdawał się wypełniać sobą całą niewielką salkę i Duszczyka nagle z całą siłą poczuła, że przecież ma do czynienia z diabłem. Miała wrażenie, jakby jego oczy przewiercały jej się do mózgu, ale nie opuszczała wzroku.

– Widzisz moje kropki? – spytał całkowicie retorycznie, ale Duszczyka i tak skinęła głową. – Odpokutowałem każdą, z wyjątkiem ostatniego rzutu. Jestem jedynym seryjnym mordercą wśród diabłów, ale ja zawsze, zawsze – powtórzył z naciskiem – znajdę sposób, żeby zabić, nawet kiedy wszystkim się wydaje, że to niemożliwe. A ty się mażesz.

– Mazgaje nie przyjaźnią się z ghulami.

– No faktycznie – Larden z namysłem przejechał dłonią po czaszce porosłej krótką, czarną szczecinią. – Tego nikt nie rozumie. Widać jakoś ci się udało, ale żeby teraz zamykać się w klasztorze, jak jakaś durna Ofelia, tylko dlatego, że...

– Ofelia się utopiła – weszła mu w słowo.

– Tym bardziej durna. Swoją drogą ciekawe, czemu nigdy jej tu nie spotkałem...

– To postać z książki, sieroto – rzuciła z wyższością.

– Tak myślisz?

– Nie myślę. Wiem.

– Wiem, że nie myślisz – prychnął pogardliwie.

– Po co tu przyszedłeś? Jeżeli masz zamiar mnie obrazić, to się wynoś. – Duszczyka podniosła się z krzesła.

– Znów uciekasz, jak spłoszona kura. Ko ko ko – uśmiechnął się triumfalnie. – Siadaj. Przyszedłem, bo tobie zawdzięczam, że praktycznie nie zostałem ukarany za te ostatnie siedemnaście kropek. Swoją drogą musieli mi je zrobić z tyłu głowy, bo na froncie już nie ma miejsca. – Poklepał się po potylicy.

– Fajnie, wpisz je sobie do CV. Co ja niby mam z tym wspólnego?

– Azazel był tak szczęśliwy, że cię odzyskał, że mnie ułaskawił, chociaż zabiłem siedemnaście diabłów, mszcząc się troszkę na wyrost za próbę zabicia i mnie i ciebie. Pierwszy raz w historii szef komuś darował karę.

I pewnie ostatni – dodał z rezygnacją.

– Wyraziłeś swoją wdzięczność i możesz iść.

– Siadaj, mówię.

Wbrew rozsądkowi, nalegającemu, żeby wyjść, Duszczycka posłusznie klapnęła na krzesło.

– Słyszałem, że zwiłaś z podkulonym ogonem, bo Azazel ci leciutko wtłukł. Nie będę pytał za co, bo wtłukłby i mnie, że się wpieprzam, ale swoją drogą, jakie miałaś obrażenia? – spytał rzeczowym tonem, nagle zawodowo zainteresowany techniczną stroną zagadnienia.

– Pół twarzy tak mi spuchło, że nie mogłam otworzyć oka.

– Ogłuchłaś od uderzenia? Wybite zęby? Złamana szczęka?

Pokręciła głową. Tego by jeszcze brakowało.

– Ile razy ci przylał?

– Raz. Ale biłby dalej, gdybym nie wezwała Mefista.

Larden odchylił się w krześle i roześmiał na całe gardło, pokazując światu piękne, białe zęby.

– Przestań się użalać nad swoją słodką buźką. – Pochylił się w przód i nagle spoważniał. – Szef cię tylko pogłaskał. Ciągłe zapominasz, że to diabeł. Gdyby naprawdę chciał cię uderzyć, do tej pory zbierałabyś kawałki głowy aż za murami rezydencji. Nie dramatyzuj. Nie cierpię łzawych kobiet.

Duszczyka poczuła się odarta z poczucia krzywdy, do którego zdążyła się przywiązać i z którym, co tu ukrywać, było jej dobrze. Nie mogła tego wybaczyć. Wstała z krzeselka, wygładziła dłonią sukienkę, która wcale tego nie potrzebowała i odwróciła się w stronę drzwi.

– Nie muszę cię słuchać!

– Ale warto – zawołał za nią. – Jestem jedynym diabłem, więcej, jedyną istotą na świecie, która powie ci prawdę i powinnaś być mi wdzięczna. Reszta albo się boi Azazela, albo chce się podliznąć.

– A ty się niby nie boisz? – gniewnie odwróciła się w jego stronę.

Rozparty w krześle diabeł wzruszył lekceważąco ramionami.

– Jestem maniakalnym mordercą z nieregularną sinusoidą. Wszyscy wiedzą, że jestem świrnięty i nieobliczalny. Za to ty jesteś ciotka-klotka. – Cmoknął z niezadowoleniem. – Kiedy się po piekle rozeszło, że ci przyłożył i cała zabeczana zwiewałaś do niebieskich, myślałem, że to tylko dla przegrupowania sił, że wrócisz i zaczną się rakiety balistyczne, walki na barykadach i stosy trupów na ulicach. A ty siedzisz tu i chlipiesz. Lubisz być ofiarą i co gorsza nie przyjmujesz tej prawdy.

– Gównu wiesz! – wrzasnęła rozjuszona Duszczyka, której te słowa dopiekły do żywego. Miała szczerą

ochotę walnąć go krzeselkiem, nieważne, że przyśrubowanym. Już nabierała powietrza, żeby wykrzyczeć, co myśli o głupich diabłach w ogóle i o Lardenie w szczególności, ale nie zdążyła. Rozległ się dźwięk gongu i przesłodzony głos oznajmił melodyjnie:

– Koniec widzenia.

– Nie! Jeszcze chwila. Poczekaście! Przyszedłem w innej sprawie. To bardzo waż...

Wyłączono mikrofony i w nagłej ciszy Duszczyka bezradnie patrzyła na diabła krzyczącego coś bezgłośnie w jej stronę, ale nie umiała czytać z ust i nie wiedziała, co chciał jej przekazać. Rozłożyła ręce. Anioły w niebieskich aureolach sił porządkowych wyprowadziły go z salki, chociaż odwracał się i jeszcze w drzwiach coś krzyczał, machając peruką jak zdobyczym skalpem.

– Koniec widzenia – powiedział osilek, który niespodziewanie wyrósł za plecami Duszczyki, bezgłośnie jak zjawą.

– Trudno nie zauważyć – mruknęła z przekąsem.

Strażnik złapał ją za łokieć i pociągnął w stronę otwartych drzwi. Słyszał plotki, że ta dziewczyna była kiedyś, z dobrej woli, diabelską kochanką i okazywanie jej szacunku całkowicie go przerastało. Duszczyka wyrwała się gwałtownym ruchem, zadowolona, że jest ktoś, na kim może wyładować gniew i frustrację.

– Nie waż się mnie dotykać. Nawet oni, tam w piekle,

tego nie robili.

Anioł odsunął się i stanął w rozkroku, chowając ręce za siebie, bo oskarżenie o molestowanie zupełnie nie leżało w jego planach.

– Proszę natychmiast opuścić pomieszczenie – rzucił sucho, starając się nie patrzeć na czarownicę, którą pewnie przez pomyłkę wpuszczono do nieba.

Duszczyka wyszła na zewnątrz. Po sinym świetle jarzeniówek w salce widzeń, słońce wydawało się oślepiające i cudownie ciepłe, ona jednak ledwo zwracała na to uwagę. Musiała stawić czoła ponurej prawdzie: Larden miał sporo racji mówiąc, że lubi być ofiarą i że jest magajem. Rozgniewana tym odkryciem szła energicznie, próbując się trochę uspokoić i wszystko przemyśleć.

Oczywiste było, że Larden jest wysłannikiem Eskenezera. Azazela w piekle nie ma, czyli jest gdzieś na ziemi, bo przecież nie w niebie. Tu diabły nie mają wstępu, chyba, że zachodzą jakieś naprawdę nadzwyczajne okoliczności, ale i wtedy muszą mieć zgodę kogoś z samej góry. Ucieczka pobitej kobiety z pewnością nie uprawniała sprawcy do uzyskania przepustki. Wręcz przeciwnie.

Nie sądziła też, żeby przyszedł mediować w sprawie jej powrotu. Azazel przysłałby kogoś znacznie wyżej postawionego, niż maniackalny morderca, który nawet nie

miał stopnia komandosa, a gdyby na taki wariacki pomysł wpadł Eskenezzer, to przyszedłby sam. Nie, tu nie chodziło o jej powrót do Azazela.

Wyrywający się strażnikom diabeł krzyczał coś do niej, ale skoro go nie słyszała, mogła tylko zgadywać. Przywołała w pamięci odwróconą w jej stronę twarz Lardena i zdawało jej się, że woła „Uważaj!” Na co niby miała uważać? Na siebie? Na kogoś konkretnego?

Rozejrzała się podejrzliwie dookoła. Była w obcej dzielnicy i zdała sobie sprawę, że nie ma pojęcia jak dotrzeć do domu. Prawdę mówiąc znakomita większość miasta była jej obca, bo dotychczas Duszczyka zajęta własnym smutkiem, zupełnie nie zwracała uwagi na otoczenie. Mechanicznie odbywała trasę dom-praca-dom, a w wolnych chwilach bawiła się z Jurkiem na podwórku w gry zapamiętane z dzieciństwa. Pozwalało jej to oderwać się od rzeczywistości i wypełnić pustkę po dziecku, którego nigdy nie było.

Okolica, w której się teraz znalazła wydawała się bezpieczna, nieliczni przechodnie nie sprawiali wrażenia morderców, gwałcicieli czy terrorystów. Szli spokojnie, niektórzy prowadzili dzieci, niektórzy jechali samochodem, ot zwykły dzień w spokojnej dzielnicy. Jednak Duszczyce nagle przypomniały się nauki Eskenezera dotyczące bezpieczeństwa w mieście i machina podejrzliwości ruszyła pełną parą. Patrzyła ludziom na

ręce, a nie na twarze, sprawdziła, czy nie ma nic zawieszzonego na szyi, co można by wykorzystać przeciwko niej i złapała mocniej torebkę.

Po kilku krokach zdała sobie sprawę, co robi i zatrzymała się pod kwitnącą akacją. Potrząsnęła głową.

– Kobieto, opamiętaj się – mruknęła do siebie pod nosem. – Jesteś w niebie. W niebie! Tu nic złego cie nie spotka.

Stała chwilę oparta o szorstki pień, wachając aromat drzewa, gdy uderzyła ją nagła myśl. Nudzi się tutaj! Spokojna, bezpieczna egzystencja po prostu potwornie ją nudzi. To dlatego zgodziła się spotkać z Lardenem. Nie z tęsknoty za Azazelem i utraconą miłością, ale z tęsknoty za życiem pełnym działania. Awantura w biurze pozwoliła jej poczuć, że istnieje.

Odwróciła się na pięcie i ostrym marszem ruszyła z powrotem kierunku Biura Pośrednictwa Kontaktów. Stamtąd na pewno trafi do domu.

Po kilku godzinach krążenia po mieście i bezowocnego zastanawiania się dlaczego Eskenezer nie przyszedł sam, tylko wysługiwał się posłańcem, dotarła wreszcie do mieszkania, kompletnie wyczerpana. Na podłodze przy drzwiach zastała kolejną żółtą kopertę z zaproszeniem od Azazela, którą z furią wyrzuciła do kosza.

– Powiedziałeś jej? – Eskenezer marszczył brwi,

patrząc na Lardena. Z formalnego punktu widzenia nie był jego przełożonym, ale kwestia przynależności służbowej tego akurat diabła od wieków była otwarta i mocno niejasna. Do Lardena, powszechnie uważanego za niesterowalnego czubka, żaden z książąt się nie przyznawał i podrzucali go sobie jak gorący kartofel przy każdej próbie przypisania go gdzieś na stałe. Gdyby został oficjalnie uznany za czyjegóż komandosa lub szeregowego żołnierza, czy wręcz zwykłego ciurę, wtedy jego pan musiałby brać na siebie choćby częściową odpowiedzialność za szaleństwa, jakie ten świr popełniał. Nawet nieobliczalny Azazel wydawał się przy nim przewidywalnym przedszkolakiem.

– No więc? – ponaglił go Eskenezer. Twarz miał szarą i pobrużdżoną, a srebrna blizna na policzku wydawała się szersza niż zwykle.

– Właściwie... – zaczął Larden niepewnie i urwał. Wiedział, że zawiódł na całej linii i ich piękny plan zawalił się widowiskowo w blasku niebiańskich jarzeniówek.

– Nie powiedziałaś jej?

Oczy pierwszego komandosa Azazela wbijały się w Lardena jak sztylety. Obietnica, jaką w nich wyczytał sprawiła, że zrobiło mu się nagle bardzo gorąco. Z niewiadomej przyczyny Eskenezer był jedyną istotą w zaświatach, jakiej się bał. Bez słowa pokręcił głową.

– Więc jak spędziłeś przydzielony ci kwadrans?

– Wrzeszczałem na nią – powiedział cicho.

Eskenezer nie wierzył w to, co słyszał. Uderzył pięścią w blat biurka, próbując choć trochę się uspokoić.

– Posłuchaj durniu. Posłałem cię tam, żebyś jej powiedział, co podejrzewamy. Wiesz, co jej grozi. Ona też musi wiedzieć! Musi! Żeby nie wróciła tu nieświadoma i ufna, jak to ona. A ty, bezmózgi kretynie... Dlaczego na nią wrzeszczałeś?

Larden już miał powiedzieć prawdę, ale w porę ugryzł się w język. Eskenezer dostałby szału. Przez chwilę trwali nieruchomo, aż wreszcie komandos podszedł do okna, wychodzącego na dziedziniec koszarów.

– Nie obchodzi mnie jak to zrobisz, byle nikt się nie dowiedział, że przekazaliśmy jej jakąkolwiek wiadomość – powiedział z pozornym spokojem. – Pierwsza wizyta mogła wyglądać jak mediacja w sprawie Azazela, tym bardziej, że skończyło się awanturą. Ale już nie druga, więc jakikolwiek oficjalny kanał odpada. Masz tydzień. A potem...

Odwrócił się i uśmiechnął złowrogo.

Larden już wiedział, że jego roczne dochody mogą nie wystarczyć na łapówki, skoro sprawa ma być załatwiona dyskretnie. Zaczął paskudnie kląć w myślach i nie przestał, póki Eskenezer nie odprawił go machnięciem ręki.

Przez kolejny tydzień życie Duszczyki toczyło się utartym rytmem i gdy uświadomiła sobie, że ma w tej koleinie tkwić przez stulecia, ogarnęła ją zgroza. Rozglądała się wokół, starając się znaleźć cokolwiek, co dałoby jej choć trochę adrenaliny, ale wyglądało na to, że niebo nie oferuje wiele takich możliwości. Zgodziłaby się nawet na polowanie na rekiny, czego zawsze nienawidziła, ale w biurze podróży, do którego się zgłosiła, wybito jej z głowy takie pomysły jako niehumanitarne. Pływanie tam i z powrotem w basenie nie było zbyt ekscytujące, ale pozwalało utrzymać formę, do spółki z siłownią, w której trenerzy zajęli się nią z gorliwością sadysty. Powinna być zadowolona, a jednak ciągle czuła się smutna i samotna.

Dwie koperty, które po powrocie z pracy znalazła leżące na wykładzinie pod drzwiami, stanowiły odstępstwo od codziennej normy. Podniosła je, zaskoczona. Jedna była oczywiście zaproszeniem od Azazela, nadesłanym przez Biuro Pośrednictwa Kontaktów, Sekcja Międzystrefowa. Duszczyka otwierała wszystkie koperty od czasu nieszczęsnego spotkania z Lardenem, bo miała nadzieję, że diabeł przyjdzie ponownie i powie na co ma uważać. Kolejny raz przeżyła rozczarowanie.

Druga koperta była biała i bardzo cienka. Nie napisano na niej ani nazwiska adresata, ani nadawcy i nie

przyklejono znaczka. Duszyczka obejrzała ją podejrzliwie pod światło, zanim ostrożnie otworzyła i zajrzała do środka. Wewnątrz tkwił brudny strzępek papieru z niechlujnie i jakby w pośpiechu nabazgranym adresem, który nic jej nie mówił. Pod spodem widniało zdanie: „natychmiast i nie mów nikomu” i seria wykrzykników.

Charakter pisma, choć raczej powinna powiedzieć charakter bazgrołów, nie był jej znany. Ktokolwiek ją ponaglał do natychmiastowego przyjścia, musiał mieć ważny powód, żeby zadać sobie trud powiadomienia jej w taki tajemniczy sposób.

Ulica, na którą ją kierowano, była dużą arterią, biegnącą niedaleko jej miejsca pracy. Tyle wiedziała, choć nigdy nie zwróciła uwagi na numerację i nie miała pojęcia, o który dom chodzi. Przez chwilę stała niezdecydowana. Wezwanie przyszło od niewiadomo kogo do domu, który niewiadomo gdzie jest i na dokładkę miała tam pójść natychmiast, nikogo nie zawiadamiając. Zdawała sobie sprawę, że to nie jest najrozsądniejsze posunięcie, ale z drugiej strony, była przecież w niebie. Złe nie miało tu wstępu, a nawet gdyby, co gorszego mogłoby ją spotkać, niż to, co dotychczas zafundowało jej piekło?

Zastanawiała się zaledwie przez chwilę, po czym odwróciła się na pięcie i trzaskając drzwiami, wybiegła z domu. Skoro ma być natychmiast, powinna się spie-

szyć. Już miała wzywać taksówkę, gdy pod wpływem wielu przeczytanych w życiu kryminałów uświadomiła sobie, że skoro jej wyprawa ma się odbyć w tajemnicy, musi zrezygnować z tej wygodnej formy podróżowania. Ruszyła biegiem na najbliższy przystanek.

Autobus komunikacji miejskiej dowiózł ją prawie na miejsce. Duszyczka ze zdumieniem stwierdziła, że zna tę kamienicę. Była tu kiedyś z Dezyderiuszem gdy odwiedzali Czepulię, była dziennikarkę, od której kupiła informację jak dotrzeć do Belzebuba. Uśmiechnęła się pod nosem. Czyżby Czepulia, geniusz handlu informacjami, miała jej coś do powiedzenia? Ale czemu w takiej tajemnicy? I czym niby mogła zapłacić, skoro cały jej majątek został w czyścicu pod opieką Dezyderiusza i wszystko wskazuje, że już nigdy nie będzie miała do niego dostępu?

Rozejrzała się dookoła, ale nie stwierdziła nic podejznanego, zresztą nie bardzo wiedziała jak coś takiego miałyby wyglądać. Ruch samochodowy był ogłuszający, nikt na nikogo nie zwracał uwagi, a tłum ludzi przetaczał się po chodnikach w słonecznym blasku. Żaden zamaskowany ninja nie czaił się za drzewem. Niezauważona przez nikogo Duszyczka nacisnęła klamkę i weszła w półmrok eleganckiej klatki schodowej.

Drzwi całkowicie odgrodziły ją od zgiełku ulicy i zalewu słonecznego światła. Wewnątrz było chłodno i ci-

cho, zupełnie jakby znalazła się w innym świecie. Przez chwilę stała nieruchomo, starając się przyzwyczaić oczy do półmroku. Szerokie, marmurowe schody pięły się ku górze, w stronę witraży, rzucających kolorowe plamy światła na jasne stopnie. Arabeska żelaznej balustrady zawijała się na półpiętrze i nikła za zakrętem. Duszycka podniosła wzrok. Na suficie malowane aniołki, jakby nigdy nic, baraszkowały pośród chmur. Pachniało kurzem i pastą do podłogi.

Dłuższą chwilę stała nieruchomo, chłonąc spokój tego domu, gdy usłyszała, jak ktoś powtarza jej imię zirytowanym, teatralnym szeptem. Obejrzała się przez ramię. Dyskretnie ukryte pod schodami, widniały otwarte drzwi do piwnic. To właśnie przez te podziemia przyszli kiedyś z Dezyderiuszem, przemykając się z czyścica jak najbardziej nielegalnie. Zrobiła krok w stronę groźnej, czarnej czeluści i zawahała się. Przyzywający ją szept stał się nagłący, jakby ktokolwiek tkwił w piwnicy, coraz bardziej się niecierpliwił.

– Przecież idę – powiedziała głośno z ledwie słyszalną pretensją. Nie bardzo lubiła, kiedy ją ponaglano.

– Ciiiiii – z dołu dobiegło gniewne syczenie.

Stała w progu i wymacała kontakt na ścianie. Dwie słabe żarówki, jedna tuż przy wejściu, gdzie zaczynały się schody, a druga na dole, wydobyły z mroku zwykłe ceglane ściany, bez marmurów i malowideł. Girlandy

czarnych od kurzu pajęczyn zwisały z półkolistego sklepienia, a koniec korytarza ginął w cieniu.

– Zgaś to cholerstwo! Zwariowałaś? – dobiegł ją wściekły szept. Nadal nie wiedziała, z kim rozmawia.

Weszła do piwnicy, starannie zamykając za sobą drzwi i stanęła na schodach.

– Albo idę ze światłem, albo wcale. Wybieraj!

– Chodź już.

Wreszcie rozpoznała głos. Zaczęła schodzić po krzywych stopniach i gdy była w połowie drogi, zobaczyła Lardena stojącego w końcu korytarza, za otwartymi drzwiami, odsłaniającymi sekretne przejście do innych zaświatów. Ledwie go było widać w czarnym stroju na tle mrocznej czeluści, jaka rozciągała mu się za plecami.

– Czekam od dwóch godzin. Ty chyba tyłem szłaś.

– Nie. Czołgałam się pod ścianami, żeby było w większej tajemnicy. Po co ta konspiracja?

– Siadaj. Nie tu! – zawołał, widząc, że Duszydzka zamierza przejść przez graniczne drzwi. – Po swojej stronie.

– Co za różnica? – spytała, sadowiąc się posłusznie i opierając o mur. Diabeł usiadł pod przeciwległą ścianą i wyciągnął długie nogi.

– W ten sposób każde z nas jest u siebie i możemy przysięgać na co tam nam każą, że nie wyszliśmy poza nasze światy. Poza tym, gdybym ja wszedł do nieba, to

mógłbym uruchomić alarm.

– Znam to przejście. Kiedyś się tędy przedostałam, ale podobno je wykryli i zamknęli. Azazel mi mówił już dawno temu.

Larden roześmiał się.

– Niebiescy ze trzy lata temu połapali się, że ruch tu jest większy, niż na Krupówkach i zamknęli je z wielkim hukiem, pozakładali blokady i poszli sobie. Jakiś czas faktycznie nie działało, ale paru osobom, stąd i stamtąd, było potrzebne, więc je po cichutku uruchomiliśmy. Ale nie możesz przez nie przejść z kilku powodów.

– Na przykład?

– Zaczynijmy od najmniejszego. Nazywa się Mefistofeles.

– No i? Od kiedy Mefisto jest dla mnie zagrożeniem?

– Lepiej, żeby wszyscy myśleli, że siedzisz bezpiecznie w niebie, poza czyimkolwiek zasięgiem. Książę zawsze wie, gdzie kto jest, a jak wie, to może powiedzieć i nowiny się rozejdą.

– Przestań się zgrywać na chodzącą zagadkę.

– Bo nie wiem, jak ci to powiedzieć – rozżościł się.

– Po kolei. – Duszycka zaczęła się niepokoić. Musiała być jakaś groźna przyczyna, dla której Eskenezer zdecydował się na tak nietypową drogę, a i Larden najwyraźniej czegoś się obawiał.

– No dobrze – wziął głęboki wdech, jak przed sko-

kiem do wody. – Pamiętasz Marimar?

– Trudno zapomnieć kogoś, kto prawie mnie zabił. Podobno skazali ją na strącenie do wulkanu i znikła na wieki.

– Nie do końca – mruknął Larden ponuro.

– Co to znaczy? – Poczula chłodne igiełki strachu wędrujące wzdłuż kręgosłupa. Marimar była jej zacieklým wrogiem, co gorsza, gotowym na wszystko. Jeżeli gdzieś żyje, nie spocznie, póki nie osiągnie celu i nie wyeliminuje Duszczyki na zawsze.

– Krwawy Topór stracił wiarę w siebie po tym przesłuchaniu. Marimar się wykrwawiła na śmierć pod jego ręką, a w przypadku diabła to jest po prostu niemożliwe. My nie umieramy. Tego się nie da zrobić nawet kiedy ktoś bardzo się stara. Słyszałaś o demonie, który się nazywa Haures?

Duszczyka pokręciła głową. Stale izolowana przez Azazela, miała słabe pojęcie o piekle i jego mieszkańcach. Z drugiej strony sama nie robiła nic, żeby się dowiedzieć. Życie w błogiej nieświadomości bardzo jej odpowiadało.

– Jemu pierwszemu i, jak myśleliśmy, jednemu udało się ta sztuczka – ciągnął Larden, oparty wygodnie o piwniczną ścianę. Szykowała się dłuższa opowieść i Duszczyka podciągnęła kolana pod brodę. W cienkiej sukience było jej chłodno. – Mieli go za coś ukarać,

dokładnie już dziś nie pamiętam, i strasznie się o to wściekał. Umarł im podczas przesłuchań, co paskudnie wszystkim zaskoczyło. Wtedy jeszcze nikt nie wiedział, że trzeba pozbyć się ciała, krwi i wszystkiego, czym demon może się żywić, żeby pozyskać nowe wcielenie. Trochę trwało, zanim się szefowie połapali i Haures zdążył się wzmocnić, ale na szczęście nie zanadto. On pewnie też na początku nie bardzo wiedział, co i jak. Tak naprawdę nikt nie umie się go teraz pozbyć, ale jakiś sposób musi być, skoro Haures się chowa w jaskiniach i najwyraźniej czegoś się boi. A cała reszta boi się Hauresa i mamy pat.

– A co ma do tego Marimar?

– Najwyraźniej musieli się jakoś dogadać. Pies wie, co mu obiecała czy dała za informację jak się przekształcić w demona. Skoro umarła Krwawemu Toporowi, to znaczy, że umiała. Cwana sztuka.

Duszczyka niespokojnie spojrzała w głąb czarnego tunelu, wiodącego do piekieł. Mogły się tam czaić zastępy demonów, ale w ciemnościach nie sposób było ich dostrzec. Objęła kolana ramionami, starając się zajmować jak najmniej miejsca.

– Cykor. Nie rób takiej wystraszonej miny. Tu jej nie ma.

– A gdzie jest?

– Eskenezzer kazał natychmiast wrzucić ciało Mari-

mar do wulkanu, cela przesłuchań została sprzątnięta i wydezynfekowana tak porządnie, że od nowości nie była taka czysta. Niby zebrali wszystkie szczątki, ale boimy się, że ona siedzi teraz u Rozy i chyba rośnie w siłę.

– Gdzie? – Duszyczka miała wrażenie, jakby ziemia usuwała jej się spod nóg i wyprostowała się gwałtownie. Nieszczęsna Roza została kiedyś w tajemnicy zmuszona przez Belzebuba do przyjęcia zakładu. Przegrała go przez zdradę Azazela i szaleństwo Duszyczki i Belzebub sprzedał ją do burdelu. Uratowana przez Mefista, siedziała teraz w maleńkim domku, który przydzielił jej Belzebub. Była dobrą, spokojną istotą i nigdy nie miała pretensji do Duszyczki, która, wprawdzie nieświadomie, ale wpakowała ją w nieszczęście.

– Gdzie, powiedziałaś? – jęknęła ponownie, mając na dzieję, że się przesłyszała.

– Przecież mówię, że u Rozy. Dziwne rzeczy się tam dzieją i boimy się, że niedługo Marimar się w nią wcieli.

– Jakie rzeczy? – Duszyczka podniosła rękę, żeby mu przerwać.

– Jednemu z patroli coś się nie spodobało w okolicach domu Rozy. Nie pytaj mnie, co – dodał pospiesznie, widząc, że dziewczyna otwiera usta – nie jestem jasnowidzem. Coś było nie tak, jak powinno. Musieli to sprawdzić, więc posłali lipną ekipę kontroli przeciwpożarowej, jak zawsze w takich wypadkach i kazali znaleźć

dziurę w całym, żeby właścicielkę zdenerwować. Kary za zły pepoż potrafią być paskudne, to i diabły czasem nieźle się o to wkurzają. Ona nie była wyjątkiem. Na jedną krótką chwilę zamiast twarzy Rozy zobaczyli Marimar. Udali, że nie zauważyli, zgodzili się wziąć łapówkę i poszli, żeby się nie domyśliła, że wiedzą.

Patrzyła na niego bez słowa, czekając na ciąg dalszy.

– Cholera wie, jak się jej stamtąd pozbyć. Dlatego Eskenezer kazał mi cię ostrzec, żebyś nie przyszła do piekła i nie wpadła niespodziewanie na Rozę, która już nie będzie Rożą, ale wcielonym diabłem.

Duszczyka podniosła się z determinacją. Podjęła decyzję, może i głupią, ale jedyną możliwą.

– Zaprowadź mnie do niej – zażądała.

– Chyba zwariowałaś – zachnął się Larden i wstał, własnym ciałem zagrządzając jej wstęp w głąb korytarza.

– W żadnym wypadku.

– To po co tu przylazłeś? Myślałam, że chcesz mnie zabrać ze sobą.

– Przylazłem, bo Eskenezer kazał mi cię ostrzec.

– A co on ma do ciebie? Nie jesteś z personelu Azazela.

– Jasne, że nie – wzruszył ramionami, dając jej do zrozumienia, że nie wie rzeczy podstawowych – ale jemu się nie odmawia. Posłał mnie do Biura Pośrednictwa Kontaktów, tylko nie zdążyłem ci powiedzieć o co

chodzi. Może to i lepiej. Nigdy nie wiadomo, kto może podsłuchiwać u niebieskich. Eskenezer się wściekł i kazał mi jakoś dać ci znać. Dyskretnie. Czy ty kurde wiesz, ile taka dyskrecja kosztuje?! – wykrzyknął.

Duszczyka skrzyżowała ręce na piersiach.

– Jakbyś na mnie nie wrzeszczał, to byś miał za darmo.

– Niby racja, ale patrzeć nie mogłem na tę twoją świętojebliwą minę pokrzywdzonej dziewicy. Mam swoje kontakty, więc podałem ci wiadomość. Roczną pensję musiałem za to zapłacić. – Pokręcił głową z dezaprobatą dla drożyzny, jaka zaległa się w zaświatach.

– Nie chcę, żebyś by stratny, biedactwo – zakpiła. – Niedaleko miejsca, w którym rozwaliałam samochód, leży trochę złotych kamieni. Poszukaj sobie.

Larden uśmiechnął się szeroko.

– Naiwna kobieto! Eskenezer od razu jak wrócił z tej waszej wyprawy pod niebiańską bramę, to posłał chłopaków, żeby ściągnęli terenówkę Azazela. Nawet nie wiesz jak bardzo są ci teraz wdzięczni. Będą skłonni wiele dla ciebie zrobić. No, w granicach rozsądku.

– Nie zmieniaj tematu. Zabierz mnie do Rozy. Nie mogę jej tak zostawić, bo to wszystko przeze mnie.

– Proszę cię, nie rób tego – Larden spróbował nowej strategii. – Sama nie przetrwasz u nas nawet godziny.

– Nie sama. Pójdziemy razem.

– Jasne! Jak dwa gołębie z piórkami w gębie!

– Już dwa razy szłam przez piekło do Belzebuba i jakoś przetrwałam.

– Powinien cię zbadać specjalista. Jak ty to sobie, romantyczna kretynko, wyobrażasz? – jadłowicie zasyczał diabeł, rozjuszony niepowodzeniem. – Że będziesz się przekradać przez piekło ze sztyletem w zębach i czarną opaską na oku, jak jakiś Jack Sparrow dla ubogich? W życiu nie słyszałem o bardziej rypniętym pomysle! Jeżeli do nas wejdiesz, Eskenezer każe mi nogi z dupska powyrywać i to na wieki.

– Tylko spróbuj mnie zatrzymać! – Duszczyka zrobiła krok do przodu, przekraczając granicę między zaświatami. Larden skrzywił się gniewnie, złapał ją za ramiona i wystawił z powrotem do nieba.

– Czy ty nigdy nie słuchasz poleceń? Ja nie rozumiem, jak Azazel dał radę z tobą wytrzymać.

– Tak, wiem, jestem wrzodem na zdrowym tyłku piekła – krzyknęła, ale diabeł już nie słuchał. Jednym ruchem odepchnął dziewczynę, zatraskując jej solidne drzwi tuż przed nosem. Miała teraz przed sobą perfekcyjną imitację brudnego, ceglanego muru, niczym się nie różniącą od przylegającej ściany.

Gruchnęła na kolana. Gdzieś tu z boku musiał być panel. Pamiętała, że Dezyderiusz nacisnął, czy może przesunął jedną z cegieł. Pod spodem jakiś spryciarz

umieścił cyfrowy panel i jeśli znało się kod, można było przejść. Pytanie czy to było z prawej, czy może z lewej strony od przejścia. Prawa wydawała się zbyt oczywista, zdecydowała się więc na lewą, mając nadzieję że los, choć w tej sprawie, będzie jej sprzyjał. Gorączkowo obmacywała wszystkie cegły po kolei, starając się zdążyć, zanim Larden zniknie w piekielnym niebycie. Mała pełną świadomości, że bez jego pomocy poniesie widowiskową i tragiczną porażkę. Musiała otworzyć te cholerne drzwi i to bardzo szybko.

Pospiesznie przesuwiała dłońmi po kolejnych rzędach cegieł, ale bez efektu. Dezyderiusz pochylał się przy tym, ale jak nisko? Nie była pewna. Metodycznie przesuwiała dłońmi ku górze. Wreszcie jedna z naciśniętych cegieł odskoczyła, odsłaniając podświetlany panel.

Dezyderiusz mówił wtedy, żeby zapamiętała kod, bo nigdy nie wiadomo, co i kiedy może się przydać. To była data bitwy pod Grunwaldem, miesiąc i rok. Uważnie, żeby się nie pomylić, nacisnęła zero, siedem, jeden, cztery, jeden, zero. Odwróciła głowę w stronę drzwi, oczekując, że się otworzą, ale te ani drgnęły. Ogarnęła ją rozpacz. Widocznie zmienili kod po interwencji niebieskich. Ponownie spojrzała na panel i dopiero w tej chwili w półmroku słabo oświetlonej piwnicy zauważyła mały przycisk umieszczony tuż pod klawiaturą. Był oznaczony zielonym kluczykiem. Wcisnęła go z całej siły.

Drzwi otworzyły się z cichym kliknięciem. Duszyczka zerwała się z kolan i zjrzała w głąb korytarza, ale po diable nie było śladu.

– Larden! – krzyknęła w desperacji, wbiegając kilkanaście kroków w czarną czeluść. Gdzieś daleko majaczyła kolejna słaba żarówka, ale diabła nigdzie nie było widać. – Pójdę tam, z twoją pomocą, czy bez niej! Słyszysz? Larden!

Odpowiedziała jej cisza. Najwyraźniej szantaż trafił w próżnię. Stała chwilę nie mogąc się zdecydować, co robić. Już miała zawrócić do swojego świata, gdy usłyszała prędki tupot stóp i z mroku wyłonił się wściekły Larden.

– Nie wrzeszcz tak! Kompletna wariatka!

– Będę wrzeszczeć! Nie interesuje mnie, kto, co i skąd ci powyrywa, to twoja broszka. Lucyfer zaproponował mi u was posadę z pominięciem rekrutacji – mówiła gorączkowo. – Odmówiłam, bo absolutnie nie chcę robić kariery jako diabełek, ale jeśli mnie nie zabierzesz, to przyjmę tę pracę i przysięgam na Belzebuba, że poświęcę resztę wieczności, żeby cię tropić i zabijać ile razy zdołam – zaryzykowała.

Przez chwilę w milczeniu patrzyli sobie w oczy. Twarz diabła była całkowicie pozbawiona wyrazu.

– Szantażystka – szepnął bardziej do siebie, iż do niej i wydawał się zdziwiony taką bezczelnością.

– Ale mogę cię pięknie wynagrodzić, jeżeli mnie tam zabierzesz. Dostaniesz... trzykrotność rocznych dochodów – strzeliła, nie wiedząc ile diabły mogą zarabiać. Sądziła, że niedużo, ale psychopata do zadań specjalnych mógł być wynagradzany po królewsku. No cóż, najwyżej zadłuży się u Icka Szwindelkopfa.

Larden złapał ją za ramiona, w dwóch susach przeniósł z powrotem przez drzwi do nieba i energicznie postawił na podłodze. Patrzył spod przymrużonych powiek, jakby zobaczył ją po raz pierwszy w życiu. Kobieta Azazela zawsze stanowiła dla niego zagadkę. Czasem miękka, jak masło i niestawiająca oporu, czasem twarda, jak teraz. Nie rozumiał kobiet, a tej w szczególności, ale wyraz jej twarzy wydał mu się znajomy. Widywał go w lustrze, jeżeli miał okazję się przejrzeć. Był w tej kobiecie podobny rodzaj szaleństwa i uwierzył, że mówiła prawdę.

– W dupie mam twoje pieniądze! – zaczął i urwał. Od dawna nie wygłosił takiego strasznego łgarstwa i zaważał się, czy nie trafi go piorun nie tyle z jasnego nieba, ile z brudnego sufitu. Jednak zaświaty zignorowały go całkowicie.

Duszczyka stała bez ruchu, mając świadomość, że teraz ważą się jej losy. Diabeł był wysoki i musiała zadrzeć głowę, żeby patrzeć mu w twarz, ale nie opuszczała wzroku. Wpatrywał się w nią intensywnie, taksując

z góry na dół i rozważał wszystkie za i przeciw.

– Chcesz iść w tej sukienusi? – powiedział wreszcie drwiąco, po długiej chwili milczenia. – Może jeszcze pierdykniesz sobie większy dekolcik i falbankę?

Duszczyka uśmiechnęła się szeroko. Wygrała.

– Założę na siebie, co każesz, będę bez szemrania wykonywać polecenia i dobrze ci zapłacę. Zrobię coś jeszcze. Własnym ciałem zasłonę cię przed Eskenezerem, jeśli się o nas dowie. Daj mi dwie godziny.

– To jakiś obłęd, a ty jesteś kopnięta – westchnął diabeł – ale ci pomogę. Przed Eskenezerem nie zasłonisz mnie nawet stalową tarczą z polem grawitacyjnym, a co dopiero takim ciałkiem, więc o tym zapomnij. Przyjdź jutro po południu, powiedzmy o czwartej, ubrana na czarno, tylko nie próbuj się wcielać w komandosa – przestrzegł surowo. – Muszę przygotować naszą akcję, a dwie godziny to za mało.

Duszczyka energicznie przytaknęła.

– Dobra. Tylko pamiętaj, jeżeli mnie wystawisz...

Larden wyciągnął otwartą dłoń w jej stronę i dziewczyna przybiła piątkę.

– Jesteśmy parą czubków – powiedział bardziej do siebie, niż do niej i zatrzasnął drzwi.

Usmarowana kurzem Duszczyka w brudnej od pajęczyn sukience, powoli wyszła z piwnicy na pełen blasku i bezpieczny niebiański świat, którego nie umiała polu-

bić.

Eskenezzer siedział w gabinecie Azazela i odbierał telefony. Tego dnia musiał już być uprzejmy dla sekretarza Lucyfera, co nie było jeszcze takie trudne, dla sekretarza Belzebuba, co przyszło mu już z pewnym wysiłkiem i dla dyżurnego dysponenta w zewnętrznym sekretariacie Najwyższej Hierarchii. Ta ostatnia rozmowa, niestety, zakończyła się awanturą, bo cierpliwość Eskenezera została wyczerpana. Wiedział, że będzie teraz musiał zadzwonić do nich ponownie i załagodzić sprawę z tym zarozumiałym, niebiańskim dupkiem Jak-mu-tam, co złościło go jeszcze bardziej. Nie rozumiał, jak Azazel mógł pogodzić wszystkie obowiązki, nie popadając w konflikt z całym światem i mając jeszcze czas dla swojej kobiety i dla dziwek, z którymi przez jakiś czas ją zdradzał. Zapalił papierosa i zaciągnął się głęboko.

Myśl o Duszyccze sprawiła, że odłożył papiery i zamarł, rozparty w skórzanym fotelu, patrząc niewidzącym wzrokiem w okno. Dźwięk kolejnego telefonu wyrwał go z niewesołych rozmyślań.

– Tak? – warknął do słuchawki, nawet nie sprawdzając, z kim rozmawia.

– Larden.

– Załatwiłeś? – w głosie Eskenezera dało się słyszeć

napięcie. Ostrzeżenie Duszycki traktował jako priorytet i gdyby Lardenowi się nie udało, musiałby się wybrać do nieba osobiście. Nie uszłoby to powszechnej uwadze, a pogłoski o jego wizycie na pewno by się rozeszły. Nie chciał tego. Dopóki Marimar nie wie, że uprzedzono Duszyckę o niebezpieczeństwie, dopóty, w razie czego, mają przewagę zaskoczenia. Nie chciał nawet myśleć, co by to „w razie czego” miało znaczyć.

– Tak, przekazałem wszystko. – Głos Lardena był przytłumiony, jakby dzwonił co najmniej z sąsiedniej galaktyki.

– Jak to zniosła?

– Wkurzyła się.

Pasowało. Podejrzewał, że dziewczyna się rozzłości.

– Chciała iść do nas?

– Próbowala, ale chyba jej to wybiłem z głowy. Gdzież ona w jakiejś sukience w kwiatki i na szpilkach dałaby radę! – Larden jak zawsze mówił tylko część prawdy. Doświadczenie nauczyło go, że nie ma nic lepszego nad umiejętnie dawkowaną prawdę. To buduje zaufanie.

– Dobrze – westchnął Eskenezer. Nie wierzył, że Duszycka tak łatwo odpuści. Ta kobieta obfitowała w szalone pomysły. Trzeba zlecić większą czujność przy bramach i starannie monitorować kanały, żeby się nie przemknęła niepostrzeżenie.

– Jakiś czas będę teraz nieosiągalny, szefie – Larden

przerwał mu rozmyślenia. – Dam znać jak tylko skończę misję.

– Zajmujesz się czymś konkretnym? – spytał Eskenezera obojętnie i raczej z obowiązku, niż z prawdziwego zainteresowania. Rutynowe działania Lardena nic go nie obchodziły.

– Mam na oku pewną dzidzię – rzucił enigmatycznie. Nikt nie będzie mógł później zarzucić mu, że okłamał Eskenezera, miał jednak nadzieję, że niedopowiedzenie zostanie zinterpretowane po jego myśli i nie pomylił się.

– Znów pogorszysz policji wykrywalność najcięższych przestępstw? Powodzenia.

– Nie dziękuję, żeby nie zapeszyć. – Diabeł uśmiechnął się pod nosem, po czym wyjął kartę z telefonu i schował ją do kieszeni, a aparat wyrzucił na przejeżdżającą ciężarówkę. Tym razem nie da się tak łatwo namierzyć.

Marimar przetrwała własną śmierć. Była teraz zaledwie myślą, zlepkiem nienawiści, strachu i bólu, kłębką czystej energii, zbyt małym, aby się poruszać, ale nadal istniała, na przekór wszystkim i wszystkiemu. Tkwiła, bezcielesna i bezsilna, w salce przesłuchań, obserwując niedowierzanie i gniew Krwawego Topora, który patrzył na bezwładne ciało, nadal przykute łańcuchami do ściany i na kałużę krwi na brudnej podłodze.

Potem rzucił rękawiczki, zabrał ze stołu czerwony toporek i wyszedł, zamykając drzwi na klucz.

Miała nadzieję, że nie będą jej teraz przeszkadzać, że zostawią czas, by mogła, wzorem Hauresa, wykorzystać własne szczątki i przyoblec się w ciało. Choćby częściowo. Wkrótce po wyjściu Krwawego Topora w sali pojawił się jednak Eskenezzer, jedyny diabeł na świecie na tyle silny, by mógł ją całkowicie unicestwić wyłącznie siłą woli, ale który, na szczęście dla niej, nie był tego świadomy. Kiedy wpadł do sali, jego nienawiść uderzyła Marimar gorącą falą, odbierając nawet te maleńkie ilości fizycznej powłoki, jakie zdołała zgromadzić. W jego obecności czuła się bezradna.

Po kilku minutach pojawili się pracownicy służby ochrony chemicznej w białych uniformach. Była teraz w stanie wyczuwać emocje innych, wiedziała, że dwóch z ich się jej boi i nienawidzi, za to trzeci... ach jakie to cudowne uczucie... trzeci patrzył na przykute do ściany martwe, nagie ciało i żałował, że już jej nie ma. Nie współczuł jej. Raczej ubolewał, że taka kobieta już nie istnieje, że on jej nie dostanie. Nie było to do końca uczucie, o jakie chodziło, ale wystarczyło, by dać jej trochę sił, by mogła, czepiając się jego myśli, wydostać się na korytarz i patrzeć na to, co właściwie było pogrzebem. Widziała, jak wynoszą jej zwłoki, zmywają krew z podłogi, zbierają wszystko, czym jej dotykali i wywożą

do wulkanu. Chcieli ją zamknąć w pustej sali, żeby tam została na wieki, bez szansy na zdobycie nowego ciała.

Triumfalnie wydostała się na dziedziniec. Starając się nie pamiętać o Eskenezerze, czepiała się wszystkich diabłów, którzy myśleli o niej choć trochę pozytywnie, dodając jej sił. Ci przynosili ją coraz dalej od prześladowców. Pierwotnie chciała dotrzeć do jaskiń Hauresa, ale po drodze wpadła na lepszy pomysł i zapragnęła rozesmiać się na cały głos. Tego się nie spodziewali. Jej zemsta będzie słodka!

– No nie wierzę, że przylazłaś tu z tą pieprzoną aureolką!

Duszczyka wyciągnęła rękę nad głowę, zdjęła srebrny krążek i z brzękiem upuściła na podłogę.

– Faktycznie, kompletnie zapomniałam o tym cholerstwie. Dali mi przy wejściu, jako standardowe wyposażenie. Nosłam, żeby się nie wyróżniać.

Od ich poprzedniego spotkania upłynęła prawie doba. Znów stali w piwnicy domu Czepulii, na razie każde po swojej stronie zaświatów. Ku niezadowoleniu Lardena, Duszczyka założyła na siebie czarne, wojskowe spodnie i bluzę, imitujące strój piekielnego komandos. Miała nadzieję, że tak ubrana nie będzie się za bardzo rzucać w oczy na tle innych diabłów. Na nogi włożyła sznurowane, solidne glany. Uznała je za dogod-

ny oręż bojowy, choć swego czasu Eskenezer tłumaczył jej, że walczyć nogami trzeba umieć, i żeby nigdy tego nie robiła, bo każdy, nawet słabo wyszkolony żołnierz, wykorzysta to przeciwko niej.

– Mówiłem, żebyś się nie ubierała, jak komandos, nie? Czy ty nigdy nie umiesz zrobić tego, o co się prosi? Jak się trafi ktoś z wyższej szarży, to się oczywiście o to przypieprzy. Mundur musi mieć naszywki, a jak ich nie masz to jesteś dezterem i trzeba cię natychmiast zgarnąć. A tam co masz? – Ruchem głowy wskazał na trzymany przez nią w rękach wypchany plecak.

– Suchy prowiant i wodę na tydzień.

– Dobrze się czujesz? Ile to waży?

– Nie jestem prawdziwym aniołem. Muszę jeść i spać i nic na to nie poradzę. Tak mnie urządził ten drań Belzebub.

– Ciekawe, jak dasz radę z tym biegać, bo ja mam swoje rzeczy do noszenia.

– Z każdym dniem szybciej. Nie twoje zmartwienie.

– Teraz cała jesteś moim zmartwieniem – burknął kwaśno.

Dłuższą chwilę przyglądał jej się krytycznie. Czuł, że coś było nie w porządku, ale nie mógł sobie uświadomić o co chodzi. Obejrzał porządne buty, które nie budziły zastrzeżeń, uniform, który przynajmniej kolorystycznie nie odstawał od większości diabolicznych strojów,

czapkę z daszkiem, która była zanadto dziewczynska, ale usmarowana popiołem z pierwszego napotkanego ogniska nabierze właściwego wyglądu. Wreszcie zrozumiał i z niezadowoleniem pokiwał głową.

– Do niczego. Nie możesz tak iść, bo każdy cię rozpozna. Od razu widać, że dziewczucha.

Duszczyka bezradnie rozłożyła ręce. Nie miała więcej pomysłów. W domu zabandażowała piersi, pół nocy majstrowała poduszki z pociętego ręcznika i kawałków plastikowej teczki na dokumenty ukradzonej z pracy. Wyszły trochę pokracznie, ale i tak wszyła je w bluzę, żeby poszerzyć ramiona i stworzyć przeciwwagę dla zbyt szerokich, jak na chłopaka bioder. W swojej opinii nic więcej nie mogła zrobić, żeby się upodobnić do rezydentów piekła.

Diabeł chwycił jej włosy w dłoń, zgarnął do tyłu i uśmiechnął się. Duszczyka popatrzyła pytająco, a Larden schylił się, z cholewki wysokiego, sznurowanego buta wyciągnął brzytwę i majtnął jej przed nosem.

– Ogolimy cię na łyso i po kłopocie.

Nie wierzyła w to, co usłyszała.

– Wypileś pół litra przed śniadaniem, czy co? Schowam je pod czapkę.

Szarpnęła głową w tył próbując się uwolnić, ale trzymał ją mocno i o mało nie wyrwała sobie połowy włosów, tym samym rozwiązując problem. Ruch ręki Lar-

dena był tak szybki, że nawet nie zdążyła go zauważyć. Na ziemię spadło duże pasmo włosów obciętych tuż przy skórze.

– Nigdzie nie schowasz. I nie kręć się, bo jeszcze ci niechcący uszy poobcinam – powiedział rzeczowo. – Krew działa na mnie... powiedzmy pobudzająco, pamiętaj o tym.

Duszczyka skamieniała, a diabeł wprawnymi ruchami obciął jej włosy na krótko, choć potwornie krzywo. Gdy skończył, ze zgrozą pomacała się po głowie, ciesząc się, że w okolicy nie ma luster, podczas gdy Larden z zadowoleniem na twarzy podziwiał swoje dzieło.

– Ty chyba zwariowałeś! – krzyknęła, tupiąc nogą.

Diabeł wyglądał na nieco urażonego.

– Przeciwnie. Teraz jest prawie dobrze. – Kopniakiem zatrzasnął drzwi do nieba, po czym pociągnął dziewczynę za rękę w głąb podziemi. – Chodź, zmywamy się stąd, zanim jakiś przemytnik nas nakryje. Ogołę cię porządnie, jak tylko wejdziemy do piekła. Będziesz miała naprawdę elegancką głacę. Spodoba ci się, zobaczysz.

Biegła za nim, modląc się w duchu, żeby przez najbliższe tygodnie nie musiała się oglądać w żadnym lustrze.

W piwnicznym korytarzu pozostały tylko ledwie widoczne w mroku, rozrzucone po podłodze pasma wło-

sów i samotna aureolka leżąca smętnie pod ścianą.

Czekając na Azazela, Eskenezer stał w niewielkiej salce i ze zniecierpliwieniem stukał trzonkiem bicia w cholewkę żołnierskiego buta. Śmierdziało tu gorzej niż w koszarach i diabeł z trudem tłumił w sobie chęć zagonienia dyżurnych do karnego sprzątnięcia terenu szczoteczkami do zębów. Pomieszczenie było małe i pozbawione okien, przez co zaduch stawał się nieznośny. Eskenezerowi wydawało się, że czeka w nieskończoność i nie rozumiał, jak jego dowódca może tu wytrzymywać i to, co dziwniejsze, z własnej woli.

Kiedy wreszcie, sprowadzony przez nadzorcę Azazel wszedł do środka, zaduch w pomieszczeniu znacząco się zwiększył. Księżę wyglądał gorzej, niż ostatnim razem, o ile to w ogóle jeszcze było możliwe. Brudny i obdarty, miał nieogolone, zapadnięte policzki i ziemistą cerę. Niestrzyżone, poszarzałe od kurzu włosy spadały strąkami na ramiona i tylko czarne oczy płonęły tym samym blaskiem, dając świadectwo, że nadal jest to ten sam Azazel, jakiego Eskenezer znał od zarania świata.

– Powiedzieliście jej? – spytał Azazel chrapliwie, gdy tylko przywitani się krótkim uściskiem dłoni. Nie odzywał się od ostatniej wizyty Eskenezera i musiał się od nowa przyzwyczajać do używania głosu.

– Oczywiście. Miałem wybór między Lardenem,

a Velarem, bo tylko ich twoja kobieta zna i zaakceptuje. Posłałem Lardena, bo jest mimo wszystko jakby bardziej inteligentny. Twego sekretarza, panie, skreśliłem od razu. Ona go nie lubi i nie chciałaby z nim rozmawiać.

– Jak zareagowała?

– Chciała tu przyjść.

Azazel z wściekłością i strachem jednocześnie, złapał Eskenezera za koszulę.

– Nie wolno ci do tego dopuścić, rozumiesz? Nie wolno! Ona w żadnym wypadku nie może tu przyjść. Przy najmniej dopóki nie rozwiążemy problemu z Marimar.

– To może potrwać – mruknął ponuro Eskenezera. – Hauresa traktujemy jak kupę gówna i obchodzimy szerokim łukiem już ze czterysta lat, jak nie więcej. I nadal nikt nie wie jak się go bezpiecznie pozbyć.

– Marimar z pewnością z nim rozmawiała, skoro ją nauczył tej sztuczki. Czyli można do niego podejść i przeżyć. Pilnuj Duszczyki. Ona jest zdolna do każdego szaleństwa, jak coś sobie wbije do głowy. Obaj to wiemy.

Eskenezera przytaknął ponuro. Odpowiedzialność za bezpieczeństwo ukochanej kobiety sprawiała, że robił się coraz bardziej nerwowy, a chroniczny brak czasu przekładał się na niestaranne wypełnianie obowiązków. Bał się, że w kluczowym momencie zabraknie mu

czasu albo uwagi i przeoczy coś naprawdę ważnego. Wyjął paczkę papierosów, poczęstował Azazela i obaj palili przez chwilę w milczeniu, zaciągając się głęboko. Pokój natychmiast wypełnił się niebieskawym dymem.

– Nie rob takiej miny – powiedział Azazel, patrząc z powagą na swojego pierwszego komandosa. – Wiem, że jesteś zaharowany, ale ja tu zostanę.

– Czy nie możesz, panie, jeszcze raz przemyśleć tej decyzji? Po misji Lardena istnieją wszelkie szanse, że zostaniesz tu na zawsze!

– Nie będę robił z gęby cholewy – powiedział Azazel zmęczonym głosem. – Powiedziałem, co powiedziałem i zamierzam dotrzymać słowa. A jeżeli tobie się to nie podoba, to trudno.

– Jestem żołnierzem, panie – Eskenezer wydawał się urażony. – Jestem od wykonywania rozkazów i wydawania poleceń swoim podwładnym, a nie od tego, żeby mi się coś podobało, albo nie.

– Przepraszam cię, Eskenezerze. Nie chciałem być opryskliwy.

Diabeł spojrział zdumiony. Pierwszy raz zdarzyło się, że szef go za coś przeprosił. Poczul się niezręcznie i przez chwilę patrzył w bok, unikając wzroku Azazela, który podszedł i poklepał go po ramieniu.

– No, no, nie bądź taki spięty. Pilnuj Duszycki i wpadnij do mnie jeszcze kiedyś – uśmiechnął się. –

Teraz muszę już iść.

Eskenazer stał jeszcze długo, wpatrując się w drzwi, za którymi zniknął jego szef i czuł się zarazem bezradny i wściekły. Czy naprawdę trzeba dotrzymywać słowa za wszelką cenę? Przecież to bzdura dobra dla aniołów. Kto to słyszał, żeby książęta piekielni byli słowni?!

Wyszedł na zewnątrz trzaskając drzwiami z taką siłą, że pękły na pół. Obejrzał się przez ramię. Musiał się jakoś wyładować. Wsiadł do otwartego gazika i na złamanie karku pognął w stronę koszar. Z jakiejś przyczyny pęd powietrza zazwyczaj działał na niego uspokajająco.

Korytarz, którym szli rozgałęział się wielokrotnie, tworząc obłąkańczy labirynt, wypisz wymaluj, w sam raz dla Minotaura. Duszyczka przez jakiś czas poznawała drogę, którą szła z Dezyderiuszem, ale w pewnym miejscu diabeł precyzyjnie przecisnął się przez szczelinę w skale i odtąd wędrowali korytarzem węższym i pozbawionym jakiegokolwiek oświetlenia. Larden wyjął ze swojego plecaka latarkę, ale Duszyczka i tak potykała się co kilka kroków, wywołując jego zniecierpliwienie.

– Musimy się spieszyć. Ta droga to jeden z ulubionych szlaków naszych przemytników, a nie chcemy ich spotkać. Jeszcze kawałek, potem przejdziemy przez torowiska, to jest najgorsze, a dalej już będzie luz.

– Te same torowiska, po których Dezyderiusz drezy-

na jeździł? – zdziwiła się.

– Skąd mam wiedzieć, gdzie ten geszefciarz jeździł? – prychnął pogardliwie. – Pełno tu różnych tuneli, jak w szwajcarskim serze. Niektórymi dojedziesz do nieba, innymi do rafinerii, a są i takie, które prowadzą bezpośrednio do piekła, ale te są u nas na ogół dobrze pilnowane.

– Wiem, że jest wyjście z tunelu z przewodami telefonicznymi gdzieś w okolicach pałacu Belzebuba. Szłam tamtędy z Marimar.

– I nie załatwiła cię, kiedy miała okazję? Jaki błąd! – uśmiechnął się Larden. – Ale w tym tunelu Belzebub kazał miesiąc temu zaspawać wszystkie klapy. Nie podobало mu się wyjście tuż obok jego pałacu, bo się tam za wiele działo. Za parę tygodni chłopaki odetną klapy i na jakiś czas będzie po sprawie.

– A daleko jeszcze to nasze wejście?

– Moje wejście. Prywatne. Nikt o nim nie wie i jak komuś wygadasz, wyrwę ci język.

– Zanim to zrobisz, odgryzę ci palce. Niby komu miałabym wygadać?

– Ciiii – Larden podszedł do oświetlonego korytarza, biegnącego w poprzek ich drogi, zdjął plecak i stanął płasko przy murze, a Duszycka tuż za nim. Oboje wyglądali, jak dwa czarne cienie. Diabeł ostrożnie wysunął głowę i wyjrzał w obie strony, natychmiast się cofając.

– Przebiegniemy teraz kawałek tym korytarzem, potem się położymy przy torach i wturlamy pod peron, ja pierwszy, a ty za mną, jasne? – spytał.

Z przejęciem kiwnęła głową.

– Biegiesz, jakby cię stado diabłów goniło. Właściwie, to w każdej chwili może gonić – dodał po sekundzie wahania. – Tu często chodzą albo jeżdżą patrole.

Odwrócił głowę w jej stronę i obrzucił uważnym spojrzeniem.

– Gotowa? No to jazda!

Larden wyprysnął z bocznego, ciemnego korytarza na jasno oświetloną przestrzeń. Pędził do przodu pomiędzy błyszczącymi szynami, zostawiając Duszczykę za sobą. Żadne treningi nie byłyby w stanie przygotować jej do rywalizacji ze sprawnym fizycznie diabłem, ale robiła co mogła, żeby nadążyć. Po kilkudziesięciu krokach Larden szczupakiem wylądował przy kamiennym peronie, pod którym widniało niewielkie zagłębienie, jak rynsztok na ziemskich ulicach. Wydawało się tak płytkie, jakby mógł się w nim zmieścić najwyżej średniej wielkości sznur, a jednak diabeł poczołgał się w głąb i zniknął.

Duszczyka upadła plackiem na ziemię. Próbowwała wczougać się za Lardenem, ale coś ją trzymało. Rozpaczliwie walczyła, żeby się uwolnić, gdy usłyszała dobiegający z ciemności głos diabła.

– Plecak zdejmij! Plecak! – wołał nagle.

Duszczyka wyślizgnęła się z szelek i wpełzła pod peron, wciągając plecak za sobą. W tej samej chwili usłyszeli nad głowami łoskot pędzącej po torach drezyny.

W jamie było ciemno i chłodno, a ledwie wyczuwalny przeciąg przynosił niepokojący, metaliczny zapaszek, który nieodparcie kojarzył się z piekłem. Duszczyka przez chwilę leżała bez ruchu, starając się uspokoić oddech.

– Matko moja jedyna – wysapała w końcu, szczerząc zęby. – Jak mustangi, no nie?

Pomimo ciemności poczuła, że Larden też się uśmiechnął.

– Mieliśmy cholerne szczęście, a teraz się zbieraj, rumaku. Kawalek pogalopujesz na czworakach – powiedział i zaczął się czołgać w głąb jamy.

Posuwali się powoli niskim korytarzem, choć Duszczyka musiała ucziwie przyznać, że wolno posuwała się tylko ona. Larden niemal biegł na czworakach, jakby całe życie poruszał się tylko w ten sposób i co jakiś czas przystawał, czekając, aż dziewczyna go dogoni.

Normalnie założony plecak nie mieściłby się pod niskim sklepieniem korytarza i Duszczyka musiała go wlec za sobą. Próbowwała nieść go w zębach, ale szybko uznała, że jest to doskonały sposób na błyskawiczną

utrata siekaczy. Wlokące się po ziemi szelki złośliwie zahaczały o każdy kamień, spowalniając ją dodatkowo. Nie rozumiała, jak coś, co uznała za niezbyt ciężkie, może z każdym krokiem ważyć więcej i więcej. Co gorsza pył podniesiony przez idącego przed nią Lardena dusił w gardle, a nieprzywykłe do tak brutalnego traktowania kolana bolały przy każdym kroku. Zaciśnęła zęby i bez słowa skargi podążała do przodu. Skoro diabeł potrafi, to ona też da radę. W niczym nie będzie gorsza – przekonywała samą siebie, wbrew oczywistej prawdzie. Lata spędzone z Azazelem spowodowały dramatyczny spadek formy i tylko siebie mogła za to winić.

Larden zatrzymał się kolejny raz, a kiedy go dogoniła, poczuła wyraźniejszy powiew świeżego powietrza. O ile zalatujące metalem i siarką piekielne powietrze może być uznane za świeże. Dopiero teraz zdała sobie sprawę jak bardzo się do tej pory dusiła. Diabeł usiadł, opierając się o ścianę i Duszczyka z wdzięcznością poszła za jego przykładem. Jej zmaltretowane kolana były gotowe śpiewać pieśni dziękczynne.

– Za chwilę wyjdziemy za zewnątrz – powiedział diabeł ściszone głosem – Widzisz to światełko? – spytał, wykonując gest, w którym Duszczyka domyśliła się wskazywania na coś ręką.

Wytrzeszczyła oczy. Istotnie, odnosiła wrażenie, jakby gdzieś w oddali przed nimi ciemność była mniej gę-

sta, ale gdyby miała się zakładać, nie postawiłaby na to nawet złotówki. Widziała jaśniejszą plamę, bo bardzo chciała ją zobaczyć. Kiwnęła głową w odpowiedzi, choć diabeł musiałby mieć oczy kota, żeby to dostrzec.

– W piekle jeszcze jest dzień, więc wyjdę pierwszy i rozejrzę się dookoła. Moją obecność da się łatwo wytłumaczyć, gorzej z tobą, więc poczekaś w środku, aż teren będzie czysty. Idziemy.

Z każdym krokiem robiło się coraz jaśniej i Duszczyka nabierała animuszu. Klaustrofobiczne, podziemne korytarze nie były jej naturalnym środowiskiem. Sklepienie podniosło się i Larden wstał, nie zwracając uwagi na gramolącą się za nim dziewczynę. Jego sposób bycia nie przewidywał pomagania kobietom w trudnych sytuacjach. Wybaczyła mu to.

Korytarz skręcił łagodnym łukiem oczom Duszczyki ukazał się niewielki prześwit, tuż przy ziemi. Diabeł ukląkł i wystawił przezeń głowę. Chwilę trwał w mało eleganckiej, wypiętej pozycji i Duszczyka poprzysięgła sobie nigdy nie przechodzić przez tę dziurę przed nim. Wreszcie cofnęła się, przesuwając dłonią po głowie, żeby zetrzeć pył.

– W porządku. Wyjdę pierwszy i się rozejrzę. Jeśli nikogo nie ma, zagwizdzę coś. Nie ma na świecie takich pieniędzy, za które zgodziłbym się utracić moje tajne przejście.

– Twoje?

– Jeszcze nikt o nim nie wie, tylko ja. Cudowna kryjówka.

– Dziękuję, że masz do mnie na tyle zaufania, że mi pokazałeś.

– To nie ma nic wspólnego z zaufaniem. I tak tu sama nie trafisz – prychnął lekceważąco i wyczołgał się na zewnątrz, pchając plecak przed sobą.

Duszyczka uklękła przy otworze, próbując wyrzucić na zewnątrz, ale przed wejściem stał duży, szary głaz, skutecznie zasłaniając widok.

Oblizwała spierzchnięte wargi. Skoro już dostała moment wytchnienia, może go dobrze wykorzystać, nie spowalniając ich wyprawy.

Z bocznej kieszeni bojówek wyjęła pierwszą z niewielkich butelek wody, zabranej z nieba i wzięła do ust cudowny, obfity haust. Chwilę trzymała go buzi, zanim pozwoliła wodzie spłynąć do gardła. Wzięła kolejny łyk, już mniejszy i z westchnieniem zakręciła butelkę. Nie wiadomo ile czasu upłynie, zanim dotrą do jaskini Haurresa, a potem do domku Rozy. Trzeba oszczędzać wodę. Z zewnątrz dobiegło pogwizdywanie Lardena.

– Co gwizdałeś? – zaciekawiała się Duszyczka, gdy wypełzła z ciasnego korytarza na otwartą przestrzeń i wreszcie mogła się naprawdę wyprostować. Przed nią

otwierała się szeroka panorama piekła, z nieodłącznym wulkanem, wyrzucającym w zachmurzone niebo tysiącami złotych i czerwonych iskier. W szarości dnia widziała wijące się po wzgórzach drogi, dalekie, fabryczne budynki, z których unosił się dym, gdzieś rozrzucone rezydencje z jasnego kamienia. Daleko, na pagórku majaczył zarys pięknego, różowobiałego pałacu Belzebuba, górującego nad okolicą. Z tego miejsca nie dawało się zobaczyć zasłoniętego przez wulkan Wysypiska, które swego czasu o mało nie pogrzebało Duszczyki na zawsze. Szukała wzrokiem rezydencji Azazela, ale nie mogła jej dostrzec. Głęboko wciągnęła powietrze, karcąc się za sentymentalizm.

– Kiedy święci maszerują – powiedział Larden z roz-targnieniem, zajęty układaniem niewielkiego ogniska, osłoniętego od najbliższej drogi murem z luźno ułożonych głazów.

– Tu maszerują? – zdumiała się, rozglądając na wszystkie strony. Coś podobnego zupełnie nie mieściło jej się w głowie. – Święci? W piekle?

Diabeł wyprostował się, obrzucił ją zaskoczonym spojrzeniem i pokręcił głową.

– Kobieto! – jęknął. – To tytuł melodii. Pytałaś, co gwizdałem, więc ci odpowiadam.

– Czemu akurat to?

– Jakoś mi pasowało. Przed tobą nie znałem nikogo

z tamtej strony, oprócz zwykłych kontaktów biznesowych, ale oni się nie liczą jako znajomość. Jesteś pierwszym pół-aniołkiem, z jakim mam szansę maszerować przez piekło.

Wyjął z kieszeni zapalki i z namaszczeniem podpalili mały stosik drewna. Podmuchał na pełgający ogienek, a gdy zajęły się drobne patyki, dołożył grubsze szczapki.

– Skąd masz drewno? – Rozejrzała się dookoła, ale nie zobaczyła ani kawałka.

– Mam tu obok składzik niezbędnych rzeczy, ale ci go nie pokażę.

Duszczyka wydeła wargi.

– Bez łaski. Pomóc ci w czymś?

– Lepiej się zdrzemnij, bo będziemy szli całą noc. Teraz nie ma w czym pomagać.

Duszczyka postanowiła się nie spierać, chociaż zupełnie nie chciało jej się spać i nie widziała głębszego sensu w podejmowaniu takiej próby. Była zbyt podniecona. Usiadła obok ogniska, obejmując kolana ramionami.

– Co ty wyprawiasz?! – syknął Larden i przyskoczył do niej, złapał dłońmi za kolana i rozwarł je, jak tylko się dało. Nie rozumiała, o co mu chodzi. Próbowała walczyć, ale stalowy uchwyt diabła wykluczał jakikolwiek opór.

– Czego chcesz? – krzyknęła.

– Chyba jesteś jakimś ślepym zaułkiem ewolucji. Jak ty siedzisz? Nogi szeroko! Szeroko! Żaden diabeł nigdy nie będzie trzymał kolanek razem, jak jakaś panienka. No może oprócz Mefistofelesa, ale on jest z innej półki. Od dziś siadasz rozkraczona, drapiesz się po jajach i głośno bekaasz. Umiesz bekać?

Duszczyzka pokręciła głową. Nie miała się także po czym drapać, ale wołała nie komentować tego faktu, bo kto wie jakie remedium diabeł mógłby na to wymyślić.

– To boli! Kiedyś ci oddam, łachudro.

– A kto ci rękę rozbuja? – zaśmiał się.

Puścił jej nogi i usiadł obok, zdumiony brakiem podstawowych umiejętności.

– Nauczę cię głośnego bekania przez drogę, to łatwe. Nawet melodie będziesz umiała wybekać. Teraz zrobimy porządek z włosami.

– No właśnie, bo wyglądam jak obsmyczona po tyfusie. Ciekawe, czy bardzo paskudnie?

– Masz, przejrzyj się i nie marudź. – Larden wyjął cholewki nóż i podsunął jej pod nos wąskie, lśniące ostrze. Próbowała je ustawiać pod różnymi kątami, ale i tak widziała tylko wycinek twarzy, a nad czołem brzydkie, sterczące kosmyki.

– Czemu moje włosy idą tak jakoś na jedną stronę, jakby je halny przeleciał? – burknęła z pretensją, gładząc się po głowie.

– Baba! Jakie to ma znaczenie, czy masz przedziałek na prawo czy na lewo? Ogolę cię i po problemie.

– Chcę być ładną nieboszczką, skoro Haures może mnie zabić.

Larden zerwał się z miejsca.

– Chyba coś ci się poplątało pod beretką, kobieto. O żadnym Hauresie nie było mowy. Umawiałem się z tobą na Rozę, a nie na tego pieprzonego demona!

– Nie! Umawialiśmy się, że zabierzesz mnie do piekła. Zgodziłeś się, więc dotrzymaj słowa.

– Dotrzymałem. Jesteś w piekle – warknął diabeł, odbierając Duszyczce nóż i chowając go do cholewki. – Zadowolona?

Złożył ręce na piersiach i stał nad nią w rozkroku, patrząc butnie.

– Nie wygłupiaj się. Jak mam pomóc Rozie, skoro nic nie wiem o demonach? Sam mówiłeś, że na pewno jest na nie sposób, skoro Haures czegoś się boi.

– I wydaje ci się, że tymi różowymi paluszkami unicestwisz demona? Ty? Niebiańska lala? – Larden szczerze się roześmiał.

Duszyczka wstała, bo w tej pozycji czuła się mniej zdominowana.

– Czy kiedykolwiek bawiłeś się z ghulami? Głaskałeś je? Pozwalałeś się polizać po twarzy? Wszedłbyś, ot tak, do ich klatki? – spytała poważnie, patrząc mu

w oczy. Diabeł milczał. – No widzisz. Nawet Azazel tego nie robił, choć to były kiedyś jego psy. Spałam z nimi na jednym posłaniu, nosiłam przy sobie, kiedy zostały zaklęte w kamienie. Ratowałam je, ryzykując własnym życiem. Uznały we mnie przywódcę i wołały należeć do mnie, niż do Belzebuba. Poradziłam sobie z nimi, bo się nie bałam, a właściwie, nawet je lubiłam. – Prawie to wykrzyczała, tak bardzo chciała przekonać Lardena. – Teraz też się nie boję tego waszego Hauresa.

– I źle robisz. – Pokręcił głową z dezaprobatą.

– Najwyżej mnie zabije i wróć do nieba jako pełnoprawna lokatorka. Odkąd straciłam Azazela, jest mi wszystko jedno.

– On potrafi zrobić coś znacznie gorszego – obruszył się. – Demony mogą...

– Nie mów! – przerwała mu. – Nie chcę wiedzieć. Dopóki się go nie boję, mam szansę. Wam po pierwsze przeszkadza strach. Poza tym nigdy wam tak naprawdę nie zależało, żeby go zniszczyć, skoro zostawiliście go w spokoju.

– Faktycznie, tu masz rację. – Pokiwał głową. – Siedzi w jaskiniach na kompletnym zadupiu i nikomu nie zawadza. Jakby wyszedł i zaczął się pałętać pod nogami, to ani chybi ktoś by się w końcu za niego wziął.

– Zabrakło wam motywacji. A ja ją mam.

Dłuższą chwilę stali po przeciwnych stronach przy-

gasającego ogniska, patrząc sobie w oczy. W końcu Larden pokiwał głową, marszcząc brwi.

– Wiesz na czym polega problem z tobą?

Pokręciła głową, ale Larden nie zwrócił na to uwagi, jakby przekonywał sam siebie.

– Po mnie przynajmniej od razu widać, że jestem kopnięty, a ty się na pierwszy rzut oka wydajesz normalna.

Stali, wpatrując się w siebie w milczeniu, aż wreszcie diabeł powoli skinął głową.

– A co mi tam, zaprowadzę cię, chociaż coś mi mówi, że będę tego żałował. Swoją drogą, zawsze chciałem zobaczyć tego sukinkota, ale jakoś mi się nie składało. Pod jednym warunkiem.

– Tak? – podchwyciła.

– Wykonujesz rozkazy natychmiast. W sytuacji zagrożenia, a dla ciebie w piekle są tylko takie, nie będzie czasu na tłumaczenie, co i dlaczego. Najpierw robisz, potem pytasz. Jasne?

– Tajes!

– Musimy zrobić parę rzeczy, zanim pójdziemy.

Wyjął z ogniska nadpalony patyk i podmuchał przez chwilą, żeby go ostudzić. Podniósł Duszczyce głowę do góry i, trzymając ją za brodę, osmaloną końcówką namalował jej pięć kropek nad brwią. Przechylił głowę i przyjrzał się krytycznie swojemu dziełu.

– Po co to zrobiłeś? – spytała z niezadowoleniem i podniosła dłoń, żeby wytrzeć czoło. Diabeł złapał ją za rękę.

– Zostaw. Tyle narobili tych nowomodnych wynalazków, że nigdy nie wiesz kto i czym pilnuje piekła. Może jakieś automatyczne czujniki na anioły zamontowali, albo inne cudactwa? Strzeżonego diabeł strzeże, pamiętaj o tym.

– Ale co moje kropki mają do tego? Nie jestem z nich dumna i nie chcę tak paradować.

– Powinnaś być, bo mało kto je ma. Diabłom absolutnie nie wolno zabijać kolegów po fachu i mało kto się na to poważy. Poza tym te kropki świadczą, że jesteś seryjnym zabójcą. Pięciokrotnym. A zabójca nie może być aniołem. Tak mówią mądrzejsi ode mnie. Jeżeli są zamontowane jakieś czujniki na anioły, spróbujemy je tym oszukać.

Spojrzała na niego z powątpiewaniem.

– Ani diabeł, ani anioł. To niby, kim teraz jestem?

Larden wzruszył ramionami.

– Zawsze byłaś takie trochę nie wiadomo co i nie pasowałaś ani tu, ani w niebie. Póki masz te odznaczenia, jesteś jak diabeł. Schowaj je pod czapkę, ale jeśli ktoś będzie ci się przyglądał, to szybko wycieraj. Każdy cię zapamięta.

– Odznaczenia? – prychnęła. – Uważasz je za powód

do dumy? To czemu chowasz swoje pod peruką?

– Bez niej wszyscy, z wyjątkiem kompletnych idiotów, wiedzą z kim mają do czynienia, a teraz tego nie chcę.

Larden posadził Duszyczkę na dużym kamieniu i zgolił jej włosy lekko tylko zwilżone odrobiną wody z butelki. Kiedy skończył, popatrzył z aprobatą na swoje dzieło.

– Maszynką byłoby lepiej, ale i tak jest nieźle. No, teraz twoja kolej – powiedział, wręczając jej brzytwę.

Duszyczka schowała ręce za siebie.

– Sam nie umiesz? – zaprotestowała całkowicie od-ruchowo, prezentując reakcję psa Pawłowa.

– Z tyłu głowy? – Popatrzył z politowaniem.

Chrząknęła, niechętnie przyznając mu rację i wzięła do ręki brzytwę, jakby to była czarna mamba. Diabeł usiadł tyłem to niej i kiwnął ręką ponaglająco. Delikatnie przesuwiała ostrzem po jego czaszce, strasznie bojąc się, że go oskalpuje, albo wręcz niechący zabije. Nieświadomy zagrożenia diabeł zabawiał ją rozmową.

– Długo nam zejdzie, jeśli mamy iść aż do Hauresa. Jesteś nieco ślamazarna, więc tak będzie ze trzy dni. Najgorsze, co może nas spotkać, to natknąć się na Eskenezera. Już chyba bym wołał Belzebuba.

– Dlaczego? Ja bym za żadne skarby nie chciała go zobaczyć.

– On by cię poznał od razu i spalił nas oboje, nie czekając na wyjaśnienia. Nie masz prawa tu być, a ja jestem temu winien. Koniec, kropka, przynajmniej szybko. Za to Eskenezzer...

– Co z nim?

– On by się nie spieszył. Skończyłaś? – Larden podniósł się i zaczął zadeptywać ognisko. – Skoro nie chcesz spać, to ruszamy. Pamiętaj o czapce.

Duszczyka posłusznie ruszyła za nim kamienistą ścieżką. Nie uważała, żeby najgorsze, co ich mogło spotkać, to natknięcie się na Eskenezera. Choć Larden jeszcze o tym nie pomyślał i nie zamierzała go uświadamiać, bardziej obawiała się, że na oczach innych diabłów podejdzie do niej stado ghuli i zacznie się łąsić. Wtedy o żadnej anonimowości nie będzie mowy i absolutnie każdy diabeł się połapie, z kim ma do czynienia. Modliła się, żeby ghule jej nie wyczuły, ale zdawała sobie sprawę, że to beznadziejne. Zawsze wiedziały gdzie jest i zawsze przychodziły, żeby sprawdzić, czy mogą coś dla niej zrobić.

Idący ścieżką w dół stoku Larden zatrzymał się nagle i niespodziewająca się tego Duszczyka wpadła twarzą w jego plecak. Zakłęła pod nosem.

– Co tam mamrocześ?

– Nic takiego. Co się stało, że tak cię wryło?

– Nic, chciałem ci pokazać mniej więcej jak będziemy szli. Widzisz pałac Władcy? – Wyciągnął rękę, wskazując widoczny w oddali piękny biały budynek, odbijający czerwono-złote światło iskier z wulkanu. Zza otaczającego pałac ceglanego muru wyzierała bujna roślinność cudownego ogrodu, jakiego zawsze Belzebubowi zazdrościła.

– Szkoda dla niego takiego cudeńka.

– Drogą przy pałacu byłoby najbliżej, ale akurat tego miejsca najbardziej musimy unikać. Jest stale patrolowany i kręci się za dużo diabłów. Spostrzegawczych i niegłupich. Trzeba będzie zatoczyć spore koło, obejść wulkan, a tam będzie gorąco i smrodliwie.

– Wiem. – Duszyczka lekceważąco wzruszyła ramionami. – Wchodziłam kiedyś na górę.

– Wysoko doszłaś?

– Minęłam szubienice – ucięła krótko. Larden poczuł, że dziewczyna nie chce o tym rozmawiać.

– A więc to prawda, co o tobie mówią – powiedział bardziej do siebie, niż do niej.

– Nie wiem, co mówią, ale lepiej podzielić to przez trzy. Albo przez cztery.

– I tak nieźle zostanie, jak na zwykłą dziewczuchę. Kiedy tak myślę o tobie, to się zastanawiam, czy to nie Haures powinien zacząć się bać?

– Bez przesady – mruknęła Duszyczka. – Przejdzie-

my przy Wysypisku?

– Zostawimy je z boku, po prawej. Stamtąd już będzie łatwiej, bo bardziej ustronnie, ale za to pod górę. No i dróg nie będzie za wiele.

– Mam dobre buty. Czekamy tu, aż się ściemni?

Larden z niepokojem pokręcił głową.

– Im szybciej stąd znikniemy, tym lepiej. Ta pieprzona szeroka droga, którą widzisz tam w dole – wskazała ręką łagodnie wijącą się jaśniejszą wstęgę biegnącą aż za wzgórze – jest chyba najbardziej uczęszczana w całym, kurde, piekle.

Duszczyka popatrzyła w dół. Faktycznie, po szerokiej drodze przemieszczały się kolumny ludzi, niektóre równe i porządne, jakby wojskowe, inne w nieorganizowanej rozsypce. Szły pojedyncze diabły, jeździły samochody, jakaś grupka na poboczu zajmowała się chyba naprawami, ale z tej odległości nie sposób było tego stwierdzić z całą pewnością. Środkiem galopował na oklep jakiś entuzjasta hippiki.

Po obu stronach drogi, choć nie zawsze bezpośrednio przy niej, stało wiele budynków, wyglądających na fabryki, czy warsztaty, a dobywający się z nich dym snuł się po okolicy. Niektóre były ogrodzone murem, inne zwykłym parkanem, a jeszcze inne, wolnostojące, prezentowały różny poziom dewastacji. Właściwie nic nie było nowe, czy chociaż zadbane.

– Straszny tu ruch. – Duszyczka z niechęcią zmarszczyła nos. – Przecież nie sposób przejść tędy, żeby nikt nas nie zauważył. Nie ma innej drogi?

– Nie, ale to się da zrobić. Musimy tylko wtopić się w tło – uśmiechnął się Larden. – Uciekałaś kiedyś z miejsca zbrodni?

Duszyczka bez słowa przewróciła oczami.

– Kiedy chcesz się szybko schować, to nie idziesz na pustkowie, ale do dużego miasta, gdzie jest masa ludzi, a niektórzy mogą nawet być do ciebie podobni. Tak jest bezpieczniej i łatwiej. Musisz się jeszcze sporo nauczyć – dorzucił z wyższością. Duszyczka nie skomentowała tej uwagi. Uważała, że i tak już za wiele wie o diablím rzemiośle, choć wcale tego nie chciała. Powoli i wbrew chęciom, stawała się częścią piekła.

Larden poprawił nieco przekrzywioną, czarną perukę, splunął w bok na szczęście i ruszył szybkim marszem w dół, ku drodze. Duszyczka starała się jak mogła, żeby za nim nadążyć.

Ghule, zamknięte w niedużym, ogrodzonym wybiegu, zaczęły się niespokojnie kręcić. Podchodziły do zamkniętego na wielką kłódkę wejścia i opierały się o nie łapami, wyglądając przez oczka siatki. Zajmujący się nimi diabeł odsunął się o kilka kroków i zaklął wulgarnie. Nie uśmiechała mu się taka służba, ale co jakiś czas

każdy z diabłów Azazela musiał odrobić pańszczyznę przy tych zasranych, śmierdzących kundlach. Teraz wypadło na niego i z całego tygodnia, jaki miał tu sterczeć, zostały jeszcze tylko dwa dni. Nie mógł się doczekać powrotu do bezpiecznej przystani koszarów. Demony wypuszczano co drugi dzień, a ponieważ niedawno wróciły, można było przyjąć, że jeszcze tylko raz przyjdzie mu otworzyć wybieg i stać, z portkami pełnymi gówna ze strachu, czy tym razem któryś go ugryzie, czy nie. Aż do tej chwili, na szczęście, traktowały go jak powietrze.

Wewnątrz wybiegu leżały zazwyczaj razem w jakimś kącie, obserwując go żółtymi oczami, jakby zastanawiały się, czy go przerobić w demona, czy zostawić w spokoju. Ślina kapiała wtedy im z długich, żółtych zębów, które szczyrzyły, czy trzeba, czy nie trzeba.

Nienawidził ich.

Teraz zebrały się wszystkie przy wejściu, jakby chciały się wydostać.

– Możecie mi skoczyć na ciul – powiedział pod nosem. Nigdy by się nie odważył powtórzyć tego na tyle głośno, by go usłyszały. – Ta wasza pani musi tak samo popierdolona, jak i wy. Do nieba poszła, wiedźma jedna. Widział kto głupią? Siedźcie tu, jak wam każą. Wypuszczę was jutro, kiedy przyjdzie wasza pora. Tak mi powiedziano i tak zrobię.

Wsadził ręce w kieszenie, odwrócił się i pogwizdu-

jąc pod nosem, żeby dodać sobie animuszu, odszedł w stronę najbliższych budynków, pogadać z kolegami. Psy odprowadziły go wzrokiem pełnym nienawiści.

– Zatrzymaj się na chwilę – wysapała Duszczyka. Larden stanął i odwrócił się ze zniecierpliwieniem.

– Tutaj nie możemy robić odpoczynków. Widać nas.

– Muszę się napić. Potem nie będę mogła, prawda?

Niechętnie kiwnął głową.

– Stań tam pod murem, zasłonię cię. I napij się na zapas. Musi ci wystarczyć na kilka godzin.

Duszczyka bez słowa wyjęła z kieszeni butelkę wody i przyłożyła do ust. Wypiła zachłannie wszystko, co było i położyła pustą butelkę pod murem, ale Larden ją podniósł, zgniół na placek i wetknął do kieszeni na udzie.

– Plastik dobrze się pali. Wykorzystamy do ogniska.

– Nie powinniśmy. To zanieczyszcza atmosferę – zaczęła Duszczyka i w tym samym momencie oboje z Lardenem roześmiali się. Piekielnej, smrodliwej atmosferze nic właściwie nie było już w stanie zaszkodzić.

– Chodź ekologu, spróbujemy się podpiąć pod jakiś konwój. Jak nam się poszczęści, to będziemy mieli przykrywkę do dłuższej wędrówki.

Stanęli przy drodze, czekając na zbliżającą się grupę potępieńców, prowadzonych przez trzy diabły, jednego z przodu i dwóch poganiających z tyłu. Konwojenci byli

chyba nie w humorach, bo bicz świszcząły w powietrzu raz za razem. Duszyczka niemal sama czuła ból, gdy długi, pleciony bat spadał na plecy skazańców.

– Machaj tym co jakiś czas. Tylko żebyś mnie nie wybatożyła. – Larden wetkał jej w ręce wyjęty z plecaka bicz i pociągnął za rękaw w stronę zamykających pochód diabłów. Kiedy się z nimi zrównali, rzucił pozdrowienie, na które tamci ledwie odpowiedzieli. Duszyczka też mruknęła coś pod nosem, ale i tak nikt nie zwrócił na nią uwagi. Larden, niezrażony chłodnym przyjęciem, szedł skrajem drogi, najwyraźniej na coś czekając. Gdy jeden z potępieńców zrobił krok w bok, diabeł szybkim ruchem wyrzucił rękę w przód. Bicz trafił mężczyznę na wysokości szyi i owinał się wokół niej. Larden szarpnął i nieszczęśnik upadł na ziemię. Wstał zaraz chwiejnie, bezskutecznie próbując poluzować rękami rzemień. Konwojenci i Larden wybuchnęli śmiechem. Duszyczka uśmiechnęła się z przymusem, pragnąc dopasować się do sytuacji, ale nie była ani trochę rozbawiona. Tymczasem konwojenci klepali Lardena po plecach, chwając jego sztuczkę. Pokazał im ją jeszcze raz, na innym skazańcu i po chwili wszyscy zabawiali się, próbując swych sił i wybuchając głośnym rechotem, gdy komuś się nie udawało. W opinii Duszyczki trwało to w nie skończoność, ale przynajmniej nikt nie zwracał na nią uwagi, więc napięcie, które ścisnęło jej żołądek trochę

zelżało. Cieszył ją każdy metr przebytej drogi, nawet jeśli towarzyszące im diabły były prymitywne i brutalne. Larden dogadywał się z nimi doskonale, sypiąc żartami i opowiadając sprośne historyjki, od których Duszyczce uszy płonęły ze wstydu.

– A ten to, co? – spytał nagle jeden z konwojentów, wskazując trzonkiem bata na skwaszoną dziewczynę. – Głuchoniemy?

Larden prychnął z pogardą.

– Przygłup. Dali mi go na szkolenie. Daleko macie pędzić te łajzy? – kiwnął głową w stronę skazańców.

– Do fabryki azbestowych butów. Wiesz gdzie? – powiedział grubas wyglądający na dowódcę.

– No pewnie, że wiem – skłamał gładko Larden, którego lokalizacje tradycyjnych miejsc kaźni nigdy nic nie obchodziły. Zabawiał się w zupełnie inny sposób, a rutynowych prac nie powierzano mu od stuleci, bo z reguły źle się to kończyło. – Fajnie się składa. Też idziemy w tamtą stronę.

Dowódca odwrócił głowę w jego stronę i małe oczka rozbłysły. Widać było, że zwietrzył okazję.

– Wiesz co, stary... – zaczął i urwał.

– Wal śmiało, chłopie! – zachęcił go Larden z szerokim uśmiechem.

– Skoro też tam idziecie, może moglibyście, wiesz, zastąpić nas na chwilę? Bo my... – tu ściszył głos, szep-

cząc coś na ucho Lardenowi, który zaklął głośno, a potem poklepał grubasa po plecach.

– No jasne, taka okazja! Zastąpimy was. Masz może fajki? Kopsnij paczkę. Zajarałbym przez drogę – targował się Larden.

Bezinteresowna zgoda mogła się wydać podejrzana, ale opłacona paczką papierosów, zamieniała się w interes.

Grubas szturchnął łokciem w bok idącego obok podwładnego i papierosy szybko zmieniły właściciela, po czym diabły rozstały się wśród fałszywych zapewnień o wiekuistej przyjaźni. Trzech konwojentów niemal truchtem oddaliło się w stronę bocznej drogi, wyraźnie obawiając się, że ich wybawca mógłby się rozmyślić.

– O co chodzi? – spytała Duszczyka. – Dokąd oni poszli?

– Tam w bok jest burdel, jeden z lepszych w okolicy, no to chyba wiesz, po co poszli. Rozgrzałem ich historijkami, to im się zabawy zachciało. Nie wiesz czasem jak daleko jest ta fabryka azbestowych butów, co?

Duszczyka pokręciła głową. Tak naprawdę, to wiedziała gdzie w piekle jest pałac Belzebuba i wulkan, a i to tylko dlatego, że były widoczne z daleka. Z miejsca, w którym była, nie trafiłaby nawet do rezydencji Azazela. Jej orientacja w przestrzeni pozostawiała bardzo wiele do życzenia.

– Te, łajza, daleko ta fabryka? – Larden szturchnął

trzonkiem bicza najbliższego skazańca. Mężczyzna odwrócił się w jego stronę.

– Prosto tą drogą, będzie z godzina marszu, panie.

– Zostaniesz tutaj i pilnuj, żeby ci żaden nie zwał. Ja idę na przód – Larden ponownie zwrócił się do dziewczyny.

– Musisz? Nie chcę zostawać sama.

– Ktoś musi ich prowadzić. Takie są zasady. Co jakiś czas pogłaskaj te łajzy batem.

Pokręciła głową z uporem na twarzy. Larden złapał ją za ramię i ścisnął, jakby chciał je zgnieść.

– Popatrz na nich! Co widzisz? Biedne udreżone niewiniątka, co? Nie! To są w większości ludzie tak źli, że czyściec to dla nich za mało. Mordercy, wielokrotni gwałciciele i inne, jak to mówicie, kanalie. Bij i nie marudź. Mam dość takich sentymentalnych pierdów.

Puścił ją i pobiegł na przód grupy. Została sama ze swoją niepewnością. Nie zamierzała zostawać diabłem, więc dla zachowania pozorów tylko co jakiś czas machała batem nad głowami idących przed nią mężczyzn, nie robiąc nikomu krzywdy.

W piekle zapadła noc. Krwisty blask wulkanu rozlewał się po niebie i barwił świat czerwienią, sprawiając, że wszystko wokół zdawało się nierealne. Przez kilka lat

mieszkania z Azazelem w jego piekielnej rezydencji Duszczyka przywykła do tego widoku, ale na wulkan mogła patrzeć w nieskończoność.

Nie odrywała wzroku od złotych iskier, które leciały w niebo, docierały tuż pod chmury, a potem, jakby zmieniły zdanie, wracały ostrym łukiem, by po chwili rozpocząć swoją podróż od nowa. Zdawały się niezadowolone tańczyć ku uciesze widzów. Jediną osobą, która teraz patrzyła na nie z zachwytem w oczach była Duszczyka, bo diabły już dawno uznały to cudowne zjawisko za coś zwykłego i niegodnego uwagi. Ją ten widok zawsze fascynował, odkąd zobaczyła go po raz pierwszy przez szklaną ścianę w zimnym gabinecie Belzebuba. Dzieliła swój zachwyt z Lucyferem, który na stałe rezydował na ziemi i któremu tego widoku na co dzień bardzo brakowało.

Rozmyślenia Duszczyki przerwał jakiś ruch na czele grupy. Jeden z potępieńców przepchał się do przodu i zagadnął Lardena.

– Przepraszam, panie. Czy wolno mi coś powiedzieć?

Nie zatrzymując się, ani nawet nie zwalniając, diabeł odwrócił głowę w jego stronę. Mężczyzna był brudny i zarośnięty, w wystrzępionej odzieży i ze śladami, bo uderzeniach batem na twarzy. Wydawał się czymś zmartwiony, co w obecnej sytuacji właściwie nie powinno Lardena dziwić, a jednak.

– Czego chcesz?

– Ten budynek, tam z tyłu, co go minęliśmy, to była nasza fabryka butów – powiedział mężczyzna niepewnie.

– A ty robisz papiery na przewodnika turystycznego?

– Nie, panie, wybacz śmiałość. Myślałem, że...

Larden zatrzymał się odwrócił w stronę grupy. Pod jego spojrzeniem opuścili głowy i skulili ramiona.

– Jesteś głupi. Wolisz spacerować, czy pracować w fabryce?

– Spacerować, oczywiście panie, tak. Przepraszam. Wiem, że jestem głupi. Inaczej by mnie tu nie było – dokończył półgłosem.

– No to, kompania biegiem marsz! – Larden rzucał rozkaz i ruszył truchtem, a za nim wszyscy skazani. Duszyczka, zmuszona do większego wysiłku w zabójczej temperaturze, żałowała, że ma zbyt krótki bicz, by strzelić diabła w jego głupi łeb.

– Kompania, od czoła śpiew! – rozkazał diabeł i oto Duszyczka, dudniąc buciorami, biegła teraz przez piekło w towarzystwie morderców i gwałcicieli ryczących na całe gardło „Wędrowali szewcy”.

W połowie nocy diabeł pilnujący ghuli wrócił sprawdzić, co się dzieje na wybiegu. Według przepisów w ogóle nie powinien się stąd oddalać, ale ustawiczne siedzenie

w trupim smrodzie przeszkadzało nawet jemu. Kiedy wiele wieków temu pełnił przy nich służbę po raz pierwszy, cały czas stał w pobliżu i w efekcie po trzech dniach rozboleła go głowa, jakby był panienką na wydaniu. Od tamtej pory wykręcał się od tej ciężkiej pańszczyzny, jak umiał, ale czasem to się po prostu nie udawało. Wtedy starał się spędzać przy tych pieprzonych kundlach tak mało czasu, jak to tylko było możliwe.

Podszedł do stalowej siatki otaczającej wybieg i ze wstrętem zajrzał do środka. Psy stały każdy osobno, nieruchome, jak rzeźby i hipnotyzująco wpatrywały się w niego płonącymi, żółtymi oczami. Miał wrażenie, że ich wzrok wypala mu dziury w ciele. Otrząsnął się.

– Pieprzony historyk się robię przez was – burknął w ich stronę, strzepnął pył z rękawów i ostatni raz pociągnął papierosa. Potem wziął go w dwa palce i pstryknął z wprawą. Niedopałek poleciał szerokim łukiem, trafił między druty siatki i spadł na wybieg. Ghule obserwowały jego lot, ale nawet się nie poruszyły.

Odwrócił się, żeby odejść, ale zastanowił go ich nagły spokój, gdy zaledwie kilka godzin wcześniej szalały, żeby się wydostać. Podszedł bliżej do siatki i popatrzył uważniej. Dziwne, ale zdawało mu się, że psów jest mniej, niż powinno. W tej samej chwili, jakby wyczuwając, że próbuje je policzyć, zaczęły biegać w kółko. Miał wrażenie, że nagle zrobiło się ich więcej. Machnął

ręką i już miał odchodzić, gdy jego wzrok padł na ogrodzenie w odległym końcu wybiegu. W siatce ziała dziura, wprowadzie niewielka, ale ghul spokojnie by się przez nią przecisnął.

Przetarł twarz dłońmi i popatrzył jeszcze raz, nie wierząc oczom. Zrobił kilkanaście kroków, żeby obejść wybieg i stanął wobec budzącej grozę prawdy. Stalowe druty były poprzecinane, a ich kawałki leżały porozrzucane dookoła. Zaklął. Jak niby miał się teraz wytłumaczyć? Że patrzył, jak przegryzają się przez ogrodzenie i nic nie zrobił? Że jest ślepy i nie widział, jak kilka z nich wybiera wolność? Tak czy inaczej czekała go kar-na kompania. Jak w ogóle dały radę się przegryźć i po co, skoro nigdy przedtem tego nie robiły?

– Czemu ja, słodki Belzebubie? Za co?

Zaklął jeszcze raz i wyjął telefon, żeby zawiadomić swojego dowódcę, a potem usiadł na piasku i czekał. Wiedział, że lada chwila zaczną po piekle krążyć dowcipy z nim w roli głównej.

Pić! Pić! Pić! Ta jedna myśl tłukła się Duszcycze po głowie w rytm stukania ciężkimi butami o kamienny bruk. Larden idący na czele grupy nakazywał na zmianę marsz lub bieg i czuła, że lada chwila usiądzie na skraju drogi i poczeka na to, co jej los przyniesie. Szła blisko krawężnika, osłonięta przez skazańców, aby idący

z przeciwka zauważali ją w ostatniej chwili i nie zdążyli się przyjrzeć. Samochodami nie przejmowała się wcale, bo jechały zbyt szybko by w ogóle ktoś mógł ją zauważyć. Z niechęcią patrzyła na nielicznych konnych, którzy górowali nad tłumem i mieli czas jej się przyjrzeć. Naciągnęła czapkę na oczy i schroniła się pod daszkiem, ale brak jakichkolwiek naszywek nie dawał się ukryć. Pozostawało liczyć na szczęście i niezbyt przykładające się do swoich zadań patrole.

Niespodziewanie, skazańcy idący przed nią zatrzymali się. Duszyczka na postrach machnęła im nad głowami batem, ale żaden się nie ruszył. Próbując się dowiedzieć, jaka jest przyczyna błogosławionego postoju, ominęła mężczyzn bokiem drogi i podeszła do Lardena. Stał i z szerokim uśmiechem gawędził z dwoma obcymi, którzy najwidoczniej musieli nadejść z przeciwnej strony, bo wcześniej ich nie widziała.

Właśnie negocjował z nimi odprowadzenie skazańców do fabryki i oferował za to paczkę papierosów, wcześniej otrzymaną od konwojentów. Stanęło na dwóch paczkach i uwolnieni od wszelkich obowiązków stali na poboczu, obserwując, jak skazańcy zawracają i poganiani batami, maszerują w drogę powrotną.

– Nie stój, jak żona Lota. Ruszamy się. – Diabeł bezceremonialnie szturchnął ją łokciem w żebra. Próbowała mu oddać, ale sparował uderzenie dłonią i zdawał

się przy tym dobrze bawić. Chwycił Duszyczką za ramię i pociągnął w odchodzącą w bok dużo węższą i spokojniejszą uliczkę.

– Kiedy będę mogła się napić? Język mam jak kołek.

Larden pokręcił głową z niezadowoleniem, skręcił za ogrodzenie i wciągnął dziewczynę na zapuszczone i ciemne podwórko.

– Pij, zasłonię cię.

Duszyczka wyciągnęła z plecaka niewielką butelkę z wodą mineralną i przyssała się do niej, póki nie wysączyła ostatniej kropli. Diabeł odebrał jej pustą butelkę i schował do plecaka.

– Dużo masz jeszcze wody? – spytał, przyglądając jej się z niepokojem. – W tym tempie na długo ci nie starczy. Żłopiesz jak stary diesel.

– Jeszcze dwie litrowe. Nie myślałam, że będziemy szli tak długo. – Wyjęła z plecaka schabowego, zawiniętego w sreberko i odgryzła spory kęs. – Jedzenia też nie mam za wiele, ale to mniejszy problem.

Urwała nagle, bo gdzieś od strony dalekich wzgórz rozległ się przeraźliwy dźwięk, od którego zjeżyły jej się włosy na rękach. Ni to gwizd, ni to przenikliwy krzyk niósł się ponad głowami, aż zamarł w oddali. Duszyczka podniosła na Lardena przestraszone oczy.

– Co to za dźwięk?

– To piekło. Ostrzy sobie na ciebie pazury.

– A tak naprawdę? – skrzywiła się.

– A tak naprawdę, to ghule właśnie przerobiły diabła albo skazańca na demona. Słyszałaś czyjś przedśmiertny krzyk, pożegnanie dotychczasowego ciała, czy może radosne powitanie nowego.

– Moje psy? – spytała z niedowierzaniem. – Pogryzły kogoś?

– Tak! Twoje cholerne, durne psy! – warknął – Jak nas znajdą, to możemy równie dobrze wywiesić transparent z twoim imieniem. Eskenezer ugotuje mnie w smole.

– Chciałby!

– Chodź prędko! – Chwyił ją za ramię i pociągnął na drogę. – Tam wyżej jest już pusto. Nikt nas nie zobaczy z twoimi kundlami. Mam nadzieję.

Biegła za nim, póki, zniecierpliwiony jej powolnością, nie złapał jej w pól. Pędził teraz wspinającą się ku górze drogą, trzymając dziewczynę pod pachą. Ciemności panujące wokół kryły ich na tyle skutecznie, że mijane diabły nie rozpoznawały Lardena, a zwisającą bezwładnie Duszyckę brali za skazaną kobietę, niesioną gdzieś ku rozrywce. Towarzyszyły im gwizdy i okrzyki zachęty.

Budynki po obu stronach coraz węższej drogi stawały się rzadsze, aż wydostali się na kamienisty szczyt wzgórza. Diabeł postawił dziewczynę na ziemi i gestem

nakazał jej iść za sobą w dół, ku mrocznej dolinie po drugiej stronie. Panujący mrok zdawał się zupełnie mu nie przeszkadzać. Szedł pewnie po nierównościach, jakby wokół rozlewał się słoneczny blask. Rzadko miał do czynienia z osobnikami, którzy, podobnie jak Duszycka, nie mieli daru widzenia w ciemności i dziwiło go, że dziewczyna często się potyka. W końcu złapała go kurczowo za łokieć, pozwalając się holować. W dolinie Larden zwolnił, wchodząc pomiędzy duże głazy.

– Jak myślisz, te pieprzone psy będą cię szukać?

– Już mnie szukają. Zawsze wiedzą, kiedy jestem w piekle i przychodzą. Ten krzyk... – urwała na chwilę, na samo wspomnienie czując dreszcz biegnący po kręgosłupie – to musiał być ktoś, kto im stanął na drodze. Niedługo tu będą.

Larden nie wydawał się tym rozradowany. Wyczuwała w jego głosie przyganę, jakby fakt, że ghule ją wybrały na swoją panią w jakiś sposób był przez nią zawiniony, ale było coś jeszcze. Gdzieś pod spodem, głęboko skrywany przed światem i przed nią, był strach. Demonów pustyni bali się wszyscy. Jedno małe draśnięcie zamieniało nieszczęśnika w śmierdzącego trupem ghula o żółtych oczach i długich zębach. Nieodwracalnie. Żadnej regeneracji, żadnego powrotu do starego, diablego ciała. Pozostawała tylko wieczna egzystencja w stadzie podobnych sobie, powszechnie znienawidzonych psów.

Oczywiście co jakiś czas zdarzało się, że Belzebub, zniecierpliwiony nadmiernie rozrośniętym stadem, kazał strącić część z nich do wulkanu, ewentualnie zamieniał w kamienie, aby w tej postaci czekały na lepsze czasy, które mogły nigdy nie nadejść. Nie były to żadne złote cudeńka, przy pomocy których Duszczyka swego czasu narobiła sporo zamieszania, na takie szczęście nie można było liczyć, ale zwykłe przydrożne kamienie, które kopał każdy, komu taka fanaberia przyszyła do głowy.

Larden już dawno uznał, że gdyby jego spotkał psi los, pierwszego dnia skoczyłby do najbliższego strumienia lawy.

Duszczyka usiadła na dużym głazie, nie okazując strachu.

– Niedługo tu będą. Poczekajmy, przynajmniej chwilę odpocznę zanim pójdziemy dalej.

Dopiero w tej chwili zdała sobie sprawę, że kurczowo ściska ledwie nadgryzionego schabowego, częściowo rozwiniętego ze sreberka. Powąchała go. Cudownie pachniał i pusty żołądek dał znać głośnym burczeniem, że życzy sobie być nakarmiony. Odgryzła solidny kęs i spojrzała na Lardena. Natychmiast odwrócił wzrok, ale zdążyła zobaczyć wyraz pożądania na jego twarzy. Nie miała wątpliwości, że to nie ona była obiektem zainteresowania. Cudowny kotlet, panierowany przez

niebiańskich kucharzy w restauracji obok jej biura, był arcydziełem sztuki kulinarnej. Gdyby sytuacja była odwrotna, pewnie ona patrzyłaby na diabła wzrokiem pełnym pożądliwości.

– Chcesz gryza? – spytała i wyciągnęła rękę w jego stronę. Musiała Lardenowi zaliczyć na plus, że nie odgryzł jej dłoni, ale z wahaniem pokręcił głową, jakby nie miał dość silnej woli, by otwarcie odmówić.

– Może jednego – uśmiechnął się. Jego słabość do dobrej kuchni nie pozwoliłaby mu zrezygnować ze spróbowania kotleta importowanego z niebios. Taki rarytas jeszcze mu się nie trafił. Z wdzięcznością odgryzł potężny kęs, zaczął żuć i skrzywił się z niesmakiem.

– Niedobre? – zdziwiła się Duszczyka.

– Dobrze, pewnie – wybelkotał, wyciągając rękę w stronę rumowiska kamieni nieopodał ich kryjóWKi i przełknął kęs w całości. – Twoje śmierduchy już przylazły.

Spojrzała w tamtą stronę.

– Gdzie? – W mroku nie była w stanie niczego dostrzec.

– No tam. Siedem pieprzonych psów. Śmierdzą aż pod chmury.

Duszczyka wpatrywała się w ciemność, aż widziała przed oczami świetliste punkty, ale ani śladu ghuli. Podniosła się bez przekonania, ściskając w ręce resztkę

kotleta.

– Przywidziało ci się chyba – zaczęła i w tym samym momencie doleciał do niej powiew wiatru, niosący ze sobą odrażający zapach. Przyszły do niej, ale nadal ich nie widziała, póki nie podeszły bliżej. W czerwonym świetle wulkanu wyglądały nierealnie. Duszyczka zrobiła dwa kroki w ich stronę i ze zdziwieniem zobaczyła, że jest ich siedem, czyli za dużo, jak na pierwotne stado, a za mało, jak na ostatnie rozmnożenie.

– Czego tu szukacie? Wracajcie do siebie! Nikt was nie może ze mną zobaczyć. No już, skoro musicie się przywitać, to szybciotko i znikajcie, zanim ktoś przyjdzie.

Przewodnik stada podszedł i polizał dziewczynę po wyciągniętej ręce, a za jego przykładem poszło pięć następnych ghuli. Ostatni stał bez ruchu na kamiennym osuwisku i patrzył żółtymi ślepiami, przechylając łeb.

– Uważaj – usłyszała za plecami nerwowy szept Lardena. – On coś knuje.

– Skąd wiesz?

– Też jestem diabłem.

Siódmy ghuł, o potężnej budowie, powoli zrobił krok w ich stronę i nagle, bez ostrzeżenia, odbił się od kamiennego zwałowiska i potężnym susem skoczył w stronę Duszyczki. W otwartym pysku szczyrzyły się długie kły, a sierść na karku zjeżyła się, sprawiając, że wydawał się

jeszcze większy. Larden nie miał w rękach niczego, co mogłoby służyć do obrony, a porywanie się na demona z gołymi pięściami byłoby samobójstwem. Chciał chronić dziewczynę, ale przecież nie kosztem samego siebie.

W odróżnieniu od diabła, Duszycka miała obie ręce zajęte. W jednej nadal ścisnęła niedojedzony kawałek schabowego w zatłuszczonym sreberku, a w drugiej trzymała za szelki plecak, z którego właśnie zamierzała wyjąć chusteczkę, żeby wytrzeć palce. Niewiele myśląc, upuściła kotlet na ziemię i, jak doświadczony matador, zrobiła krok w bok, żeby przepuścić szarżującego jak byk demona. Szczęki ghula z głośnym kłapnięciem złapały powietrze i w tej samej chwili w pysk trafił go ciężki plecak, trzymany przez Duszyckę za szelki. Wybity z uderzenia ghul, przekoziółkował na kamieniach i nieco oszołomiony podniósł się na łapy. Najwyraźniej był nowy i nie znał jeszcze Duszycki, która zakłęła paskudnie, jakby była diabłem i podniosła z ziemi dwa spore kamienie.

– Myślisz, że się boję? – warknęła wrogo, robiąc krok w jego stronę. Była zmęczona, głodna i nadal chciało jej się pić. Atakującego demona traktowała jako życiową upierdliwość, przeszkadzającą jej w odpoczynku, a nie jako śmiertelne zagrożenie. Ghul zawahał się i w tym momencie przegrał. Dziewczyna trafiła go kamieniem w ucho, aż się cofnął. Zaraz potem oberwał drugi raz

i kolejny. Wkurzona koniecznością walki Duszczyka szła w jego stronę, rzucając kamieniami przy każdym kroku i niekiedy trafiając. Gdy schyliła się po kolejny kamień, ghul bezszelestnie wycofał się i stanął za pozostałymi.

– Idźcie stąd – powiedziała gniewnie, wycierając o spodnie brudne dłonie – a tego kretyna zabierzcie ze sobą. Jak jeszcze raz któryś nowicjusz mnie zaatakuje, to każę was wszystkie – zrobiła dramatyczną przerwę – pamiętajcie, wszystkie zamienić w kamienie. Mam dość takich przepychanek.

– Ja pierdzielę... – szepnął Larden. Byłby przysiągł, że przewodnik stada kiwnął łbem, choć przecież wszyscy wiedzą, że te głupie psy nie mają ani krzty rozumu.

– Nie wracajcie, póki was nie zawołam, zrozumiałeś?

Ghule znów pochyliły łby w potwierdzeniu i Larden uznał, że teraz widział już wszystko. Odwrócił głowę w stronę Duszczyki, sprawdzając, czy ona też to widzi, a kiedy ponownie spojrzął na ghule, już ich nie było. Zniknęły równie bezszelestnie, jak się pojawiły.

Duszczyka odwróciła się w stronę kamienia, na którym poprzednio siedziała i na jej twarzy ukazał się najpierw wyraz zaskoczenia, a potem wściekłości.

– No to, kurwa, pięknie!

– Nie powinnaś się tak wyrażać.

– Zobacz! – Wyciągnęła rękę w stronę leżącego na

ziemi plecaka. Był złoty, a razem z nim w złoto zamieniła się cała jego zawartość: dwie duże butelki wody, dwa schabowe w panierce zawinięte w osobne sreberka, paczka chusteczek higienicznych i nóż. Duszyczka czuła, że zaraz się rozplacze ze złości i rozczarowania. Mogła wędrować głodna, ale nie da rady dwa dni iść bez wody forsownym marszem, a jedyne, co jej zostało, to mała butelka w kieszeni na udzie. W piekle to tyle, co nic. Poniosła klęskę zanim cokolwiek zaczęła.

Larden wpatrywał się w złoty plecak i kilka kamieni, jakimi dziewczyna trafiła w demona i uśmiechał się szeroko, a oczy mu płonęły jak latarnie.

– Prędko, musimy to schować, zanim ktoś zobaczy.
– Uklęknął i gołymi rękami zaczął wygrzebywać jamę, odkładając na bok kamienie. – Pomóż mi, co tak stoisz?

Duszyczka wzruszyła ramionami.

– Po co?

– O Belzebubie, jaka ty tępa jesteś! Przecież nie będę leciał do Hauresa przez pół piekła ze złotym plecakiem. Co jak co, ale to każdy zauważy. Poza tym czy ty masz pojęcie, jakie złoto jest ciężkie? No i w kółko będę musiał o niego walczyć.

– Do jakiego Hauresa? Pogrzało cię? Z tą resztką wody ledwie dam radę wrócić do siebie.

– Kobieto małej wiary! Poddajesz się tak od razu? Mówiłem, że nie umiesz walczyć do końca, tylko przy

byle drobnej trudności bierzesz ogon pod siebie i w nogi – oświadczył triumfalnie, zawlókł ciężki jak nieszczęście plecak do płytkiej jamy i dołożył kilka złotych kamieni, leżących nieco dalej. Zaczął zasypywać dołek. – Pomóż mi!

Chwilowo pozbawiona woli walki Duszczyka od niechcienia rzuciła garść kamyków, które odbiły się z metalicznym brzękiem. Larden dłońmi nagarniał ziemię z kamieniami, aż plecak zniknął pod ich cienką warstwą.

– Chodź mazgaju, idziemy, póki ciemno. Jutro okrążymy wulkan i dojdziemy do Wysypiska, a tam zorganizuję ci wodę.

Pozbawiona plecaka Duszczyka powlokła się za nim. Na ziemi została utyłłana piaskiem, niedojedzona resztką kotleta, którą wzgardziły nawet ghule.

– Przepraszam, panie władzo...

Przy wysokim kontuarze stał zatroskany, niski grubasek w nienagannie odprasowanym garniturze i bielutkiej koszuli. Węzeł krzywo zawiązanego krawata sterczał mu na jedną stronę. Policjant, wypełniający rubryki sprawozdania, spojrzał srogo na niespodziewanego petenta.

– Dzień dobry obywatelu. Zabito kogoś? – spytał, a w jego głosie dźwięczała ledwie skrywana nadzieja.

– Dzień dobry. Właściwie, to tego nie wiem – powiedział grubasek niepewnie i poluzował krawat.

– To zaczekajcie, aż skończę, obywatelu.

– Ale... – urwał pod surowym spojrzeniem policjanta, który dla podkreślenia swojej funkcji włożył czapkę i naciągnął ją nisko na czoło. W ciszy pomieszczenia na niebiańskim posterunku numer siedem słychać było tylko tykanie dużego, ściennego zegara i westchnienia grubaska, który niecierpliwie przestępował z nogi na nogę i bębnił palcami o blat kontuaru. Policjant z ciężkim westchnieniem odłożył długopis i odwrócił się w stronę petenta.

– Chciałem zgłosić zaginięcie – wyrzucił z siebie grubasek, szczęśliwy, że wreszcie poświęcono mu trochę uwagi i było widać, że od razu mu ulżyło. Przerzucił swój problem na kogoś kompetentnego i martwił się teraz o połowę mniej.

Policjant wziął do ręki formularz, pstryknął długopisem i przyjrzał się petentowi uważnie.

– Kiedy ostatni raz widział obywatel osobę zaginioną?

– Wczoraj, wczesnym popołudniem.

– W jakim wieku jest nieletni?

– Ale ona... znaczy... ta pani jest pełnoletnia.

Policjant podniósł znad kartki karcący wzrok.

– Obywatelu – zagrzmiał, aż grubasek skulił się

po drugiej stronie lady – zgłoszenia o zaginięciu osób pełnoletnich przyjmujemy po czterdziestu ośmiu godzinach! Tu nawet doby nie ma – dodał patrząc na zegarek, wskazujący za dwie minuty południe i popukał paznokciem w szkiełko. – Kim ta niby zaginiona jest dla obywatela?

– To moja pracownica, panie władzo. Miała dziś oddać sprawozdanie do Izby Skarbowej, bardzo ważne. To taka sumienna księgowa. Nigdy by nie opuściła dnia pracy bez ważnej przyczyny, zwłaszcza tego dnia.

– Pewnie wzięła wolne, a pan zapomniał. Jaka to firma?

– „Daremny Trud”, pewnie pan władza nie słyszał.

– Faktycznie, nie słyszałem. Dziwna nazwa. Kto to wymyślił?

– Moja pierwsza księgowa. Ona uważała, że nic z tego interesu nie będzie i chyba miała sporo racji. Aż do tej pory mi nie szło. Teraz mamy szansę rozwinąć firmę, moja nowa księgowa i ja – uśmiechnął się z dumą. – O ile wróci do pracy.

– Niech obywatel zadzwoni do tej pani i przypomni jej o terminie. Termin, to rzecz ważna. Gdyby nie pojawiła się jutro do, jak obywatel powiedział, wczesnego popołudnia, wtedy przyjmujemy zgłoszenie i wdrożymy procedurę poszukiwań. Ale na pewno znajdzie się wcześniej. Tu jest niebo, obywatelu, tu nic złego nie może

się zdarzyć – zakończył, z dumą wypinając pierś, jakby bezpieczeństwo aniołów było wyłącznie jego zasługą.

Grubasek wyszedł z komisariatu zdenerwowany, że został zyty, jak natrętna mucha. Wsiadł w taksówkę i kazał się zawieźć pod adres, jaki Duszycka podała mu w dokumentach. Gdy okazało się, że w domu także jej nie ma, nie wiedział, co jeszcze mógłby zrobić. Może ten surowy policjant ma rację, a on niepotrzebnie histeryzuje? Przecież to dorosła kobieta, mogła poznać jakiegoś przystojnego anioła i wyjechali razem na romantyczny tydzień nad ciepłym morzem? Uspokajał sam siebie, ale nie wierzył w takie wyjaśnienie. W końcu wrócił do firmy z mocnym postanowieniem, że powtórnie zjawi się na komisariacie następnego dnia, jeżeli Duszycka nie przyjdzie do pracy jak zawsze o ósmej trzydzieści. Pełen niepokoju, postanowił spędzić noc w biurze, tak na wszelki wypadek, gdyby księgowa zniecka nabrała fanaberii, żeby przychodzić na nocną zmianę.

Diabeł stał przy furtce prowadzącej na wybieg dla ghuli i palił papierosa. Właściwie był zajęty odpalaniem nowego od poprzedniego. Wyrzucił niedopałek na piasek obok najbliższego demona, który ani drgnął. Najwyraźniej nie bał się ognia.

– Żeby was pokreć!o!

Jego życie właśnie straciło sens. Dowódca, który

chwilę wcześniej natrzaskał mu po pysku za nieupilnowanie ghuli, skazał go na bezterminową służbę przy nich. Będzie teraz siedział w ohydny smrodzie dzień po dniu, póki tym za górze nie przypomni się, że ktoś taki jak on w ogóle istnieje. A nieprędko się przypomni. Był mało znaczącym diabłem, ciurą, którym nikt się nigdy nie przejmował, więc niby czemu teraz miałby kogoś obchodzić.

Zaciągnął się głęboko i zaczął liczyć psy. Powinien to robić codziennie, ale do tej pory mu się nie chciało. Ghule jakby chciały mu ułatwić życie, stały nieruchomo, czekając aż skończy.

– ...jedenaście... dwanaście... trzynaście.

Wyrzucił kolejnego papierosa na wybieg i podrapał się po włochatym torsie.

Powinno być dwanaście, czyli się pomylił. To prawdopodobne, gdy nie jest się biegłym w matematyce. Kiedy jednak za czwartym razem znów wyszło mu trzynaście, poczuł jak zgroza jeży mu włosy na karku. Te cholery uciekły, żeby kogoś ugryźć, a nie, jak wrzeszczał szef, żeby sobie pobiegać. Prędzej czy później ktoś będzie szukał zaginionego kolegi i trafi tutaj, a wtedy... lepiej nie myśleć. Trzeba będzie udawać, że nie ma z tym nic wspólnego i tyle. Odetchnął z ulgą i obrzucił ghule wzrokiem pełnym nienawiści. Odpowiedziały mu tym samym, po czym odwróciły się i ułożyły wszystkie ra-

zem w odległym kącie wybiegu.

Gdy noc dobiegała końca i na horyzoncie pojawił się jaśniejszy poblask, Larden zarządził odpoczynek. Duszczyka, która nie mogła się doliczyć kiedy ostatni raz spała, szła za nim jak automat, cały czas patrząc tylko pod nogi, bo uniesienie głowy wydawało jej się łączyć z nadmiernym wysiłkiem. Teraz wreszcie rozejrzała się wokół.

Zatrzymali się na piaszczystej równinie, gdzieś gdzie porośniętej łąkami bladej i rachitycznej trawy. Z jednej strony horyzont zamykały skaliste wzgórza, za którymi w oddali widać było krwawy wulkan, jak piekielny drogowskaz. Z drugiej strony widniał odległy, bezlistny las, ciemniejący w porannym półmroku, a za nim pasmo skalistych pagórków. Duszczyka zamrugła oczami. Krajobraz był dziwnie znajomy, tylko w pierwszej chwili nie mogła sobie przypomnieć, kiedy go wcześniej widziała.

– Ależ tak! – zawołała, zadowolona. – To pogranicze. Niedaleko są wasze kanały przerzutowe, te nie do końca legalne.

Larden popatrzył z wyższością i pokręcił głową.

– Na pewno nie tu. Przez ten teren nikt nie chodzi. Skąd znasz pogranicze?

– Uciekaliśmy z Bazyliem przez sztolnie i doszliśmy

w taki miejsce jak to. Myślałam, że...

– Wyjścia ze sztolni są z przeciwnej strony – wskazał ręką gdzieś za siebie.

Zasnute ciężkimi chmurami niebo nieco pojaśniało i teraz Duszydzka mogła dostrzec ceglane ruiny domów, rozrzucone z pozoru bezładnie po okolicy. Tu i tam sterczały w niebo fragmenty ścian i na wpół zwalone kominy, a puste otwory po oknach zdawały się obserwować intruzów.

– Wygląda lepiej, niż reszta piekła. Czemu tu nikt nie przychodzi?

Larden ukląkł pod murami jednej z ruin i gołymi rękami zaczął wygrzebywać dołek w piasku.

– Nie chcesz wiedzieć – odpowiedział, nie odrywając się od pracy. Dołek powiększał się w zdumiewającym tempie.

– Pomóc ci? – spytała, licząc, że diabeł poradzi sobie sam. Nie miała siły bawić się w wykopki. – Co właściwie robisz?

– Grób ci kopię.

Próbowała ukryć dreszcz, który wbrew woli prześlizgnął jej się po kręgosłupie i pokręciła głową.

– Spójrz prawdzie w oczy. Nie jesteś dowcipny – powiedziała kwaśno.

– A ty jesteś smutasem, kobieto – uśmiechnął się diabeł, nie przestając kopać. Dół miał już kilkanaście

centymetrów głębokości i powiększał się w zdumiewającym tempie. Faktycznie Duszczyka mogłaby się w nim zmieścić.

– Zjedz szybko, co tam jeszcze masz, napij się i idź spać. Tu możesz bezpiecznie przeczekać dzień, bo nikt cię nie znajdzie.

Duszczyka wyjęła z kieszeni bojówek ostatni baton czekoladowy, popiła odrobiną wody i zaczęła się rozglądać za miejscem do spania. Diabeł wskazał ręką głęboki na dobre pół metra dołek.

– Kładź się. Zakopię cię zanim pójde.

– To kiepski pomysł. Przypominam ci, że mogę nie jeść i nawet jakiś czas mogę nie pić, ale szybko umrę bez powietrza.

– Nie rób ze mnie idioty – odparł cierpko. – Głowę ci zostawię na wierzchu, jak na plaży. Mój plecak sobie podłoż.

– Niczego sobie nie będę podkładać – zbuntowała się. – Dlaczego mnie zostawiasz?

– Idę załatwić dla ciebie trochę wody. Zejdzie mi parę godzin, bo, skoro działamy w sekrecie, nie mogę korzystać z kanałów. Wszystkie są monitorowane. Nie rób min. Przez kilka godzin nic ci się nie stanie, murek cię dobrze zasłania i musiałby cię ktoś prawie nadeptać, żeby zauważyć. Zostajesz, bo za powolna jesteś. No, wskakuj. Dasz sobie radę.

Duszczyka zupełnie nie podzielała tego przekonania. Nadal pełna wątpliwości, położyła się w dołku, który niepokojąco przypominał grób, a Larden wsunął jej pod głowę swój plecak. Ledwie zamknęła oczy, gdy zaczęła odpływać w senny niebyt i nawet nie zdążyła poczuć piasku, jaki zgarnął na nią Larden, zanim pospiesznie odszedł. Mroczny, piekielny dzień zaczął się na dobre.

Zdenerwowany grubasek pojawił się przed kontu-arem na posterunku numer siedemnaście, gdy tylko obie wskazówki ściennego zegara zrównały się na godzinie dwunastej. Nie był w stanie dłużej czekać. Duszczyka nie pojawiła się również i tego dnia, ani nie dała żadnego znaku życia i był zdecydowany ją odszukać. Nawet jeżeli bez słowa porzuciła firmę, musi ją odnaleźć i zapytać dlaczego. Była jedyną sensowną księgową, jaką miał i jaka zgodziła się z nim zostać, odkąd zdecydował się prowadzić własny interes. Zawsze o tym marzył i jeszcze na ziemi podejmował całkowicie nieudane próby prywaciarzkiej działalności, dopóki żona go nie opuściła przez długi. Lubiła życie bezstresowe, czego zupełnie nie potrafił jej zapewnić. Odkąd trafił do nieba, po stosunkowo krótkim pobycie w czyścicu, natychmiast zaczął rozkręcać interes. Szło mu tak, jak na ziemi, czyli kiepsko. Duszczyka oczyściła zabagnioną księgowość, której nie umiał sam poprowadzić jak

należy i miała kilka pomysłów na rozwinięcie działalności. Była prawdziwym darem niebios i po raz pierwszy w życiu był gotów walczyć i o nią i o swoją firmę.

Policjant spojrział na niego z dezaprobatą.

– Obywatelu – zaczął z przyganą – czy stało się coś nowego? Zaginięcie można zgłosić dopiero po południu, po czterdziestu ośmiu godzinach.

Grubasek zamknął oczy i skoczył głową w dół w studnię.

– Jest popołudnie – powiedział z naciskiem, oczekując, że grom z jasnego nieba spali go za taki brak szacunku dla władzy. Nic takiego nie nastąpiło, więc otworzył oczy. Policjant opuścił wzrok na dokumenty rozłożone na biurku, wyraźnie dając do zrozumienia, że z jego strony sprawa jest zamknięta.

– Południe już minęło. – Grubasek popukał paznokciem w szkiełko swojego zegarka gestem podpatrzonego poprzedniego dnia u policjanta. Przez chwilę obaj mierzyli się wzrokiem. Nie sposób było nie zgodzić się z faktem, że istotnie, formalnie było wczesne popołudnie.

Policjant popatrzył ze smutkiem na dokumenty, z którymi musiał się chwilowo rozstać i zaczął wypełniać rubryki zgłoszenia zaginięcia, przepytując natrętnego obywatela, który tak się stęsknił za księgową, że nie mógł bez niej dwóch dni wytrzymać. Kiedy skoń-

czył, obiecał nadać sprawie natychmiastowy bieg, a po wyjściu nieco pokrępowanego na duchu grubaska, odłożył formularz na kupkę spraw do załatwienia. Nie zamierzał się nim zajmować przed wieczorem.

Duszczyka obudziła się z nieprzyjemnym uczuciem, że obok niej ktoś jest. Ostrożnie uchyliła powieki i rozejrzała się dookoła. Leżała na plecach w niewielkim zagłębieniu, przysypana cienką warstwą piasku. Obok niej stały resztki ściany domostwa, które skutecznie zasłaniały jej widok na równinę. Z drugiej strony piętrzyło się rumowisko cegieł i kamieni, zapewne kiedyś użytych do budowy domu, a teraz porzuconych i niepotrzebnych. W zasięgu wzroku nie było nikogo.

Poruszyła się, zrzucając piasek z rąk i zamarła w pół gestu. Zza murku dobiegło chrząknięcie. W pierwszym odruchu, jak małe dziecko, zamknęła oczy, próbując udawać, że wcale jej tu nie ma, ale zaraz znów je otworzyła. Cokolwiek się tam czaiło, dobrze będzie zobaczyć je natychmiast, jak tylko się pojawi. Bojąc się ruszyć, żeby nie spowodować jakiegoś hałasu, lekko uniosła głowę, ale nadal nikogo nie widziała.

Gorączkowo zastanawiała się, co też działo się na tym pustkowiu, że nawet diabły tu nie bywały, ale szybko dała sobie spokój. Wyobraźnia, zadowolona, że może pokazać, co potrafi, malowała coraz bardziej krwiste

obrazy i coraz straszniejsze potwory, jakie mogły tu mieszkać. Bo że coś tu mieszkało, to pewne.

Nie mogąc się zdecydować, czy udawać martwą, czy raczej wstać i walczyć, leżała na wznak uniesiona do pozycji siedzącej, gotowa do natychmiastowej obrony i czekała na dalszy rozwój wypadków.

Głos Lardena, który paskudnie zaklął, był cudowną wiadomością. Dziewczyna opadła na piasek w poczuciu ulgi i uśmiechnęła się szeroko do świata. Świat, jak to zwykle on, przyjął to z całkowitą obojętnością.

Usiadła i otrzepała się z piasku, który miała także pod bluzą, ale potraktowała to jako dopust boży. Nie będzie się przecież przy diable rozbierać. Nawet rękawów nie podwijała, żeby nikt nie zobaczył jej dwóch równych blizn na lewym przedramieniu, pamiątki po bliskich spotkaniach z ognistym mieczem Gabriela. Tylko ona mogła być taką oferumą, żeby się nim własnoręcznie pokaleczyć i to dwa razy.

Wyciągnęła szyję wyglądając za murek. Diabeł właśnie ściągał koszulę przez głowę. Był muskularny, o wąskich biodrach i szerokich ramionach i choć trudno by o nim powiedzieć, że jest przystojny, ciało miał idealne. Nieduże i zbyt blisko osadzone czarne oczy nadawały jego twarzy pewien rys brutalności i okrucieństwa, pogłębiony jeszcze przez ogoloną głowę i byczy kark. Szerokie usta pod prostym nosem sprawiały, jakby cała

twarz składała się z niepasujących do siebie elementów, zebranych na chybił trafił.

– Cześć – uśmiechnęła się do niego, wstając i przechodząc przez murek.

– Wyspałaś się? Siadaj jeszcze na chwilę, zanim skończę. Zaraz idziemy, bo im krócej tu jesteśmy, tym lepiej.

Duszczyka posłusznie usiadła. Zastanawiała się przez chwilę, czy się wyspała i doszła do wniosku, że wcale nie, a co gorsza miała wrażenie, że bołą ją wszystkie kości. Najchętniej położyłaby się z powrotem, ale skoro sama podjęła decyzję o wyprawie do Hauresa, prędzej umrze, niż się wycofa. Belzebub miał rację, mówiąc, że ona ma widać jakiś defekt, skoro nie potrafi się poddać. Niektóre kobiety tak mają – kiedy raz wbiją sobie coś do głowy, nie ma siły, żeby zmieniły zdanie i można je tylko zastrzelić. Podobno antyterrorysty wkraczający do akcji zabijają najpierw kobiety, bo one się nie poddają. Westchnęła nad tą ponurą perspektywą i zaczęła się przyglądać Lardenowi.

Diabeł ćwiczył i Duszczyka zrozumiała, czemu zawdzięczał ten imponujący wygląd. Swego czasu sama ciężko pracowała, by umieć zrobić prawidłowe pompki, a nie, jak większość kobiet, wypychać pupę do góry i wiedziała ile wysiłku to wymaga. Larden najwyraźniej nie szedł na łatwiznę. Pompki na jednej ręce przerasta-

ły ją całkowicie, a on robił je bez wysiłku, zmieniając ręce przy podskoku.

– A na jednym palcu dałbyś radę? – spytała prowokacyjnie.

– Czterdzieści osiem... czterdzieści dziewięć... pięćdziesiąt – odpowiedział i jednym skokiem poderwał się na nogi.

Duszczyka patrzyła na te wyczyny z podziwem na twarzy, a czegoś takiego żaden mężczyzna nie przeoczy. Larden uśmiechnął się jak kot na widok kaszanki.

– Dałbym radę, ale przed akcją nie będę się narażał na kontuzje i robię tylko ćwiczenia proste i bezpieczne. Mam tu coś dla ciebie.

Odszedł w bok, spod kamieni wyciągnął dwie plastikowe butelki napelnione pod korek i z wyrazem triumfu wręczył je Duszczyce. Wewnątrz przelewała się zielonkawa, nieco mętna ciecz. Wyglądała, jakby zaczerpnięto ją z gnijącego bajora.

– Trzy litry wody chyba ci wystarczą na najbliższe dwa dni. Więcej czasu nam to nie zajmie.

„Uśmiechnij się” – rozkazała sobie Duszczyka. „Facet szedł po to przez kilka godzin. Uśmiechnij się, kretynko.”

Chyba nigdy wcześniej nic nie kosztowało ją tyle wysiłku, no może poza wspinaczką na wolność z Wysypiska. Była z siebie naprawdę dumna, gdy udało jej się

przywołać na twarz entuzjastyczny uśmiech.

– To cudownie! Dziękuję. Gdzie ją zdobyłeś? – wydusiła z siebie, choć zdrowy rozsądek krzyczał w głowie, że niepotrzebna mu taka informacja.

– Mam swoje sposoby. Chodź, zbieramy się. Już po południe, a tutaj absolutnie nie należy dać się zaskoczyć po zmierzchu.

– Kto ma nas zaskoczyć?

– Kiedyś ci opowiem, jak już to się skończy, a oboje jeszcze będziemy na świecie.

Sięgnął po plecak, włożył do niego obie butelki i szybkim marszem ruszyli w stronę odległych skalistych wzgórz. Pół godziny później, gdy popołudnie zaczęło przechodzić w przedwieczorne oczekiwanie na ciemność, jakiś mroczny cień prześlizgnął się przez równinę i nisko pochylił nad legowiskiem Duszczyki, obwąchując je uważnie. Zapach kobiety nie wzbudził w nim gniewu, za to miejsce, w którym Larden robił pompki wywołało furję. Wir piasku i żwiru uniósł się w górę, rozsypując zawartość po okolicy, póki nie zniknął najłżejszy zapach diabła.

Larden obserwował to z pagórka z uśmiechem triumfu.

Kiedy minęli szczyt wzgórza i piaszczysta równina znikła za skałami, Larden przyjrzał się Duszczyce w za-

padającej szarówce. Miała ziemistą cerę, sine kręgi pod oczami i mocno zaciśnięte usta, jakby chciała zmusić się do większego wysiłku.

– Wyglądasz na zmęczoną – stwierdził z troską. – Zmęczony żołnierz wiele traci ze swojej zdolności bojowej.

– A to ja jeszcze mam jakąś zdolność? – spytała pod nosem.

– Jak dla mnie, to nie masz, ale może Haures będzie innego zdania. Tam w dole – wyciągnął rękę przed siebie – posiedzimy chwilę, żebyś odpoczęła i trochę się napiała.

Kiedy dotarli na miejsce, posadził dziewczynę za kupą kamieni, zasłaniającą ich od drogi widocznej na stoku następnego wzgórza i po chwili wrócił z naręczem drewna.

– Skąd je wziąłeś? – zaciekawiała się. W okolicy nie rosło ani jedno drzewo, które mogłoby stanowić źródło opału.

– Całe piekło ma siatkę składów drewna, regularnie uzupełnianą przez skazańców. Co warte by było piekło bez ognisk i kotłów ze smołą? – zaśmiał się i szybko ustawił zgrabny kopczyk z patyków i zeschłej trawy, który podpalił „sztormową” zapalką. Zaśmierdziało mocno siarką i Duszczyka zmarszczyła nos.

Zadowolony z siebie Larden wyjął z kieszeni wymię-

te papierowe zawiniątko i z uśmiechem rozpostarł na dłoni, prezentując dziewczynie zawartość.

– Jeszcze mam boczek, trzy plasterki. Podzielimy się uczciwie: ja dostanę dwa, a ty jeden.

– No jakie ludzkie panisko. To nie jest równo – zaprotestowała.

– Nie mówiłem, że równo. Po pierwsze, to mój boczek, a po drugie jestem większy, więc powinienem dostać więcej. Tak byłoby uczciwie, ale skoro jesteś głodna, dobrze, dam ci dwa.

Duszczyka pokręciła głową.

– Najchętniej zjadłabym wszystkie – pozwoliła sobie na drobinę zdrowego egoizmu.

– Chcesz te, gdzie jest więcej robaków, czy mniej?

– W ogóle nie chcę robaków! Wiesz... – zająknęła się – ...dziękuję ci, ale zjedz sam. Właściwie nie jestem głodna.

– Co tak patrzysz? Sam to żarłem najdalej tydzień temu i żyję.

Diabeł wyjął z cholewki sprężynowy nóż, którego ostrze wyskoczyło z cichym kliknięciem i zdrapał powierzchnię boczku. Przyjrzał się krytycznie zawartości, otarł nóż o podeszwę i nadział na niego dwa oczyszczające plasterki.

– Chciałaś bez robaków, to masz. Nie wiem, czemu z własnej woli rezygnujesz z czystego białka. Z czasem

się nauczysz. Przysmaż nad ogniskiem, będzie chrupkie. – Podał jej jedzenie.

Żołądek Duszytzki skurczył się na myśl o chrupkich robakach, ale nie chciała robić diabłu przykrości, więc wzięła nóż i wyciągnęła go w stronę ognia. Gdy boczek zaczął skwierczeć i rozkoszny zapach rozniósł się dookoła, zza skał wyłonił się chudy, żyłasty mężczyzna o lisiej twarzy. Od pierwszego rzutu oka wzbudzał antypatię. Zbliżał się nieco przygarbiony, patrząc spode łba i ustawicznie oblizywał wąskie wargi. Nie odzywając się, obszedł ognisko dookoła, jak rekin krążący w poszukiwaniu zdobyczy.

– Przestań się kręcić, jak gównno w pralce – mruknął Larden na tyle głośno, by przybysz go usłyszał. Odebrał od Duszytzki nóż i nabił na niego swój plasterbek bekonu wraz z jego proteinowymi lokatorami, pozornie obojętny na otoczenie. Wolną dłonią przetarł tatuaże na czaszce, jakby chciał zwrócić na nie uwagę całego piekła i obserwował przybysza spod pół przymkniętych powiek. Duszytzka skuliła się, obserwując ten niemy pojedynek.

– Witaj, Lardenie. Kogóż to gościsz przy swoim ognisku? – spytał w końcu przybysz, siadając obok i wpatrując się w dziewczynę z obleśnym zainteresowaniem. Taksował ją, jak handlarz koni. Spojrzała wrogo spode łba i zdecydowała, że odgryzie mu palec gdyby jeszcze

chciał jej zajrzeć w zęby. Trzymała gorący boczek w dłoni, nie mogąc się zdecydować, żeby go włożyć do ust.

– Witaj Szczurzy Ogonie. – Larden odwrócił się w stronę Duszczyki machnął rozkazująco ręką. – Wypierdalaj od ognia, kiedy starsi rozmawiają!

W pierwszej chwili zamarła z oburzenia, ale zaraz potem zerwała się i usiadła po turecku trzy kroki od ogniska, gdzie mrok był gęstszy i trudniej było przyjrzeć się jej twarzy. Choć przedtem miała zamiar jakoś dyskretnie upuścić boczek na ziemię, teraz włożyła cały na raz do ust, mając nadzieję, że wypchane policzki zmienią jej wygląd. Żuła powoli, przekonując buntujący się żołądek, że ma przyjąć, co dają i nie grymasić.

Szczurzy Ogon popatrzył za nią z uznaniem.

– Fajna dupcia. Smakowita. Gdzie go znalazłeś?

Larden mruknął coś, czego nie usłyszała i w gruncie rzeczy była z tego zadowolona.

– Ty to się umiesz urządzać – westchnął Szczurzy Ogon z zazdrością. – Nie każdy ma tak dobrze. Słyszałeś, że Azazelowi znów uciekła jego dupa? – zaniósł się chichotem.

Duszczyka zacisnęła zęby.

– Podobno Kolumb już umarł – skwitował Larden nie pierwszej świeżości nowinę i rzucił dziewczynie ostrzegawcze spojrzenie.

– Szkoda, że jej nie spotkałem, jak szła przez piekło.

Zatańczylibyśmy sobie.

– Razem z jej gbulami – dorzucił Larden z szerokim uśmiechem. Szczurzy Ogon nie słynał z odwagi, a już demonów bał się tak bardzo, że kulił ramiona na samo wspomnienie. Lardena najwyraźniej bardzo to bawiło. – Do dziś byś sobie z nimi tańczył.

Duszyczka opuściła głowę i uśmiechnęła się pod nosem.

– Jak ci się znudzi ten przydupas, to daj mi znać – powiedział Szczurzy Ogon, niezrażony kpinami. – Odkupię go.

– Gumową konkubinę se kup – mruknął Larden pod nosem, ale wystarczająco głośno, by oboje go usłyszeli. Wydawał się z upodobaniem prowokować Szczurzego Ogona, który wyraźnie nie miał ochoty na konfrontację, czemu zdaniem Duszyczki trudno się było dziwić. Ona też nie chciałaby mieć maniakalnego mordercy za przeciwnika.

– Jak z nim skończę, to go już możesz nie chcieć – Larden nagle zaczął mówić gardłowym głosem, jakiego nigdy wcześniej u niego nie słyszała. Poczula niemile ciarki na plecach. – Ostatnio jakoś znów mnie nosi.

Podniósł sprężynowy nóż i nie odrywając oczu od twarzy Szczurzego Ogona, bez pośpiechu przesunął nim w powietrzu, udając podcinanie komuś gardła. Miał przyspieszony i urywany oddech. Powoli przejechał ję-

zykiem po lśniącym ostrzu, najpierw z jednej, a potem z drugiej strony, jakby coś z niego zlizywał. Celebrował to. Oczy miał w pół przymknięte i zdawało się, że przeżywał fizyczną rozkosz. Było w tym coś tak głęboko psychopatycznego, że Duszczyka aż się wzdrygnęła.

Szczurzy Ogon szybko wstał od ogniska i bez pożegnania ruszył w stronę drogi. Po kilku krokach odwrócił się, wysunął język, wykonał nim kilka szybkich, obscenicznych ruchów, po czym posłał Duszczyce buziaka obślinionymi wargami. Ostentacyjnie odwróciła wzrok, a dopiero co z takim trudem połknięty boczek przewrócił się jej w żołądku.

– Jak ci się podobało moje małe przedstawienie? – Gdy tylko nieproszony gość zniknął za skałami, Larden podniósł się i cały z siebie zadowolony po przyjacielsku szturchnął dziewczynę butem w kolano.

Patrzyła na niego ze zgrozą i, choć gardziła sobą za takie tchórzostwo, nie była w stanie się odezwać. Czuła się jak bohaterka horroru, która ginie w zbliżającej się wielkimi krokami końcowej scenie.

– No i co się tak boisz? – Larden zaśmiał się krótko.
– Nie ma czego, teraz jestem w dołku.

– W jakim dołku? – jęknęła. Wydawało jej się to złą wiadomością.

– Jak każdy seryjny zabójca, mam sinusoidę. Jak jestem na górcie, to zabijam, a jak w dołku, to nie. Tak

mówił mój psychiatra.

Gdyby nie była w piekle, pewnie by się przeżegnała.

– Psychiatra? Masz dziwne poczucie humoru.

– Poważnie. Kiedyś mi kazali chodzić, jak jeszcze mieli nadzieję, że mnie wyleczą.

– Ale nie wyleczyli...

Diabeł nachylił się ku niej i przyjrzał uważnie, bez pośpiechu, a potem machnął ręką, zniechęcony.

– Spokojnie. Na twój widok nie robi mi się ciasno w spodniach – powiedział wreszcie, kiedy skończył ją lustrować. Na twarzy Duszycki ulga walczyła teraz o prymat z urazą.

– Umiesz gotować? – rzucił niespodziewane pytanie.

– W tej dyscyplinie jestem w ścisłym ogonie. Chyba ci kiedyś wspominałam. – Lekceważąco wzruszyła ramionami.

– Niby tak, ale w końcu nie widzieliśmy się ze dwa czy trzy miesiące. Mogłaś się przez ten czas czegoś nauczyć, no nie? – spytał z nadzieją.

Pokręciła głową.

– Raczej umocniłam się na tej pozycji.

– Więc nie wezmę cię dla siebie. Na ofiarę też się nie nadajesz. Lubię zabijać kobiety łzawe, takie urodzone męczennice. – Ponownie oblizał nóż, ale tym razem bez większego zaangażowania. – Jakbym cię spotkał, kiedy szłaś przez piekło i płakałaś, to kto wie, może i bym

cię zabił, ale teraz nie czuję potrzeby, żeby poderżnąć ci gardło.

– I oby tak zostało.

– Ruszaj się. Za tymi wzgórzami jest ustronne miejsce, w którym możesz odpocząć chwilę, skoro musisz. Lepiej nie czekać tu, gdzie nas widział ten Świński Chuj. Och, przepraszam, Szczurzy Ogon.

Duszczyka z wdzięcznością ruszyła za nim pod górę.

Szli już od wielu godzin i rzucona przez diabła obietnica postaju okazała się całkowicie bez pokrycia. Duszczyka była głodna i wyczerpana, choć za żadne skarby świata nie chciała się do tego przyznać. Wspaniałomyślnie oddany jej boczek, już dawno został strawiony i zamieniony na energię, a teraz burczało jej w brzuchu i bardzo chciało się pić, ale zużywanie tej mizernej resztki dobrej wody, jaka jeszcze została, uznała za przedwczesne. Diabeł tymczasem, wydawał się świeży i pełen sił, jakby dopiero co wyruszyli po niefortunnym spotkaniu Szczurzego Ogona. Nienawidziła go za to.

– Przewidujesz w najbliższym czasie jakiś postój?

– Zmęczyłaś się? No dobrze. Jeszcze kwadransik i zatrzymamy się na chwilę.

– Chciałeś panie, żebym ci zgłaszał wszystkie dziwne pogłoski. – Do gabinetu Azazela, w którym urzędo-

wał Eskenezer, wsunął się cicho dyżurny dyspozytor, Braten. Eskenezer przez chwilę patrzył na niego przekrwionymi oczami, zanim wreszcie się odezwał.

– Powiedz mi, kiedy ostatnio miałeś wolne? – spytał, zupełnie bez związku.

Braten wzruszył ramionami.

– Będzie ze dwa miesiące, albo i lepiej. Jak Azazel się przeniósł, to akurat byłem dyżurnym i tak jakoś zostało – odparł, starając się brzmieć dziarsko. Wcale nie uważał się za pokrzywdzonego ustawiczną pracą. Przeciwnie. Władza, jaką sobie zdobył, była upajająca, więc wszelkie próby zmiany poczytywałyby za krzywdzące i dawałby im stanowczy odpór.

– Chcesz krótki urlop?

– Uchowaj Belzebubie! Nie czuję się zmęczony.

– Co to za plotka, o której mówisz?

– Podobno Larden teraz bzyka chłopaczków. Nigdy wcześniej tego nie robił. Coś mu się poprzestawiało.

– Czy w jakiś sposób nas to dotyczy? – spytał Eskenezer z wyraźnym zniecierpliwieniem. Co go obchodziła cudza orientacja seksualna?

– Nie, nie dotyczy, ale kazałeś, panie, zgłaszać wszystko, co jest inne niż zwykle. Szczurzy Ogon ich gdzieś widział. Właśnie przyszedł do naszych koszar i chłopaki się zaśmiewają... Niektórzy.

Eskenezer szczerze i żywiłowo nienawidził

Szczurzego Ogona, który był łgarzem, lizusem i zawsze sprawiał wrażenie oślizgłego. Jeżeli informacja pochodziła od niego, istniała duża szansa, że została wyssana z brudnego i obślinionego palucha.

Widząc brak zainteresowania ze strony szefa, Braten wycofał się, bezszelestnie zamykając za sobą drzwi. Ku jego żalowi, smakowita plotka nie znalazła uznania u Eskenezera, gdy tymczasem pół koszar roztrząsało ją, zaintrygowane. Jedni ze zde gustowaniem, a inni z nadzieją. Informacja na pewno szybko się rozejdzie, ale skoro dowódcy to nie obeszło, to i Braten czym prędzej zajął się innymi sprawami. Ponad wszystko lubił udowodniać swoją kompetencję na nowym stanowisku drugiego po szefie.

Eskenezzer siedział przez chwilę patrząc w przeciwną ścianę spartańsko urządzonego gabinetu Azazela. Był zmęczony. Był ustawicznie zmęczony, odkąd przejął obowiązki Azazela. Co jakiś czas buntował się przeciwko temu i czuł, że ta pełna wywrotowych myśli chwila właśnie nadeszła. Początkowo praca pomagała mu zapomnieć, że obaj, i szef i on, utracili kontakt z Duszczyką, na której mu zależało jak na nikim wcześniej. Fakt, że należała do innego mężczyzny i nigdy nie miałby szansy dostać jej dla siebie, stanowił dodatkową torturę. Ulgę przynosiło mu bezcelowe włóczenie się po bezdrożach

piekła, co uwielbiał od początku świata, jak inni mężczyźni uwielbiają biwakowanie na łonie natury.

Wstał i nie oglądając się, przeszedł przez sekretariat, mijając biurko Bratena.

– Zajmij się wszystkim, póki nie wrócę – rzucił przez ramię i energicznie zamknął za sobą drzwi na korytarz.

– A kiedy... – zaczął Braten, ale przerwał, widząc, że i tak nie uzyska odpowiedzi. Teraz całe koszary były jego i z rozkoszą rozparł się w skórzanym fotelu, który niedawno kazał sobie dostarczyć.

Otwarty gazik zatrzymał się w chmurze kurzu i Eskenezer wyskoczył z niego, nie otwierając drzwi. Duszczycka spojrzała z uznaniem. Zawsze chciała też tak umieć i właśnie doszła do wniosku, że ma nowy cel w życiu.

– O Belzebubie – jęknął Larden pod nosem. – Taki pech.

Duszczycka odsunęła się o krok, opuściła głowę i osłonięta daszkiem czapki, ścierała pięścią kropki na czole.

– Mówiłeś coś? – spytał surowo Eskenezer.

– Powiedziałem „witaj, panie”.

– Nie sądzę. – Eskenezer stał teraz przed nimi w rozkroku, jak zwykle uderzając się biczem po cholewce buta. – Słyszałem pogłoski, że znalazłeś sobie przydupasa. Nie dawałem im wiary, ale wygląda, że to prawda.

Popatrzył na Duszczykę, która znów się cofnęła o ko-

lejny mały kroczek.

– Skąd go wzięłeś?

– Przybłąkał się.

Rozległ się świst bicza i na twarzy Lardena wykwitła czerwona pręga.

– Jeszcze raz?

– Przysięgam, sam do mnie przyszedł, panie. – Larden uderzył się dłonią w pierś dla poparcia swoich słów.

– Czy jesteś? – zwrócił się Eskenezer do Duszczyki, która cofnęła się o kolejny krok. W przeciągającej się ciszy słychać było tylko stukanie bicza o cholewkę.

– Lardena – powiedziała w końcu szeptem. Bała się, że diabeł rozpozna jej głos.

– Lardena... – Eskenezer wyczekująco zawiesił głos.

– Lardena, panie – poprawiła się jeszcze ciszej.

– Jaki wstydlivy – szydził Eskenezer. Uderzenie bicza strąciło jej czapkę, odsłaniając krzywo ogoloną czaszkę z widocznym zarysem włosów i brudną smugę na czole. – Okaż więcej szacunku, żołnierzu.

Larden odwrócił głowę, rzucając jej błagalne spojrzenie. Duszczyka stłumiła w sobie zdrowy odruch skoczenia Eskenezerowi do gardła i przejechała dłonią po łysej czaszce, żeby stłumić ból. Odruchowo spojrzała na palce, ale nie było na nich krwi.

– Przepraszam – szepnęła, nie podnosząc głowy i cofnęła się o kolejny krok. Jeżeli oddali się jeszcze

bardziej, będzie musiała krzyczeć, żeby ją usłyszano. Eskenezer, zaciekawiony, podszedł bliżej i obrzucił wzrokiem jej gładki, czarny uniform bez jakichkolwiek oznaczeń.

– Dlaczego nie masz naszywek? – spytał surowo.

Sytuacja rozwijała się w zdecydowanie niewłaściwym kierunku i Larden postanowił przejąć inicjatywę.

– A właśnie, w sprawie przynależności, panie... – zaczął, trochę zbyt głośno.

– Tak? – Eskenezer niechętnie odwrócił głowę w jego stronę. W drobnym żołnierzyku Lardena było coś niepokojąco znajomego i denerwowało go, że nie może sobie przypomnieć gdzie go wcześniej spotkał, bo że go już kiedyś widział, to pewne.

– Podobno w biurze, tam – Larden machnął ręką w nieokreślonym kierunku – chcą, żebym wreszcie określił przynależność. Czy mogę podać ciebie, panie, jako swojego dowódcę?

– W żadnym wypadku – odparł Eskenezer kategorycznie. Nie miał nic przeciwko zatrudnieniu Lardena do zadań dorywczych, ale opieka nad niesterowalnym psychopatą ani trochę mu się nie uśmiechała.

– Czy jest coś, co mógłbym zrobić, żebyś zmienił... – zaryzykował Larden, ale na szczęście Eskenezer nie sprawił mu niespodzianki.

– Nie – uciał krótko, nawet nie pozwalając diabłu

skończyć zdania.

Ponownie spojrzął w stronę nieśmiałego chłopaka. Preferencje Lardena nie powinny go obchodzić. Jeżeli jego nowy sposób spędzania wolnego czasu sprawi, że ten wariat nie będzie biegał po piekle w poszukiwaniu obiektu do poderżnięcia gardła, to był z tego zadowolony.

– Niech twoja dziewczyna zdejmie z siebie ten niby mundur komandosa, skoro nie ma do niego prawa.

– Tak jest! Zaraz jej coś zorganizuję. Znaczą jemu...
– zająknął się. Wyglądał na zmieszanego, co całkowicie Eskenezera zaskoczyło. Kogo jak kogo, ale tego psychologa nigdy by o takie uczucia nie posądzał. Bez słowa wszedł do łazika. Kiedy ruszał, obrzucił nową zdobycz Lardena przeciągłym spojrzeniem, świadomy niepokoju, jaki chłopak w nim budził.

– A coś mi mówiło, żeby ruszyć dupę chwilę wcześniej. Musimy się pospieszyć – westchnął Larden, gdy tylko szef komandosów zniknął im z oczu. – On cię skojarzy, możesz to obstawiać, jak w Wielkiej Pardubickiej. Pytanie tylko kiedy...

Szybko zادةptał ognisko i pociągnął dziewczynę za sobą w stronę dalekich wzgórz.

– Musimy galopem dotrzeć w rejon jaskiń i trzymaj kciuki, żeby nikt nas nie przyuważył i nie zapamiętał. Prześpisz się na miejscu. Tam jest najbezpieczniej, bo

z własnej woli do demona chodzą tylko tacy rypnięci popaprańcy jak my.

Wziął ją za rękę i ruszyli biegiem.

Kiedy zostawili wulkan tak daleko za sobą, że ledwie majaczył na horyzoncie, Larden zwolnił i zaczął się rozglądać. Wskazał Duszyccze miejsce za dużym głazem.

– Zdrzemnij się. Przed świtem przejdziemy ostatni kawałek i rano, jak się rozwidni, zejdziemy do jaskini Hauresa.

– Czemu rano? – zdziwiła się.

– Całkiem prawdopodobne, że będziemy musieli się z niej ewakuować w dużym pośpiechu. No, prawdę mówiąc w panice. Nie chcę, żebyś biegła w ciemnościach i wypieprzyła się na jakimś kamieniu na zbity ryj... znaczy na nos – poprawił się.

– W jaskini przecież i tak będzie ciemno.

– Ale przynajmniej będziesz widziała światełko i zorientujesz się w którą stronę bieć, zamiast obijać się jak ćma po ścianach.

Nie sposób było nie przyznać mu racji. Duszyccza była teraz przerażona własnym pomysłem odwiedzenia demona, o którym zupełnie nic nie wiedziała, ale ani nie mogła, ani nie chciała się już z tego wycofać. Jedy-
nym sposobem na pokonanie Marimar było zdobycie jakiegokolwiek wiedzy o jej nowym wcieleniu. Duszyccza

liczyła, że Haures, świadomie bądź nie, podsunie im jakąś wskazówkę, choćby mały strzępek informacji, cokolwiek, co pozwoli im uzyskać przewagę nad diablicą. W spotkaniu z nim szanse na przetrwanie były większe, bo się nie znali i jeszcze nie pragnął obsesyjnie jej zabić. Posiadanie śmiertelnego wroga było doświadczeniem, z którym nie zdołała się oswoić. Marimar już dwukrotnie bez powodzenia próbowała ją zamordować, licząc, że przeniesienie dziewczyny do nieba na zawsze oddziele ją od Azazela i ponownie otworzy diablicy drogę do jego łoża. Nienawidziła swojej konkurentki całym jestestwem i nie było żadnej szansy, żeby to uczucie kiedykolwiek zbladło.

Ze swojej strony Duszczyka, nawet gdyby chciała dać sobie spokój z samobójczą misją, nie byłaby w stanie następnego dnia spojrzeć w lustro. Roza wpadła w kłopoty przez nią i coś musiała z tym zrobić. Szaleństwo, które co jakiś czas pchało ją do straceńczych działań, nadal żywym ogniem płonęło gdzieś w jej wnętrzu.

– Wiesz co, Larden? – powiedziała w nagłym olśnieniu. – Wreszcie wiem, dlaczego cię lubię.

Zaskoczony Diabeł uniósł brwi. Mógł podejrzewać wszystko, tylko nie to, że kobieta księcia go lubi. Nic na to nie wskazywało.

– Bo my jesteśmy tacy sami – powiedziała z triumfem.

– Znaczy, że w jakim sensie? – zdumiał się. – Też jesteś psychopatką? Nie wyglądasz.

– Od czasu do czasu coś nas popycha do jakiegoś szaleństwa, tyle tylko, że ciebie jakby bardziej.

– Parę kropek ci jeszcze do mnie brakuje, chociaż przyznaję, że się uczysz. Poza tym jesteś zupełnie inna. Śpij, a ja tu sobie posiedzę przy ognisku.

– Nie usnę. Wszystko się we mnie trzęsie z emocji – powiedziała, bo przecież nie mogła się przyznać, że ze strachu. – Opowiedz mi coś.

– Niby co?

– Coś ze swojego życia? Miałeś chyba jakieś ciekawe przygody.

– Jak usłyszysz o moich przygodach, to już nigdy przy mnie nie zaśniesz. Ja bym na pewno nie spał w swoim towarzystwie. W życiu!

– No to pogadajmy o czymkolwiek – mruknęła Duszczyka, bez powodzenia próbując się ułożyć na twardej kamieniach.

– Zaraz, tylko przyniosę drewno na ognisko. Posiedź tu chwilę, byle cicho.

Usiadła prosto, jak dźgnięta nożem.

– Nie zostawiaj mnie! Przecież możesz potem nie trafić do tego miejsca! – zawołała z paniką w głosie, bo niby jak miałyby sama znaleźć jaskinię Hauresa?

– Posłuchaj mnie, mały tchórze. – Diabeł kucnął

obok i wziął ją za ramiona. Patrzył jej w twarz z tak bliska, że musiała robić zeza, żeby go widzieć. – Mieszkam tu od co najmniej dziesięciu tysięcy lat, może dłużej. Umiem narysować z pamięci każdy kamień i każdą dziurę. Zawiąż mi oczy, a bez problemu i nie potykając się dojdę do pałacu Władcy. Znajdę cię. Nawet, jeżeli stąd odejdiesz, też cię wytropię.

W duchu przyznała mu rację, ale i tak w napięciu czekała na jego powrót. Gdy usłyszała zgrzyt butów na kamieniach i dostrzegła czyjś cień, skuliła się za swoim głazem, nie będąc do końca pewna, czy to aby nie jakiś intruz. Cień jednak odezwał się znajomym, nieco zachrypniętym głosem Lardena.

– Umarłaś ze strachu, że tak cicho siedzisz, czy może śpisz?

– Nie śpię. Tak sobie leżę i myślę.

– O czym? – spytał, układając nieduże ognisko i zapalając śmierdzącą siarką zapalną. Drobne płomyki zaczęły pełgać po suchych patykach i złocisty blask oświetlił najbliższe kamienie. Twarz Lardena pochylonego nad ogniskiem nabrała upiornego wyglądu. – No, o czym?

– O Azazelu – powiedziała zgodnie z prawdą. Cały czas tkwił gdzieś na samym dnie jej umysłu i nawet jeśli starała się o nim nie pamiętać, był z nią. Czasem, gdy siedziała gdzieś zamyślona, wręcz czuła jego fizyczną obecność. Doszukiwała się podobieństwa nawet w ry-

sach mijanych w niebie mężczyzn, niekiedy zdawało jej się, że rozpoznaje jego głos i gwałtownie odwracała się w stronę mówiącego z nadzieją, która pomimo wysiłków, nie dawała się zabić. Liczyła, że może kiedyś, za kilka lat, uda jej się uwolnić od tej miłości. A może nie...

– O Azazelu? – powtórzył Larden. – Powiedz mi jedno.

– No?

– Za co on ci wtedy przyłożył? Tylko jakby co, to mu nie mów, że cię pytałem, bo mnie zatłucze.

– Powiedziałam, że jestem w ciąży.

– Przecież nie byłaś.

– Wtedy myślałam, że jestem, a on mi uwierzył – w głosie Duszczyki zabrzmiało zniecierpliwienie, ale diabeł był głuchy na takie subtelności.

– I tak go wkurzyło, że ma zostać ojcem? – ciągnął, poprawiając patykiem płonące gałązki, do których dołożył grubsze kawałki drewna. Nie widział, że Duszczyka gwałtownie usiadła i patrzy na niego, zaskoczona.

– Wiesz co, Larden? – spytała. Słyszac napięcie w jej głosie diabeł podniósł zdziwione oczy. – Jeżeli kiedykolwiek będziesz potrzebował mojej pomocy, daj znać. Zrobię dla ciebie wszystko, co będę mogła – oświadczyła uroczyście.

– Za to, że idę z tobą do paszczy Hauresa? Nie przesadzaj. Też chętnie się z nim pobujam. Będzie jazda.

– Nie. Za to, że ty jeden, nie wyłączając archanioła, nie uznałeś mnie za dziwkę.

– Czy możesz jaśniej? Ja jestem prosty facet i nie chwytam.

– Wszyscy czterej, którym to powiedziałam: Azazel, Eskenezer, Mefisto i Gabriel zadali mi to samo pytanie: „Z kim?”. Zupełnie jakbym sypiała z facetami na prawo i lewo. Ty jeden uznałeś, że z Azazelem.

Duszczyka podniosła się z kamieni, podeszła do diabła i wyciągnęła rękę. Larden wstał od ogniska i uściśnął jej dłoń, drugą ręką klepiąc dziewczynę po ramieniu. Był zaskoczony jej reakcją, ale wiedział, że kobiety często bywają emocjonalne. Widać i na nią przyszła pora. Nieco zażenowany trzymał jej małą dłoń i potrząsał mocno, nie wiedząc jak ma się zachować. Dotykanie kobiety księcia było zbrodnią, ale odmówienie jej uścisku ręki byłoby świństwem, na jakie nawet on nie umiał się zdobyć.

– Jesteś teraz moim bratem – powiedział Larden, który, jako żywo nigdy wcześniej nie czuł potrzeby posiadania kogokolwiek bliskiego. Ale też nigdy wcześniej żadna kobieta nie wyciągnęła do niego ręki z uznaniem. Wszystkie uciekały z krzykiem.

– Tak – potwierdziła. – Jestem teraz bratem diabła. To chyba lepsze stanowisko, niż diablej kochanki.

Oswobodziła dłoń i wróciła na swoje miejsce na ka-

mieniach. Usnęła natychmiast, jeszcze na siedząco, le-dwie oparła się plecami o skałę i obudziło ją dopiero szturchnięcie buta Lardena.

Policjant z niechęcią patrzył na sporządzony przez siebie raport o zaginięciu. Nie wierzył, że ktokolwiek zaginął i nie chciał z siebie robić nadgorliwego idioty, któremu można wmówić ewidentną bzdurę. Kto mógłby zrobić dziewczynie krzywdę w niebie? Tu zło nie miało przecież wstępu i próbował to wytłumaczyć nerwowemu grubaskowi, który upierał się przy swoim, jak prosię w kartoflisku.

Spojrzał na wiszący na ścianie zegar, który wskazywał kilka minut po dziewiętnastej. Jeżeli zaginiona była ostatni raz widziana wczesnym popołudniem, to niewątpliwie upłynęło już wymagane przepisami czterdzieści osiem godzin i należało nadać sprawie bieg. Przepis to rzecz święta i każdy powinien się do tej złotej reguły stosować.

Wstał zza biurka i poszedł na zaplecze. Tu, przy komputerze siedział młodszy posterunkowy, który całutki dzień teoretycznie zajmował się przeglądaniem Internetu w poszukiwaniu przestępczej działalności. Policjant podejrzewał, że tak naprawdę oglądał strony dla dorosłych, ale kompletny brak wiedzy o tych tajemniczych urządzeniach, które wymyślono już po jego

przyjściu do nieba nie pozwalały mu sprawdzić podwładnego.

– Młodszy posterunkowy – powiedział, naciągając czapkę niżej na oczy.

– Tajess – poderwał się zza monitora młody policjant, szybko klikając myszką w sobie tylko wiadomym celu i wyprostował się służbiście. Lubił swoją pracę i nawet lubił tego nieszkodliwego formalistę, którego mu tu przydzielono jako szefa.

– To jest zgłoszenie o zaginięciu jakiejś kobiety. Zapewne fałszywe, ale musimy nadać mu bieg. Wprowadźcie to, młodszy posterunkowy, do bazy danych, skoro Komenda Główna tego wymaga.

Wręczył młodemu plik wypełnionych kartek i wrócił do biurka, zając się sprawozdawczością dla władz wyższych. W rubrykach niezmiennie wpisywał „zero” swoim równym, kaligraficznym pismem i był dumny, że na jego terenie przestępczość nie istnieje. Obecne zgłoszenie popsuje mu statystyki. Teraz będzie musiał uwzględnić zaginięcie osoby pełnoletniej, sztuk jeden. Potem trzeba będzie je przenieść do spraw umorzonych i okaże się, że ilość spraw nierozwiązanych wynosi na jego terenie sto procent. Sto procent! Gdy to sobie uświadomił, zdjął czapkę i przetarł chusteczką spoczone czoło.

Młody policjant wpadł do pokoju szefa z takim po-

śpiechem, że mocno szarpnięte drzwi uderzyły klamką o ścianę, wybijając dziurę w tynku.

– Młodszy posterunkowy! – krzyknął policjant. – Co wy wrabiacie?!

– Szefie... znaczy panie posterunkowy, ta kobieta!

– Co z nią? Znaleźli ciało, czy co?

– Nie. Wprowadziłem dane do komputera i jak tylko posłałem do bazy, dostałem informację, że wszelkie zgłoszenia o tej osobie mają być natychmiast przesyłane do biura archanioła Gabriela. Nigdy się z czymś takim nie spotkałem! Pierwszy raz jakiś archanioł interesuje się naszą pracą.

Przez chwilę patrzyli na siebie bez słowa. Ściąganie na siebie uwagi kogoś tak wysoko postawionego musiało wróżyć duże problemy i obaj mieli tego świadomość. W ciszy posterunku słychać było tylko cykanie zegara, gdy nagle rozległ się natrętny dzwonek telefonu. Młodszy spirant rozsądnie wycofał się do siebie, pozostawiając szefa sam na sam z żabą, którą teraz należało pokłnać.

Policjant podniósł słuchawkę.

– Siódmy posterunek – powiedział głośno i wyraźnie.

Ze słuchawki, ku jego przerażeniu, dobiegł surowy głos:

– Mówi archanioł Gabriel.

Sam archanioł we własnej, prześwietnej osobie. Policjant podniósł się zza biurka.

– Ruchy, ruchy, kobieto. Jeszcze musimy przejść kawalek.

Duszczyka przeciągnęła się, ziewając. Czuli się nawet nieźle, pomimo krótkiego snu na twardych kamieniach. Bała się Hauresa, ale jednocześnie chciała się z nim zmierzyć i im prędzej to nastąpi, tym lepiej. Adrenalina już zaczynała krążyć jej w żyłach.

– Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby się napić – westchnął Larden, zajęty przeglądaniem zawartości swojego plecaka. Ognisko już ledwo się żarzyło, dawało jednak nadal nieco krwawego światła, które odbijało się w łysej czaszce diabła. Czarny, kilkudniowy zarost, który u modeli na okładkach magazynów dla pań wyglądał tak seksownie, jemu nadawał wygląd bandziora.

– Przecież mamy wodę. Chętnie się z tobą podzielię – powiedziała Duszczyka skwapliwie, z nadzieją na pozbycie się choć części błotnistej cieczy. Bardzo chciało jej się pić, ale nie mogła się zmusić do przełknięcia przyniesionej przez diabła hodowli wszelkiego rodzaju kultur bakteryjnych. Biorąc pod uwagę, że była to woda z piekła, musiała zawierać wyłącznie zjadliwe świństwa.

– Nie o tym mówię. Czy ja wyglądam na takiego, co pije wodę? – obruszył się. – Bimberku bym się napił.

Tak mnie naszło.

Wstał i zaczął zadeptywać ognisko. Rozgarniał stopami gorący popiół i nadpalone patyki, żeby nie został żaden ślad ich bytności.

– Mam u Dezyderiusza chyba jeszcze kilka butelek koniaku Mefista. Jak wrócimy, to ci podeślę jedną, ale teraz nic nie poradzę.

– Tak sobie tylko marzyłem. Jakiś dzień drogi stąd jest kopalnia, do której Azazel poszedł teraz za karę machać kilofem. Nadzorca pędzi świetny bimber.

Duszyczka zatrzymała się, łapiąc Lardena za rękaw.

– Matko Święta, w jakiej kopalni? – zawołała. – Kto go tam posłał? Znów ten popieprzony Belzebub?

– Przestań! – syknął ze złością, odsuwając się o krok. – Ile razy prosiłem, żebyś jej nie wzywała? Jesteś nie-
edukowalna czy co?

– W jakiej kopalni? – powtórzyła, uderzając się trzymanym w ręce biczem po cholewce buta. Była w tym tak podobna do Eskenezera, że Larden na moment zawahał się, zanim zaczął mówić.

– Powiedział, że musi być jakaś kara za niesprawiedliwe pobicie własnej kobiety i wyznaczył sobie pracę w kopalni w karnej kompanii. Chyba najgorsze możliwe zajęcie. Wszystkie obowiązki piekielne przelał na swojego pierwszego komandosa.

– A na ziemi, u Lucyfera?

– Czy ty myślisz, że mnie się książęta spowiadają z tego, co robią? Skąd mam wiedzieć coś o Lucyferze? Ja nawet nie chcę, żeby on wiedział cokolwiek o mnie.

– Długo ma tam być? No w tych kopalniach – dodała widząc pytający wzrok Lardena.

– Podobno mówił, że dopóki ty nie wrócisz do piekła.

Ręka Duszczyki wystrzeliła w przód jak rozjuszona kobra. Diabeł, zajęty zadeptywaniem ogniska, chwilo-wo nie spodziewał się jakiegokolwiek ataku, a już najmniej z jej strony. Okuta metalem końcówka bicia trafiła go w twarz, rozcinając policzek. W ułamku sekundy chwycił rzemień, zanim Duszczyka zdążyła zamachnąć się po raz kolejny i wyszarpnął jej go z rąk. Przyskoczyła bliżej.

– Ty ścierwo! – wrzasnęła z furią, zaciskając pięści i nie bacząc, że stoi całkowicie bezbronna przed psychopatą. W tej chwili była gotowa stanąć oko w oko nawet z tygrysem ludojadem. – Zrobiłeś to specjalnie! Zwabiłeś mnie podstępnie, żeby on mógł stamtąd wyjść! Ty brudna łajzo!

Splunęła mu pod nogi, odwróciła się i pędem pobiegła w stronę, z której przyszli. Diabeł zostawił w spokoju ognisko i ruszył za nią. Słyszając kroki, Duszczyka zatrzymała się na sekundę, podniosła z ziemi kamień i rzuciła w niego, ale chybiła. W biegu schyliła się po następny.

– Stój! Dokąd się wybierasz?

– Wracam. Sama. Możesz mnie w dupę pocałować, łgarzu.

Biegła dalej.

– Nie mam ochoty, ale pocałuję, jeżeli w ten sposób cię zatrzymam. Nie zwabiłem cię podstępem. U Rozy naprawdę coś się dzieje.

– Tereferere.

Diabeł w dwóch susach wyprzedził Duszczykę i zagroził jej drogę, łapiąc mocno za łokcie. Próbowwała się wyrwać i iść dalej, a kiedy trzymał ją nadal, zaczęła go kopać podkutymi buciorami po goleniach. Nawet nie zwrócił na to uwagi.

– Jeśli zrobisz choć jeden krok, to przysięgam na Belzebuba, ściągnę z ciebie gacie i pocałuję ten twój kościsty zadek, skoro nie ma innego sposobu. Przynajmniej mnie wysłuchaj!

Pomimo furii, która mąciła umysł, Duszczyka rozumiała, że mógłby spełnić swoją groźbę. Stała bez ruchu, nadal spięta i gotowa do ataku.

– Nie wierzę ci.

– Powiedz mi, jak długo tu jesteśmy?

– Nie wiem, że dwa dni? – burknęła niechętnie.

– Prawie trzy. Gdybym cię zwabił, żeby Azazel mógł wyjść z kopalni, już dawno by tu był, wykąpany, ogolony i pachnący, jak to zwykle książęta. A on nadal tam

tkwi, macha kilofem, jak ostatni łachmyta i rzyga we wzorki ze zmęczenia, o ile ma czym. Nic nie wie o tobie. Może potem się ujawnisz, jak będziesz chciała, ale teraz nikt nie może wiedzieć, że tu jesteś, nawet on. Przede wszystkim on. Nie umiałby dobrze udawać nieszczęśliwego i wieści by się rozniosły.

Dłuższą chwilę stała przed nim bez słowa. Myślała o swoim pięknym Azazelu, który harował w kopalni w brudzie i ciemności, z nadzieją, że może kiedyś jego była kobieta mu wybaczy i wróci. Pileczka była po jej stronie.

Oczami wyobraźni zobaczyła go, jak z nieco bezczelnym uśmiechem stoi w wąwozie przed jaskinią Dezyderiusza, trzymając w zębach suche źdźbło trawy, wtedy, gdy go poznała. Zobaczyła, jak śmieje się na cały głos, gdy biła go pięściami za groźby rzucane pod adresem jej i Bazylego. Przypomniała sobie rozpacz, jaką czuła, gdy Belzebub przemienił go w miliony ziarenek piasku i satysfakcję, gdy udało jej się wymusić jego powrót. Ujrzała Azazela zabawiającego się z jakąś blondynką i jego niezdarne próby załagodzenia sytuacji. Wreszcie zobaczyła ruiny pięknej oranżerii Belzebuba, które Azazel kazał z zemsty rozwalić raketami ziemia-ziemia. Jej twarz powoli się wypogodziła. Jednak ostatnim obrazem, jaki ujrzała, był pochylony nad nią Azazel z ręką uniesioną do uderzenia. Brwi zbiegły jej się w równą kreskę.

Wzięła swoje uczucia do niego w dwa palce, przyjrzała im się pod światło ze wszystkich stron i uznała, że nie jest gotowa. Może kiedyś, a może nigdy. Na pewno nie dziś. Jej świat znów był uporządkowany i mogła poświęcić się temu, co czekało na nią tu i teraz. Nad Azazelem pomyśli jutro, kiedy to wszystko tak czy inaczej się skończy.

Powoli wypuściła powietrze z płuc. Przez chwilę patrzyła na wąski strumyczek krwi, spływający z rozciętego policzka Lardena. W końcu rozluźniła mięśnie.

– Dobrze, na razie zostanę. Zregeneruj sobie ten policzek, tylko nie myśl, że cię przeproszę.

– Nie oczekuję tego. A bliznę zostawię sobie na pamiątkę po wkurzonym aniołku. Chodź, musimy ruszać.

Duszyczka posłusznie odwróciła się i poszła za diabłem, któremu teraz nie do końca wierzyła. Nie był to dobry prognostyk na przyszłość. Przypomniała sobie słowa Lucyfera: „Choćbyś nie wiem jak nie ufał innym, zawsze na końcu okazuje się, że trzeba było nie ufać jeszcze bardziej.” Ten stary diabeł z pewnością wie, co mówi.

Telefon od Gabriela zastał Eskenezera podczas zawodów komandosów. Ćwierćfinały walk w klatkach zapowiadały się ciekawie i zaharowany Eskenezer dał sobie godzinę wolnego, żeby je zobaczyć. Przejęcie

wszystkich obowiązków Azazela sprawiło, że był zajęty na okrągło i nie mógł się już doczekać zakończenia tego niechcianego zastępstwa. Doba wydawała się o połowę za krótka, nawet gdy przerzucił część obowiązków jako pierwszego komandosa, na swoich zastępców. Niechętnie odebrał połączenie, zatykając palcem drugie ucho. Wycie wzmoгло się, bo w klatce trysnęła krew.

– Witam, Gabrieliu – wrzasnął do słuchawki, niepomny faktu, że hałas jest tu, a nie tam.

– Uciekła – wypalił archanioł bez wstępów.

– Mów głośniej! Kto wam znów uciekł? Wasza ochrona jest jak sito. – Zmęczony Eskenezer czuł, że archanioł chce zwalić na niego jakieś nowe obowiązki i wcale mu się to nie spodobało. Był gotów protestować bez względu na konsekwencje.

– Duszczyka – sapnął Gabriel, zniecierpliwiony faktem, że w ogóle musi wyjaśniać. – Jej pracodawca zgłosił zaginięcie, kiedy przestała się pojawiać. Nigdzie jej nie ma i od dobrych kilku dni nikt jej nie widział. Czyściec też się do niej nie przyznaje, moje służby to sprawdziły, więc musi być u was.

– A niby jakim cudem?

– Nie mam pojęcia, bo nie skorzystała z żadnej oficjalnej drogi. Ta kobieta doprowadzi mnie do obłędu.

– Dlaczego przychodzisz z tym do mnie? Jest wasza. Diabły powitały gromkim rykiem kolejną udaną ak-

cję jednego z zawodników.

– Czemu u was potępieńcy tak wrzeszczą? – spytał wyraźnie zde gustowany hałasem Gabriel, jakby z przejęcia zapomniał, do czego służy piekło. – Ty przypro wadziłeś nam Duszyckę, więc myślałem, że może coś wiesz. Poza tym podobno chwilowo przejąłeś obowiązki Azazela, więc szukanie jego kobiety, no dobrze, byłej kobiety – poprawił się, słysząc, że diabeł zaczyna coś mówić – to też twoje zadanie. Tak uważam.

– Oficjalne kanały jej nie odnotowały. Wiedziałbym – Eskenezer wzruszył ramionami, choć rozmówca nie mógł tego zobaczyć. Starał się ukryć niepokój w głosie.

– Nie udawaj. Twój pracownik, Larden, widział się z nią ze dwa tygodnie temu. To na pewno ma jakiś związek.

– Ja mu nic nie zlecałem – skłamał gładko Eskenezer. – Poza tym, Larden to nie mój pracownik. Jak chcesz coś wiedzieć o wizytacjach u Duszyckki, to przesłuchaj nagrania.

– Już to... – Gabriel urwał gwałtownie, uświadamiając sobie, że dał się złapać na czymś, czego nie powinien robić.

– Dobra. Każę chłopakom się rozejrzeć – westchnął diabeł, przekonany, że archanioł się myli. Duszycka w żaden sposób nie przedostałaby się sama do piekła, nie mówiąc o przetrwaniu w nim kilku dni.

Gabriel rozłączył się bez pożegnania, a Eskenezer zmrużył oczy, próbując zebrać myśli. Wokół słyhać było wycie dopingujących diabłów, gwizdy i okrzyki, ale on tego nie słyszał. Zamiast dwóch walczących zawodników miał przed oczami scenę z Duszycką sprzed kilku lat. Chciała się nauczyć brudnych sztuk walki. Eskenezer doskonale zdawał sobie sprawę, że kilkugodzinne szkolenie zda się psu na budę, jeśli miałyby walczyć z którymś z dzisiejszych zawodników. W pół sekundy byłoby po wszystkim. A jednak stała wtedy przed nim, ambitna i pełna wiary w swoje możliwości. Drobny, mały żołnierz w czarnym stroju komandosa. Drobny, mały żołnierz... z którym Larden szedł przez piekło!

Zerwał się na równe nogi ze swojego honorowego miejsca w pierwszym rzędzie, przewracając krzesło. W pierwszej chwili, w ogólnym tumulcie nikt nie zwrócił na to uwagi.

– O słodki Belzebubie! – jęknął, uderzając się otwartą dłonią w czoło. – Ależ jestem kretysem.

To dlatego tak się odsuwała, byle dalej, i trzymała głowę spuszczoną. Ogolona na łyso, mogła go zmylić, ale gdyby spojrzała mu w oczy, poznałby ją natychmiast. Odpowiadała szeptem nie dlatego, że się go bała, tylko żeby nie rozpoznał jej głosu.

– Braten! – ryknął, przebijając się przez wyjąca ciżbę. – Braten!

Diabły zaczęły cichnąć i choć walka jeszcze trwała, wszyscy już czuli, że coś się stało i pozostałe ćwierćfinały się nie odbędą.

– Tu jestem, szefie – z okna na piętrze wychyliła się głowa dyżurnego dyspozytora.

– Unieważnić przepustki. Wszyscy idą szukać Lardena. Ci dwaj z klatki też, o ile jeszcze są zdolni do służby. Przeczesać całe piekło, odnaleźć tego gnoja za wszelką cenę i dawać do mnie. Jest z nim chudy chłopak, ogolony na лыso. Dostarczyć go tutaj z najwyższym szacunkiem, jakbyście prowadzili archaniola. Jeśli ktoś go choćby draśnie, zaprowadzę takiego luja na wulkan i osobiście kopnę w dupę, żeby dalej leciał. Jasne? Sprawdzić telefon Lardena i kanały przerzutowe na cztery dni wstecz, jeśli się da.

– Tajes! Dowódcy grup do mnie!

Chwilę później Eskenezer został sam na dziedzińcu. Nie miał pewności co sprawiło, że Duszydzka, wbrew zapowiedziom wróciła do piekła, ale nie wróżyło to nikomu nic dobrego. Zacisnął szczęki. Ten cholerny psychopata Larden będzie martwy, gdy tylko wpadnie mu w ręce. Wiedział, co jej grozi, a jednak pozwolił, by tu przyszła. Kto wie, może nawet sam ją ściągnął. Kretyn!

Eskenezer doskonale rozumiał jak musiał się czuć Azazel, przez kilka lat odpowiadający za bezpieczeństwo Duszydzki i wściekłość na własną bezradność

uderzyła mu do głowy falą gorąca. Pobiegł do swojego gazika i ruszył za bramę, na chybił trafił przemierzać wszystkie drogi w poszukiwaniu kobiety, która od kilku lat dostarczała im wszystkim zajęcia.

– To tam – powiedział Larden, wyciągając rękę w stronę skalnej ściany widocznej w oddali. – Ta duża, ciemna plama to wejście do jaskini Hauresa. Widzisz?

– Nie. – Duszyczka wpatrywała się w przestrzeń, oglądając skały w poszukiwaniu ciemnych plam.

– Dokładnie na wprost ciebie, duża dziura w skale. No?

Teraz ją zobaczyła. Szare, poszarpane ściany wznosiły się ku pochmurnemu niebu, które ledwie pojaśniało w budzącym się dniu. Czarna jak smoła dziura, ziejąca w skale niosła ze sobą zagrożenie, jakby coś czaiło się, żeby wystawić łeb i złapać ich oboje za gardło. Śmiertelnie niebezpieczny drapieżnik. Czują przez skórę, jak zło unoszące się nad okolicą dotyka jej ciała setkami drobnych macek, szukając słabych punktów.

Wzdrygnęła się. Tam, w czarnej głębi, czekało na nią przeznaczenie. Powoli kiwnęła głową, potakując.

– Widzę – powiedziała i zdziwił ją spokój we własnym głosie.

Larden nie odrywał wzroku od jaskini, jakby czekał, czy coś w niej dostrzeże.

– Dlaczego mu nie wybaczysz? Azazelowi? – spytał nagle. Oderwana od swoich myśli Duszczyka, gwałtownie zamrugła, wracając do rzeczywistości. – Każdy zasługuje na drugą szansę.

– Solidarność plemników? – zadrwiła. – Dałam mu kiedyś drugą szansę i kolejny raz próbował mnie zniszczyć. Nie mam ochoty na trzecią odsłonę tej tragikomedii. Orędownik miłości się znalazł.

– Zanim Haures przemieli nas na demony... – zaczął, ale Duszczyka nie pozwoliła mu skończyć.

– Kocham go, wiem. To uczucie potrwa jeszcze długo, może zawsze, ale nie zamierzam pędzić teraz w jego ramiona z radosnym pokwikiwaniem. Nie dam się zredukować do roli bitej konkubiny. Koniec. Jeżeli jeszcze kiedykolwiek wrócisz do tego tematu, zwyczajnie cię zastrzelę – powiedziała beznamiętnym tonem, patrząc mu w oczy.

Larden przez chwilę odwzajemniał spojrzenie, stojąc bez ruchu. W końcu chrząknął, odwrócił się i zaczął grzebać w plecaku, który leżał obok. Chował po kieszeniach jakieś drobne przedmioty, coś wsunął do rękawa i na koniec wyciągnął w stronę Duszczyki butelkę z coraz bardziej zielonkawą wodą.

– Napijesz się?

– Daj. Wezmę ze sobą.

– Nie będziesz dobrze biec z obciążeniem, a i tak je-

steś za powolna – pokręcił głową, niezadowolony. – Lepiej napij się teraz.

Duszyzka poczuła kolejną falę mdłości podchodzącą do gardła. Już od kilku godzin nie czuła się najlepiej i za wszelką cenę chciała uniknąć picia trucizny, jaką Larden oferował jej w najlepszej wierze. Wołała odwodnić się brakiem płynów, niż zwymiotować i utracić te, które jeszcze jej zostały, a już na pewno nie Hauresowi na nogi, bo to niewątpliwie źle by go usposobiło. Nikt nie lubi, kiedy się puszcza pawia na jego widok.

– Gdybym musiała biec, to ją wyrzucę, trudno – powiedziała, wsuwając butelkę do kieszeni na udzie. Była zdecydowana napić się dopiero gdy śmierć z pragnienia zacznie ostrzyć na nią kosę. Butelka nie mieściła się w kieszeni i prawie pół jej wystawało, ale Duszyzka była tak zdeterminowana, że Larden machnął ręką.

Ukrył plecak między kamieniami i uważnie zlustrował okolicę. Był skupiony, mierzył odległości krokami i szeptał coś pod nosem. Nie dostrzegął swojej towarzyski, która powoli chodziła za nim po porośniętym mizerną trawą stoku, na którym gdzieniegdzie wyrastały z ziemi szpiczaste głazy, jak kły podziemnej bestii.

Gdy zbliżyli się do ściany skalnej, Larden wreszcie odwrócił się w stronę dziewczyny.

– Pokażę ci drogę ewakuacji. Kiedy wybiegniemy z jaskini...

– Dlaczego mamy wybiegać? Nie może być tak, że po prostu wyjdziemy?

Larden machnął ręką ze zniecierpliwieniem.

– Jeżeli w ogóle wyjdziemy, to biegiem, ale może być i tak, że już tam zostaniemy. – Zmarszczył brwi, patrząc na nią surowo. – Musisz mieć świadomość zagrożenia. Hura optymizmem rzadko wygrywa się bitwy.

– Ja na pewno tam nie zostanę. Jak już wybiegniemy, to co dalej? Uciekamy w dół?

– Nie. Tego się Haures będzie po nas spodziewał. Zaraz za wyjściem biegniemy w prawo, za te jaśniejsze skały. – Wskazał ręką. – Są większe i dystans jest stosunkowo krótki. Potem w dół, cały czas tak, żeby skała zasłaniała ci wejście do jaskini. Nie wiemy, jaką bronią dysponuje Haures, czy na przykład może nas spalić spojrzeniem, jak Bazyliszek, czy ma jakieś inne umiejętności. Nikt tego dotychczas nie sprawdził. To znaczy raz ktoś próbował, ale już nie wrócił, żeby złożyć raport. Więcej chętnych nie było.

Duszczyka desperacko próbowała stłumić strach. Powiedziała sobie z całą mocą, że nie będzie się bać byle demona, skoro umiała poskromić ghule. Zapamiętała drogę ewakuacji i martwiło ją jedynie, że może, jak to ona, pomylić „w prawo” i „w lewo”.

– Pożegnalne życzenie skazańca? – spytał Larden, zwracając twarz w jej stronę, gdy stanęli na progu ja-

skini. Być może ostatni raz widziała jego małe, czarne oczy, łysą czaszkę i twarz porośniętą szczeciniastym, czarnym zarostem. Uśmiechnęła się.

– Chciałabym wrócić do nieba, usiąść przy stole jak człowiek i normalnie coś zjeść nożem i widelcem, a nie w kucki i przez ramię, jak tutaj.

– I będziesz się oblizywać aż po brwi? – uśmiechnął się.

– A żebyś, kurczę, wiedział. I chciałabym zobaczyć deszcz. Jak siąpi, kapie, pada, leje, zacina. W piekle zawsze mi tego brakowało.

– Możemy rozpitolić jakiś hydrant w drodze powrotnej i postawić cię pod nim.

– Jesteśmy umówieni.

– Na wszelki wypadek w imieniu piekła odpuszczam ci dobre uczynki. – Larden klepnął ją w ramię i zrobił krok naprzód. – Pójdę pierwszy. Lepiej widzę po ciemku.

– Dobra. Pomszczę cię w razie czego.

Nawet nie patrząc na niego poczuła, że się uśmiechnął.

Trzymając się za ręce jak dzieci, zgodnie ruszyli w mrok jaskini.

– Polecenie Eskenezera. Wypuszczaj ghule!

Strażnik odwrócił się ku mówiącemu z udręczonym

wyrazem twarzy. Do tej roboty powinni dawać skazańców. Spora część z nich miała teraz lepiej niż on, pełnoprawny diabeł, który musiał się dzień po dniu męczyć w odrażającym smrodzie demonów.

Powłócząc nogami zbliżył się do zamykanej na kłódkę furtki i powoli obrócił klucz. Diabeł, którego przysłano, nie krył zniecierpliwienia jego powolnością, stukając trzonkiem bicia o słupek, podtrzymujący siatkę.

– Dopiero wczoraj biegały. Co was znów napadło, żeby je wypuszczać? – mruknął strażnik zrzędlawie. Jego praca była niebezpieczna, bo cholera wie co tym pieprzonym kundlom może strzelić do durnych łbów, jak wyskoczą z klatki. Nigdy przedtem nie zaatakowały swojego opiekuna, ale kto je tam wie.

– Nie twój interes, brudasie – rugnął go przybysz, ale przezornie odsunął się na krok, gdy kłódka została zdjęta i furtka na wybieg otworzyła się na całą szerokość.

Ghule leniwie podniosły się ze swojego legowiska i bez pośpiechu wyszły na zewnątrz. Przyjrzały się obu diabłom żółtymi oczami, kilka szczęk kłapnęło na postrach i demony znieruchomiały. Nie zamierzały nigdzie biegać, wyraźnie pokazując, że nadprogramowa aktywność wykracza poza ich zakres obowiązków.

– Eskenezer powiedział, że macie szukać i że same wiecie, czego. Do roboty – przybysz rzucił rozkaz wład-

czym tonem. Psy ani drgnęły, patrząc na niego z widoczną pogardą i strażnik w duchu uśmiechnął się szeroko.

– Mądre pieski – szepnął pod nosem.

Przybysz strzelił z bata, ale osiągnął tylko tyle, że najbliższej stojące demony pokazały żółte, ociekające śliną kły. Oba diabły znów cofnęły się o krok.

– No, szukajcie, prędko. – Głos przybysza był znacznie łagodniejszy, jakby chciał sprawdzić, czy dobrocią można by osiągnąć coś więcej. Eskenezzer kazał mu śledzić trasę demonów, a przynajmniej wskazać, w którym kierunku pobiegły, ale w obecnej sytuacji nie był w stanie wypełnić rozkazu.

Ghule nie ruszyły się ze swojego miejsca, ale wszystkie uniosły łby i zdawały się węszyć w tym samym kierunku. Diabły popatrzyły w stronę, jaką wskazywały uniesione nosy. W oddali, trochę w bok, majaczył wulkan ze swoimi kaskadami iskier.

– Pokazują na wulkan? – zdziwił się przybysz.

– Chyba bardziej w prawo? – z wahaniem powiedział strażnik. Bał się kolejnej reprimendy, tym razem za odzywianie się, kiedy nikt go nie pyta, ale psy, jego zdaniem, węszyły w nieco innym kierunku.

– Pytał cię kto?

Strażnik wzruszył ramionami. Co gorszego mogło go jeszcze spotkać za niesubordynację, niż to, co obecnie robił?

– To bardziej Wysypisko, niż wulkan – powiedział z naciskiem.

Przybysz zignorował go całkowicie.

– Szukać! – wrzasnął do ghuli, rozdrażniony ich nieposłuszeństwem i strzelił im z bata nad łbami. Wszystkie odwróciły się w jego stronę i zaczęły powoli się zbliżać. Strażnik odskoczył w bok i schronił się za załomem siatki. Widząc, że sprawa zrobiła się niebezpieczna, przybysz zniknął w wirze pyłu i piasku, a pozbawione celu swojego ataku psy powęszyły jeszcze przez chwilę prosto w kierunku Wysypiska, po czym ułożyły się przed wybiegiem i żadne prośby czy ponaglenia nie były w stanie zapędzić ich do środka. Czekały na jakiś sobie tylko wiadomy znak i chciały być gotowe.

Strażnik przez chwilę zastanawiał się, czy nie byłoby dobrze zająć ich klatkę i zamknąć się na klucz w jej względnym bezpieczeństwie, ale po namyśle pozostał z boku wybiegu i oparł się o siatkę. Nie miał przecież nic innego do zrobienia.

Eskenezzer stał przed bramą rezydencji Mefistofeleśa i czekał, aż zostanie wpuszczony przed oblicze księcia. Odkąd uzyskał pewność, że Duszczyka faktycznie jest w piekle i co gorsza wędruje w nieznanym kierunku z psychopatycznym, seryjnym zabójcą, czuł ucisk w piersiach. Głęboko nabrał powietrza, gdy skrzydło

bramy uchyliło się, wpuszczając go do środka.

Mefistofeles czekał na niego w gabinecie. Rozumiał, że musiało się stać coś wyjątkowego, skoro zastępujący Azazela pierwszy komandos zjawia się w tym miejscu, nie prosząc, ale żądając natychmiastowej audiencji.

– Witaj, Eskenezerze. Co cię do mnie sprowadza?
– zaczął, wskazując gościowi fotel po drugiej stronie ogromnego biurka.

Komandos usiadł z wahaniem. Krążąca w nim adrenalina domagała się natychmiastowego działania i trwanie w bezruchu przychodziło mu z trudem.

– Duszczyka. Wróciła do piekła – wyrzucił z siebie bez żadnych uprzejmych wstępów. Etykieta nigdy nie była jego mocną stroną.

Mefistofeles nie wydawał się przejęty nowiną.

– Wiem. Jest tu od trzech dni. Nie myślałem, że to szczególnie elektryzująca wiadomość. Wróciła do Azazela? – uśmiechnął się lekko. – Kobieta zmienną jest. Napijesz się czegoś?

Eskenezer pokręcił przecząco głową, odpowiadając w ten sposób na oba pytania.

– Nie wróciła do Azazela. Idzie dokądś z Lardenem, tyle wiemy.

Mefisto powoli podniósł się z fotela. Wzrok, jakim patrzył w Eskenezera niósł ze sobą obietnicę strasznej przyszłości.

– Od jak dawna wiesz? – spytał z napięciem w głosie. Eskenezer nawet nie spojrział na zegarek.

– Niewiele ponad dwie godziny. Sam ich wczoraj widziałem, ale nie zdałem sobie sprawy, że to ona w przebraniu komandosa. Zamierzam samego siebie zdegradować.

– Nie spiesz się z tym. Co chcesz, żebym w jej sprawie zrobił?

– Zawsze wiesz, gdzie kto jest, panie. Czy możesz sprawdzić dokąd ona idzie? Chcę ją znaleźć zanim Larden... – nie był w stanie skończyć.

Mefisto na chwilę zamknął oczy. W ciszy gabinetu nie było słycać żadnych dźwięków, jakby wraz z Eskenezerem cały świat zastygł w oczekiwaniu na wieści.

– Nigdzie jej nie ma – szepnął zaskoczony Mefistofeles. – Znikła.

Otchłań, w jaką osuwał się Eskenezer zdawała się nie mieć końca.

– Czy to znaczy, że ten gnojek ją...?

– Niekoniecznie. Po prostu znów się gdzieś schowała. Albo on ją schował – dodał, rozważając wszystkie możliwości. – Wysypisko? Widziałeś ją gdzieś niedaleko?

– Pierwszy widział ją Szczurzy Ogon, faktycznie niedaleko, a kilka godzin później ja i wtedy była już kawałek drogi od Wysypiska. Dystans się zgadzał, tyle z pew-

nością byłaby w stanie przejść. Wytyczyliśmy orientacyjny kierunek, ale nie jesteśmy w stanie niczego się domyślić.

– Jakie rozkazy wydałeś?

– Posłałem największą grupę tam, gdzie ją spotkałem. Przeszukują teraz piekło wachlarzową tyralierą. Na coś muszą się natknąć. Reszta szuka wszędzie, na wypadek, gdyby zawrócili. Kanał Lardena kazałem zablokować, ale komórkę, po której można by go namierzyć, porzucił w Bogocie, tuż przed zniknięciem Duszycki, przynajmniej tam się logował ostatni raz. Szykował się na coś.

– A jej psy? Są lepsze ode mnie.

– Odmówiły współpracy. Podobno trzy dni temu przegryzły się przez stalową siatkę i wróciły po kilku godzinach. Myślę, że wtedy ją znalazły, a ona je odsłała. Zawsze ślepo jej słuchają. Niczego się od nich nie dowiemy, póki ona nie pozwoli.

– To dobry znak – rozluźnił się nieco Mefistofeles. – Skoro ich nie potrzebowała, znaczy, że idzie z własnej woli.

– To mnie najbardziej martwi.

– Faktycznie. Nie mieliśmy takiego natłoku wątpliwych atrakcji, zanim Azazel nie ściągnął jej z ziemi. Chyba nikt się tego po niej nie spodziewał.

– Oboje są tacy sami. Nieprzewidywalni.

– Ona i Azazel? – Mefisto pokręcił głową. – Nie. Ale ona i Larden już tak, a to nam nie wróży najlepiej. Informuj mnie o rozwoju sytuacji, bez względu na porę. Dam ci znać, jeśli ją gdzieś wyczuję.

Eskenezzer kiwnął głową i bez słowa wyszedł z gabinetu. Na dworze już wstał kolejny dzień.

Szli obok siebie niezbyt wysokim korytarzem, który stromo opadał i rozszerzał się. Było duszno i gorąco, a nieprzyjemny zapach, którego Duszczyka nie umiała zidentyfikować sprawiał, że z trudem łąpała powietrze. Po chwili stanęli u wejścia do samej groty. Przez otwór w wysokim sklepieniu wpadał snop światła, malując jasny krąg na gładkim, skalnym dnie, pozbawionym kamieni. Chropawe ściany wypływały z mroku jaskini, ukazując jej ogrom i połyskując różnymi barwami zamkniętych w nich minerałów.

Z otworu, jak upiorne dekoracje, zwisały girlandy lin i korzeni roślin, jakby chciały pochwycić każdego, kto pod nie wejdzie. Duszczyka miała wrażenie, że jeśli stanie w świetlistym kręgu i wyciągnie w górę ręce, zostanie uniesiona prosto do nieba. Patrzyła oniemiała. Wreszcie zrozumiała, dlaczego grotolazi są tak oddani swojej pasji, a zarazem dlaczego Haures wybrał akurat to miejsce na swoje wygnanie.

Larden też się zatrzymał, ale nie z powodu zapiera-

jącego dech piękna jaskini, bo nawet go nie zauważył. Jego wzrok prześlizgiwał się po otoczeniu w poszukiwaniu potencjalnych zagrożeń. Doprowadzenie tu kobiety Azazela było największym szaleństwem jego życia, ale jeszcze nie błędem. Utracenie jej tutaj byłoby równoznaczne z samobójstwem. Był zdecydowany walczyć o jej życie nawet bardziej, niż o swoje.

Hauresa dostrzegli oboje w tym samym momencie, gdy wysunął się zza świetlistego filaru, który zdawał się podierać strop. Przed nimi stał teraz wysoki mężczyzna w powłóczystej szacie i o płonących, ognisto-czerwonych oczach, podobnych, jak u Belzebuba. Był tak dalece bezcielesny, że aż na wpół przezroczysty i widać było przez niego przeciwległą ścianę jaskini, oświetloną słabym blaskiem. Mierzył oboje intruzów wzrokiem, chwilowo bardziej zafascynowany faktem, iż ktoś się ośmielił wejść, niż tym rozgniewany. Przed oczami Duszczyki zaczęły wirować pojedyncze czerwone płatki.

– Witaj, Hauresie – zaczął Larden.

Duszczyka czuła, jak bardzo ma on napięte mięśnie, jakby cały czas szykował się do ataku lub ucieczki. Ona sama od wejścia do groty miała wrażenie, że porusza się w gęstej, kleistej smole. Z trudem uniosła rękę do twarzy i poczuła krople potu na linii włosów. Kolejne fale mdłości nadchodziły i odpływały, a ona zaciskała zęby, skoncentrowana jedynie na tym, żeby wytrwać.

– Kim jesteście? – w jaskini zadudnił głęboki głos Hauresa.

– Nazywam się Larden. Kiedyś się już spotkaliśmy, dawno temu.

Haures nie odezwał się, jakby czekał na ciąg dalszy. Nadal stał bez ruchu, przyglądając się nieproszonym gościom.

W jaskini było nieznośnie gorąco i oddychająca z niemałym trudem Duszyczka poczuła, że lada chwila zemdleje. Czerwone płatki wirowały jej przed oczami tak gęsto, że już prawie nie widziała demona. Sięgnęła ręką do butelki z wodą, którą powoli, z najwyższym wysiłkiem wyciągnęła z kieszeni. Próbowała ją otworzyć, gdy poluzowana zakrętka wyślizgnęła jej się ze zdrewniałych palców i potoczyła w stronę kręgu światła. Miała ochotę głośno zakląć, ale zanim zdołała otworzyć wyschnięte usta, usłyszała jak Haures pyta, wskazując ją ręką:

– A to?

Próbowała skoncentrować na nim wzrok, lecz bez większego powodzenia. Stał w deszczu krwistych, wirujących płatków i wyraźnie widziała tylko wbite w nią, płonące oczy.

– To mój diabełek – powiedział Larden swobodnie. Dziwił ją spokój i pewność w jego głosie. Zdawał się niewzruszony, podczas gdy ona nie była nawet w stanie

dobrze kontrolować własnego ciała.

– Kłamiesz! – zagrzemiał nagle Haures, a oczy zapłonęły mu nienawiścią. – Zawsze wiem, kiedy ktoś kłamie. To kobieta i nie jest twoja. Do kogo należysz? – zwrócił się do dziewczyny.

Duszczyka nie była w stanie się odezwać. Przechyliła butelkę, próbując nabrać na dłoń trochę wody, żeby przetrzeć twarz i głowę. To z pewnością by jej pomogło choć trochę odzyskać równowagę.

– Co tam masz? – głos demona odbijał się od ścian i słyszała wielokrotnie odbijające się w jej mózgu echo, zupełnie, jakby była w górach. Z jakiejś przyczyny poczuła jeszcze gorsze mdłości i wreszcie udało jej się nalać odrobinę wody na dłoń, rozchlapując część na ziemię.

– To woda – usłyszała własny, spokojny i równy głos, jakby wszystko było w najlepszym porządku. – Święcena.

Nie rozumiała, dlaczego to powiedziała. Poczula, jak Larden odwraca się w jej stronę z niemym pytaniem, którego nie zdążył zadać. W tej samej chwili Haures bez żadnego ostrzeżenia skoczył przez krąg światła w ich stronę. Odwrócony w jej stronę Larden, który chciał zasłonić dziewczynę własnym ciałem, zareagował o ułamek sekundy za późno. W pierwszym odruchu obronnym, mając świadomość, że walczy o życie, Duszczyka

rzuciła w demona jedyną rzeczą, jaka mogła jej posłużyć za broń – butelką pełną brudnej wody, która o włos minęła skaczącego w jej stronę Lardena.

Widziała, jakby na zwolnionym filmie, jak butelka leciała w stronę demona koziółkując po drodze i ciągnąc za sobą warkocz wyrzuconego przez impet strumienia wody. Przeniknęła przez bezcielesnego Hauresa, a deszcz kropel przeciął go na pół i spadł podłużną, mokrą smugą na kamienne dno jaskini. Butelka pękła od upadku, rozbryzgując wokół resztkę zawartości.

Haures zamarł w pół skoku z przerażeniem na twarzy, a oczy rozgorzały mu głębszą czerwień. Potworny ryk bólu wypełnił sobą wnętrze jaskini i wydawał się niemal namacalny. Duszczyka stała, skamieniała ze zgrozy, nie rozumiejąc, co się stało. Nie była nawet w stanie opuścić ręki, którą podniosła na demona. Wycie Hauresa, wijącego się z bólu na ziemi, całkowicie ją obezwładniło.

Pierwszy ochłonął Larden. Chwycił dziewczynę za rękę i pociągnął w stronę wyjścia. Biegł pod górę ile sił, a gdy zorientował się, że ledwie poruszająca nogami Duszczyka działa jak kotwica, bez ceregieli złapał ją w pół i uniósł ku wylotowi z jaskini.

Rozrywający uszy krzyk nagle umilkł. Duszczyka odwróciła głowę i zobaczyła, jak demon wstaje, ogląda swoje ciało, dotyka piersi, obmacując miejsca, przez

które przeleciała kaskada kropel. Sadzący potężne susy Larden był już zaledwie o kilka metrów od wyjścia, gdy Haures wydał z siebie ryk wściekłości. Larden nagle odbił w bok, najpierw w jedną, a potem w przeciwną stronę, pędząc zygzakiem. Duszczyka patrzyła w demona jak zahipnotyzowana, nie mogąc oderwać oczu od jego wykrzywionej twarzy. Widziała smugę białego światła, która minęła ją o centymetry i uderzyła w ścianę jaskini, wbijając się w skałę i obsypując uciekinierów deszczem kamiennych odłamków.

Larden wyskoczył na zewnątrz i rzucił się w bok, schodząc z linii strzału. Kolejna smuga skoncentrowanej, świetlistej energii wystrzeliła przez wylot jaskini i rozproszyła się w oddali. Dwójka zbiegów ukryła się za skałą i diabeł postawił Duszczykę przed sobą, oglądając ją uważnie.

– Oberwałaś?

Pokręciła głową, choć nie była całkiem pewna. Larden wyrzwał zza skały, ale z jaskini nie dochodziły już żadne dźwięki, a otwór w skałach był znów ciemny i pusty. Prowadząc dziewczynę przed sobą, żeby osłaniać ją własnym ciałem, zbiegł na dno doliny i wreszcie odczchnął. Złapał Duszczykę w pasie, uniósł w górę i okręcił się wokół własnej osi, śmiejąc się na głos.

– Udało się. Jesteś genialna – zawołał. – Jeśli Azazel się z tobą nie ożeni, ja to zrobię.

– To diabły mogą się żenić? – zdumiała się, dyndając nogami w powietrzu.

– No, chyba nie wzięłaś tego na poważnie? – Popatrzył z politowaniem.

Duszczyka westchnęła. Podążanie za krętymi ścieżkami mentalności Lardena nie było proste.

– Co się Hauresowi stało? Nic nie rozumiem. I niby czemu jestem genialna? – wydusiła z siebie. Świeże powietrze nie sprawiło, żeby poczuła się dużo lepiej, a obrót wokół własnej osi, jaki zafundował jej Larden, wywołał gwałtowny zawrót głowy.

– Wymyśliłaś, jak go zabić – powiedział stawiając ją na ziemi. – Skąd wiedziałaś?

– Przecież go nie zabiłam.

Wzięła głęboki oddech, próbując uspokoić szalejący żołądek. Znów była cała mokra od potu i z trudem stała prosto.

– Ludzie mówią, że czegoś się boją, jak diabeł święconej wody. Znasz to powiedzenie?

Kiwnęła głową. Pewnie, że znała, ale nadal nic z tego nie wynikało.

– Święcona woda działa na nas tak, jak na ludzkie ciało stężony kwas solny. Rozpuszcza tkanki. Możemy się po tym zregenerować, nie ma sprawy, ale potwornie boli i dlatego unikamy kontaktu z tym paskudztwem, jak tylko możemy, rozumiesz?

Widząc, że Duszczyka potakuje, ciągnął dalej.

– Dlaczego powiedziałaś, że woda jest święcona?

– Nie wiem skąd mi się to wzięło. Jakby ktoś inny za mnie mówił.

– Twoja podświadomość – diabeł pokiwał głową ze znawstwem. – Mój psychiatra mówił, żebym zawsze ją doceniał. Podświadomie wyczułaś, że Haures się boi święconej wody. On wie, w jaki sposób można go na dobre unicestwić. W pierwszej chwili myślał, że umiera i że kwas nieodwracalnie przeżera mu bebechy. Wył z bólu, bo się go spodziewał – zaśmiał się na wspomnienie. – Żaden z nas wcześniej na to nie wpadł. Przybij! Jeżeli jeszcze godzinę temu nie byłaś legendą, teraz jesteś!

Diabeł wyciągnął w górę otwartą dłoń, którą Duszczyka klepnęła, choć ruch sprawił, że żołądek ścisnął się w proteście.

– Co ty taka blada? Aż tak się przestraszyłaś? – zdziwił się. – Było blisko, ale bez przesady.

– To chyba ta twoja woda. Napilałam się parę łyków i od kilku godzin jakoś tak niezbyt dobrze się czuję. Tak samo miałam po tych frytkach na oleju silnikowym, które mi wtedy kupiłeś na stacji benzynowej.

– Jak jechaliśmy do El Grisa? Zdrowy łomot dostałem po powrocie, jak się Azazel dowiedział, że Marimar cię dopadła przeze mnie. Gdybyś wtedy umarła na do-

bre, to mnie by też zlikwidowali. I słusznie. Odwaliłem beznadziejną fuszerkę.

– W takim razie dobrze, że przeżyłam. Ale przynajmniej obrzygałam tej cholery buty.

– Poważnie? – diabeł zaśmiał się głośno. Cudze nieszczęścia na ogół bardzo go śmieszyły. – Skoro o niej mowa, musimy postanowić, co dalej.

– Myślę, że powinnam wrócić do nieba i wziąć kilka butelek kranówki. Taka niebiańska woda chyba z definicji jest święcona, nie? Oblejemy ją i kwita.

– Musimy się pospieszyć. Nie wiem, kiedy Eskenezzer się połapie kogo widział, może już wie. Nie mamy czasu na kolejne trzy dni spaceru po piekle na oczach całego towarzystwa. Najlepiej będzie, jeśli przerzucę cię kanałem i poczekam w piwnicy te pół godzinki, a ty przyniesiesz wodę i wtedy skoczmy do Rozy. Za godzinę będzie po wszystkim. Pasuje?

– Lecimy. Później obgadamy jak załatwić Marmar.

Larden mocno objął Duszyckę i wyprostował się. Dziewczyna czekała na orzeźwiający pęd powietrza w tunelu, który przeniósłby ją do piwnicy domu Herr Grafa, ale nic nie nastąpiło. Nadal stali przytuleni do siebie w piekielnej dolinie porośniętej rzadką, pożółkłą trawą. Diabeł zaklął.

– Już wiedzą. Zablokowali mój kanał.

– I co teraz? – zmartwiła się. Powrotna wędrówka

przez piekło była całkowicie ponad jej siły. Mogła się tylko zgłosić do najbliższego posterunku i poddać deportacji do niebieskich, skazując jednocześnie Lardena na odwetowe działania służb Azazela.

– Spokojnie – uśmiechnął się diabeł, patrząc na nią z góry. – Mam tak piękny plan B, że nie uwierzysz. Eskenezer też nie uwierzy.

– Mam was, gołąbeczki. Ręce do góry! – zawołał ktoś piskliwym głosem.

Oboje odskoczyli, jak oparzeni. Zza pobliskiej skałki wyszedł bardzo z siebie zadowolony Szczurzy Ogon, mierząc do nich z pistoletu.

– Proszę, proszę, któż to mi się trafił? Larden i jego dupcia obściskują się po kątach – zadrwił.

– Odłóż broń. To nie zabawka dla takich durniów, jak ty – powiedział surowo Larden. – Jeszcze sobie ciula odstrzelisz.

Szczurzy Ogon, który zdawał się nie słyszeć obelgi, wyprostował rękę i zaniósł się piskliwym śmiechem.

– Całe piekło was szuka. Podobno Eskenezer zagonił wszystkich do roboty, ale to ja, ja – dodał z naciskiem – ja was znalazłem. Stój, gdzie jesteś, bo strzełę.

– Ty, Świński Chuju, możesz co najwyżej strzelić bąka w latrynie.

Pistolet zachwiał się w dłoni Szczurzego Ogona, który znów zaśmiał się, pokazując rzadkie zęby.

– Podnosić ręce! No już!

Duszczyka uniosła dłonie na wysokość ramion, ale Szczurzy Ogon nie zwrócił na nią uwagi. Wbijał wzrok w Lardena, który założył ręce na kark. Nie rozumiała, dlaczego trzyma je w tak niewygodnej pozycji.

– Zastrzelę cię, a potem zabawię się z twoim chłopakiem. Lubię takich. Zobaczymy czy warto go zatrzymać na dłużej.

– Zastrzel mnie od razu – jęknęła Duszczyka. Żołądek podchodził jej do gardła i raz za razem przełykała ślinę, żeby go opanować. Ból schodził w dół i teraz skręcał jej kiszki. Z trudem stała i czuła się tak źle, jakby lada chwila miała umrzeć. Było jej już wszystko jedno. Stojący obok Larden odsunął się nieco i poczuła, że spiął się do skoku, jakby zamierzał walczyć uzbrojonym diabłem. Uważała, że to głupie, tym bardziej, że nie czuła się na siłach mu pomóc.

Szczurzy Ogon mlasnął cienkimi wargami i skierował lufę w jej stronę, spuszcżając Lardena z oczu.

– Ciebie na pewno nie, mój malutki... – zaczął, ale nie dane mu było skończyć.

Duszczyka nawet nie zauważyła ruchu ręki Lardena, gdy rzucony przez niego nóż wbił się w gardło Szczurzego Ogona aż po rękojeść. Ten upuścił pistolet i podniósł obie ręce do szyi. Z otwartych jak do krzyku ust nie dobywał się żaden dźwięk, a na twarzy, zamiast triumfu,

pokazało się zdumienie. Zachwiał się, bo impet uderzenia pozbawił go równowagi, ale nie zdążył nawet opaść na kolana, gdy pchnięta przez Lardena Duszczyka upadła jak długa na ziemię.

Larden skoczył ku niemu, stanął z tyłu i nie bez trudu wyrwał nóż, którego czubek wbił się w kręgosłup. Przyciskając głowę Szczurzego Ogona w dół, jednym, gładkim ruchem podciął mu gardło. Duszczyka spodziewała się fontanny krwi, ale z rany spłynął tylko wąski strumyczek. Larden podtrzymywał diabła, póki ciało nie znieruchomiało i upuścił je na ziemię bez zbędnych ceregieli. Potem obrócił trupa na plecy i metodycznie wytarł nóż o jego ubranie. W oczach płonęło mu czyste, pierwotne szaleństwo.

Duszczyka próbowała się poruszyć, ale sparaliżowana widokiem morderstwa nie mogła zmusić mięśni do działania, jakby strach oplątał ją mokrymi, zimnymi mackami. Leżała i patrzyła, a w mózgu kołatało się pytanie, czy nadeszła jej kolej, czy też może jeden trup na raz diabłu wystarczy. Serce waliło jej w piersiach i miała wrażenie, że wyfrunęłoby na zewnątrz w poszukiwaniu ratunku, gdyby nie mocno ściskające bandaże. Największym i wszechogarniającym pragnieniem było teraz stać się ziarenkiem piasku i ukryć na Saharze przed szaleństwem Lardena.

Diabeł obejrzał nóż, starł resztki krwi, jakie zostały

przy trzonku i schował go do rękawa, po czym odwrócił się w stronę dziewczyny.

– Patrz i ucz się. Tak się to robi. Jak podcinasz komuś gardło – przejechał palcem w powietrzu – to trzymaj mu głowę w dół. Utopisz go we własnej krwi i unikniesz bałaganu. Zrozumiałaś?

Duszczyka wymiotowała.

Do pokoju dyżurnego dyspozytora wszedł jeden z łącznościowców.

– Najnowszy raport z centrali nadzoru, szefie. Dziesięć minut temu Larden próbował skorzystać z kanału.

Braten uniósł głowę znad raportów. Analiza danych wpływających z terenu wskazywała, że Larden przemieszczał się po piekle wprawdzie zygakiem, ale wyraźnie w kierunku jaskiń, choć nikt nie wiedział ani dokąd konkretnie zmierzał, ani gdzie teraz mógł być. Widywano go również w oddalonych o kilka dni drogi miejscach i Braten zdawał sobie sprawę, że spora część raportów jest fałszywa, bo każdy miał ochotę na obiecaną przez Eskenezera nagrodę. To nie ułatwiało sprawy. Choć z drugiej strony, skoro Larden z żadnych kanałów nie korzystał, mogli się przemieszczać tylko w takim tempie, jakie wytrzymałaby kobieta Azazela, czyli, w jego pojęciu, ślamazarnym.

– Nie wiemy skąd chciał się ewakuować? – spytał.

– Wiedzielibyśmy, gdyby nie blokada.

– Trudno, musi tak zostać. Eskenezzer chce natychmiast widzieć Szczurzego Ogona. Zadzwoń, żeby się zjawił. Teraz!

– Tak jest – łącznościowiec trzasnął obcasami i zniknął w korytarzu.

Larden stał przez chwilę wpatrując się w leżącego na ziemi trupa zanim odwrócił się do podpartej na łokciu Duszyczki, która za wszelką cenę starała się opanować przerażenie.

– Wstań – rzucił krótko. – I nie waż się beczeć.

Z trudem usiadła i otarła ręką usta. Nie było na świecie takich pieniędzy, dla których mogłaby się podnieść. Larden obszedł zwłoki Szczurzego Ogona dookoła, cały czas mówiąc i kopiąc go czubkiem buta.

– Ty świński cycku! Chciałeś mnie zabić? Jesteś jeszcze głupszy, niż sądziłem, o ile to w ogóle możliwe. Popatrz na mnie – pochylił się lekko nad jego twarzą. – Ktokolwiek kiedykolwiek mi groził, podniósł na mnie rękę, czy próbował mnie zabić, musiał umrzeć. Potem już zawsze obchodził mnie szerokim łukiem. Tylko taki kretyń, jak ty, mógł wystartować z pistoletem. Ślepy jesteś, że moich kropek nie widziałeś? Jest ich tyle, że twoją już chyba na dupie sobie zrobię. – Umilkł na chwilę, patrząc na zabitego. – Czy ty w ogóle zdajesz

sobie sprawę, kim ona jest? Ona! Nawet nie poznałeś, że to kobieta.

Wskazał ręką na Duszyckę i powiódł wzrokiem w jej stronę. Siedziała bez ruchu na piasku, patrząc na nich rozszerzonymi oczami.

– Kazałem ci wstać. Masz zanik funkcji ruchowych? – rzucił donośnie. Głos miał znów gardłowy. Dziewczyna czuła jego nadciągające szaleństwo, ale nie mogła się podnieść. Diabeł jednym skokiem znalazł się obok, złapał ją za łokieć i bezceremonialnie szarpnął, stawiając na nogi. W kieszeni martwego diabła rozdzwonił się telefon, ale żadne z nich nie odwróciło głowy.

– Czemu rozmawiasz z trupem? – spytała, choć przecież zamierzała powiedzieć coś zupełnie innego. Chciała go uspokoić i sprawić, żeby wreszcie zgasł ten ogień, jaki wyzierał mu z oczu.

– Ja nie rozmawiam z trupem – krzyknął. – Ja rozmawiam z diabłem.

Pociągnął ją w stronę Szczurzego Ogona i trzymając za kark zmusił, żeby się nad nim schyliła.

– Patrz! – rozkazał.

Duszycka natychmiast zacisnęła powieki. Nie była w stanie patrzeć na bladą twarz i krwawą krechę w poprzek gardła.

– Patrz – powtórzył.

– Nie! – wrzasnęła mu prosto w twarz, wyrrywając

się i otwierając oczy. Chwilę patrzyli na siebie i nagle Larden się uspokoił.

– Nareszcie – mruknął. – Już myślałem, że ciebie też... nieważne. On wygląda na martwego, ale widzi nas i wszystko słyszy. Wiesz, kogo nazywałeś moim przydupasem, kretynie? To kobieta Azazela. Wygląda, jak wygląda. Wolno jej. Gdybyś ją zgwałcił, Azazel codziennie obdzierałby cię ze skóry centymetr po centymetrze przez całą resztę wieczności. Kiedy się zregenerujesz, przyjdiesz do mnie, uklonisz się do pasa i podziękujesz, że cię przed taką kaźnią uratowałem.

Stanął na udzie Szczurzego Ogonia, chwycił jego nogę za kostkę i jednym mocnym szarpnięciem wyłamał mu kolano. Trzask pękającej kości zabrzmiał w uszach Duszczyki jak wystrzał.

– Zwariowałaś? Czemu się pastwisz nad kimś, kto nie żyje? – krzyknęła, szarpiąc Lardena za ubranie i próbując odciągnąć go w bok. Diabeł odsunął ją jak natrętnego szczeniaka i tak samo złamał drugą nogę swojej ofiary. Duszczyka ciągle krzyczała. Napięcie ostatnich godzin wreszcie znalazło ujście.

Larden zostawił w spokoju Szczurzego Ogonia, złapał dziewczynę za ramiona i potrząsnął, próbując uciszyć histeryczny krzyk.

– Słodki Belzebubie! Jak Azazel z tobą wytrzymał? Na jego miejscu uciekłbym do kopalni na sam twój

widok. Przestań wrzeszczeć! To jest piekło! Tu się jeńców nie bierze.

Larden miał szczerą ochotę ją spoliczkować, byle wreszcie przestała tak krzyczeć. Tylko samobójca podniósłby rękę na kobietę Azazela, nawet była, a takiej pewności nie miał. Nie mogąc się doczekać ciszy, zasłonił jej usta dłonią. Po chwili szamotaniny ochłonęła na tyle, że spojrzała na niego przytomnie.

– On się zregeneruje, tylko nie mogę pozwolić, żeby to zrobił szybko – tłumaczył, choć nie wiedział skąd mu się taka cierpliwość bierze. – Potrzebujemy nieco czasu i im dłużej tu poleży, tym lepiej. Jestem dla niego dobry i nie zawlokę go do jaskini Hauresa. Przeszło ci wreszcie? No powiedz coś. Zapowietrzyłaś się?

Duszczyka głęboko wciągnęła powietrze i świat powoli zaczął wskakiwać na swoje miejsce. Nawet żołądek znacznie się uspokoił i mdłości przeszły.

– No, to ja mam kolejną kropkę do odpokutowania, ale tobie też powinni zaliczyć asystę. Gdybyś nie ściągnęła na siebie uwagi, miałbym trudniej.

– Mógł nas zastrzelić...

– Nie mógł. Ten kretyń ma chyba lej po bombie zamiast mózgu. Z przejęcia zapomniał odbezpieczyć broń – lekceważąco wzruszył ramionami. – Masz chusteczkę?

Pokręciła głową. Chusteczka została w zamienionym

na złoto plecaku, gdzieś w piekle i też była ze złota.

Larden ściągnął koszulę nawet jej nie rozpinając, wziął pistolet przez materiał i odbezpieczył, a potem położył koło trupa.

– No i mam usprawiedliwienie. Nie dość, że samoobrona, to jeszcze musiałem bronić honoru kobiety Azazela przed wariatem z bronią. A moich odcisków nie ma.

Włożył koszulę i upchnął w spodniach, uważnie rozglądając się po okolicy.

– Co teraz? – markotnie spytała Duszczyka, omijając wzrokiem leżące ciało.

– Teraz znikamy stąd galopem. Popatrz – wskazała ręką odległe wzgórze. W pierwszej chwili nie wiedziała, o co mu chodzi, ale gdy się wpatrzyła, dostrzegła maleńkie jak mrówki sylwetki idące luźną tyralierą i pędzący po wyboistej drodze samochód terenowy, ciągnący za sobą błady i unoszący się ku chmurom warkocz pyłu.

– Skoro tak lubisz chłopców, kocia bździno, to ucałuj ich ode mnie – zaśmiał się Larden i przycisnął Duszczykę do siebie. – Chodź, kobieto, przelecimy się kanałem Szczurzego Ogonia, skoro on go chwilowo nie potrzebuje.

Świat zawirował i pęd powietrza owionął ich w ciemnym tunelu.

Eskenezzer przeniósł swój gabinet do pokoju obok centrum komunikacji w lochach pod koszarami. Czas płynął, a on niewiele posunął się naprzód. Dwójka zbiegów ciągle pozostawała na wolności. Larden, zaprawiony w nielegalnych akcjach, mógł jeszcze długo bawić się z nimi w ciuciubabkę, zanim go wreszcie dopadną. Jedyna nadzieja w Duszyczce, która na cichociemne wędrówki po piekle nie miała wystarczająco dużo siły, a jej przygotowanie wojskowe było żałośnie ubogie. Byłaby cudownie łatwym celem, gdyby nie ten cholerny świr, Larden. Musiał jednak uczciwie przyznać, że kiedy poprzednim razem uciekła Azazelowi, umiała się ukryć na Wysypisku tak skutecznie, że jej nie znaleźli. Amatorzy czasem umieli znaleźć rozwiązania, jakie zawodowcom nie przychodziły do głowy.

Zapalił kolejnego papierosa i pociągnął łyk zimnej już kawy z kubka.

– Dziwna rzecz – zaczął z namysłem dyżurny diabeł z łączności, który wślizgnął się niepostrzeżenie. Gabinet Eskenezera był teraz centrum akcji poszukiwawczej i cały czas ktoś się tu kręcił, donosił jakieś papiery, albo wpadał z papierosem w zębach po instrukcje, a i dyżurny dyspozytor, Braten, też chwilowo miał tu swoje biurko.

– Kazałeś pilnie wezwać Szczurzego Ogona, panie. Namierzylśmy sygnał z jego komórki niedaleko jaskiń,

ale nie odbierał telefonu. Za to przed kilkoma minutami korzystał z kanału przerzutowego.

– Skąd dokąd?

– Jest pewien poślizg na łączach i na razie wiemy tylko skąd. Z rejonu, w którym logowała się jego komórka. Teren dość duży, ale użycie kanału dało nam dokładne współrzędne. Chyba zgubił telefon albo specjalnie zostawił.

– Natychmiast pošlij chłopaków. Jeśli się przyłączył do Lardena, to go powieszę, jako buntownika!

Eskenezer nerwowo zaciągnął się papierosem. Nikt w piekle nie wiedział, że Duszydzka wróciła. Nie chciał ryzykować, że jakiś napalony idiota postanowi ją sobie wziąć i nie zdradził tożsamości towarzysza Lardena, o którym wiedziano tylko, że z jakiejś przyczyny jest bardzo cenny.

Zaafierowany goniec wpadł bez pukania do gabinetu i podał diabłu z łączności zadrukowaną kartkę. Obaj poszeptali chwilę i popatrzyli na siebie, kręcąc głowami z powątpiewaniem, a potem odwrócili się do Eskenezera, ale nie zdążyli podzielić się z nim swoją nowiną.

Leżący na biurku telefon zadzwonił przeciągle i pognagłająco, jakby rozmówca miał do przekazania coś nad wyraz istotnego. Wyświetlany numer należał do Mefistofelesa i szef komandosów odebrał w ułamku sekundy.

– Słucham księżę, jakieś wieści?

– Jest w niebie!

– Gdzie? – zdziwił się. – Czy to pewne? – spytał, czując jak ulga ogarnia całe ciało i wreszcie pozwala nabrać pełne płuca powietrza. Miał nadzieję, że to koniec koszmaru, a jednocześnie bał się w to uwierzyć. Wytrząsnął z paczki kolejnego papierosa, choć poprzedni nadal się żarzył na brzegu przepelnionej popielniczki i niezdarnie próbował przypalić go wolną ręką, póki goniec nie podskoczył ku niemu ze swoją zapalniczką.

– Poczulem ją w niebie – ciągnął Mefisto tonem, w którym ulga mieszała się z niedowierzaniem. – Przedtem na krótką chwilę pokazała się u was, i strasznie się czegoś bała, ale nie zdążyłem do ciebie zadzwonić. Teraz jest spokojna. No, w miarę.

– Dziękuję – powiedział Eskenezer, ale Mefistofeles zdążył się rozłączyć. – Chcieliście coś jeszcze? – spytał podwładnych.

– Tak – kiwnął głową dyżurny z łączności. – Dziwna sprawa, panie. Chyba mamy awarię systemu. Ze współrzędnych kanału wychodzi nam, że Szczurzy Ogon przeniósł się do nieba.

W gabinecie zapadła pełna zdumienia cisza.

Piwnica domu Herr Grafa była pogrążona w smolistych ciemnościach, które Duszyccze wydawały się wręcz dotykalne. Larden postawił ją na ziemi i odsap-

nał. Po omacku odnalazł cegłę zasłaniającą panel i wystukał kod. Zamek odskoczył z cichym szcękaniem.

– No to jesteś prawie w domu. Krok dalej jest niebo.

Duszczyka wyciągnęła rękę, ale trafiła w pustkę. Wyczuwając jej ruch, diabeł wziął ją za ramiona i lekko pchnął w przód, aż przeszła na drugą stronę.

– Teraz posłuchaj, bo to ważne. Dam ci pół godziny na zdobycie wody. Dwie butelki zupełnie wystarczą, ta druga to na wszelki wypadek. Zdążysz?

– Jasne, wracam za pół godziny. Nawet wcześniej.

– Jeżeli będziesz wcześniej, nie przechodź przez drzwi, tylko czekaj w niebie. Gdyby cię sprawdzali, to zobaczą, że jesteś i się odczepią. Jak im znikniesz, to znów zaczną pchać nosy gdzie nie trzeba.

– A ty co przez ten czas będziesz robił?

– Poskaczę sobie po świecie. W końcu jakaś rozrywka też mi się czasem należy. Pobawię się z Eskenezorem w chowanego.

– Byle nie za bardzo. – Duszczyka zmarszczyła brwi, jakby diabeł mógł dostrzec jej niezadowolenie. – Bez ciebie nie pomogę Rozie. Nie daj się złapać.

– Spokojnie. Oni mają za krótkie rączki.

Zatrzasnął ciężkie drzwi i Duszczyka po omacku, walcząc z własnym strachem przed ciemnością, do którego wstydziła się przyznać, zaczęła gorączkowo szukać schodów prowadzących na górę.

Kiedy wszyscy wyszli, zamykając za sobą drzwi, Eskenezer i Braten popatrzyli sobie w oczy przez szerokość pokoju, wypełnionego sinym dymem z papierosów. Siedzieli w ciszy, póki dyspozytor nie zdecydował się odezwać.

– Zastanawiam się, szefie, dlaczego Szczurzy Ogon odstawił ją z powrotem do nieba. Bo to była ona, prawda?

– Tak, to była ona... Nie chciałem, żeby ktokolwiek wiedział, sam rozumiesz. Ale jest jeszcze coś – dorzucił po namyśle. – Przyszła tu w takiej tajemnicy, że nawet ty i ja nic nie wiedzieliśmy, a to jest trudno osiągnąć. Skoro tak bardzo się kryła, widać ma jakiś ważny cel i nie wiem, czy należy go rujnować.

Braten w zamyśleniu gapił się w przeciwległą ścianę. Był zadowolony, że jego podejrzenia okazały się słuszne.

– Ciekawe, czemu nagle wróciła do nieba? Osiągnęła u nas, co chciała i mogła iść do siebie na zasłużony odpoczynek, czy też coś jej przeszkodziło na tyle, że musiała się wycofać? – odezwał się w końcu i popukał paznokciem w zęby. Zawsze tak robił, gdy nie umiał rozwiązać zagadki. – I czemu Szczurzy Ogon? On by dla niej nic nie zrobił, chyba że za duże pieniądze. To glizda.

– Podobno ma kupę forsy, ale w banku u Icka, a my

wiemy, kto u niego bywa. Jej tam od dwóch lat nie było. Zresztą, co się dziwić, przy pieniądzach Azazela...

Na biurku Bratena zadzwonił telefon i diabeł szybko odebrał. Przez chwilę słuchał rozmówcy marszcząc brwi, aż wreszcie odezwał się z dziwnym napięciem w głosie, zasłaniając dłonią słuchawkę.

– Znalezli go, szefie.

– Lardena? – ucieszył się Eskenezer, gasząc papierosa butem na kamiennej posadzce.

– Nie. Szczurzego Ogoną, czy raczej to, co Larden z niego zostawił. Tak, tak, jestem. Dawajcie go tutaj. – Odłożył słuchawkę i odwrócił do swojego szefa. – Podcięte gardło, wizytówka tego świra. I połamane nogi. Czy ona mu pomaga? Dałoby się może podciągnąć pod pomocnictwo czy współsprawstwo?

Eskenezer pokręcił głową.

– Ona na pewno nie. Pod pewnymi względami jest upiornie moralna i to jest jeden z nich.

– Czy możliwe, że po tym zabójstwie Larden ją chroni i wyrzuca do nieba, poza nasz zasięg? Bo jest winna?

– Ona mogłaby cię zastrzelić, ale nie zrobiłaby czegoś tak krwawego. I tylko w obronie własnej. W takiej sytuacji niebiescy nic jej nie zrobią, nawet jeśli była współnikiem. Nie wiem jak Larden się włamał na kanał Szczurzego Ogoną, ale wycisnę to z niego, jak go wreszcie chłopcy dopadną. Co się odwlecze, to nie uciecze.

– Dlaczego on się chowa w niebie?

– Może chce zyskać na czasie. Niebiescy wywalą go z hukiem w nasze ręce, jak tylko się połapią, czyli szybko. Na wszelki wypadek zablokujcie mu też ten zdobywczy kanał.

– Dobrze, że kobieta księcia wróciła do siebie. Gdyby jej się coś stało, a Azazel by się dowiedział... – Braten urwał biorąc głęboki oddech. – Jak sobie o tym pomyśle, to jaja podchodzą mi do gardła.

– To pomyśl sobie jeszcze, że na pewno kiedyś do nas wróci, skoro raz jej się udało. Z tą kobietą nie znamy dnia ani godziny.

Słowa Eskenezera jeszcze nie zdążyły wybrzmieć, gdy do pokoju wszedł jeden z łącznościowców i popatrzył zdziwiony na obecnych.

– Nie wiedziałam, że tu siedzisz, Braten.

– A niby czemu miałbym nie siedzieć? – nastroszył się dyspozytor.

– Bo według moich papierów właśnie przed chwilą przeniosłeś się z... – zawahał się, sprawdził wydruk i popukał w niego palcem – z Guadalajary w Meksyku do San Paulo Sula w Hondurasie.

Braten zerwał się, waląc pięściami w stół.

– Włamał się na mój kanał. Nogi mu z dupy wydrę! Zamknąć wszystkie!

Eskenezera patrzył na niego i na twarzy pojawił mu

się śmieszek rozbawienia. Odkąd Duszczyka bezpiecznie wróciła do nieba, akcja poszukiwawcza była znacznie mniej stresująca i dla niego ograniczyła się do prostej gry wojennej. Ani Larden, ani Szczurzy Ogon nie zaliczali się do jego żołnierzy i na dobrą sprawę mógł wszystko odwołać, ale chciał dokończyć, co zaczął, a przy okazji przeprowadzić manewry. Doceniał fantazję przeciwnika, który bawił się całą sytuacją. Na dyscyplinujące Lardena okrucieństwa przyjdzie czas później.

– Zablokuj swój, ale resztę zostaw w spokoju. Wybrał sobie światową stolicę zbrodni. Jeśli zamkniemy wszystko, to sparalizujemy naszą pracę w tym godnym uwagi mieście. Musisz nabrać większego dystansu. I tak go dorwiemy.

Braten opadł na swój piękny, skórzany fotel, międląc przekleństwa, jedno gorsze od drugiego. Nie znosił Lardena i przy każdej okazji dawał temu wyraz, a teraz ten pojeb się zemścił, kradnąc kanał i wystawiając głównego dyspozytora na pośmiewisko.

– Co pięć minut chcę wydruki o korzystaniu z kanałów przerzutowych z tego miasta. Wykonać!

Pierwszy wydruk zajął całe pięć stron niemożliwych do zweryfikowania w krótkim czasie i Braten musiał się z pomysłu wycofać. Wydawało się, że Lardenowi udało się zniknąć w tłumie, a jednak znalazł sposób, by zwrócić na siebie uwagę. W ciągu pół godziny skorzy-

stał nie tylko z kanału dyżurnego dyspozytora, ale także Eskenezera, Mefistofelesa, Azazela i Beherita, skacząc po wszystkich kontynentach i testując ich znajomość ziemskiej geografii. Braten szalał, traktując to osobiście, a Eskenezer miał wreszcie trochę rozrywki, co dobrze mu zrobiło.

Gdy Larden przeniósł się do miasta Juarez w Meksyku, ruch w tamtej okolicy, był zbyt duży, by prześledzić wszystko. W ciągu minuty przenosiło się kilkadziesiąt diabłów i nie sposób było sprawdzić, czy któryś z nich to nie ukryty Larden. Widać znudziła mu się zabawa i uciekł im, jak dzieciom.

Braten poczuł, że rosną mu wrzody.

Eskenezer odchylił się w fotelu i założył ręce na karku. Ulgę, jaka go ogarnęła na wieść, że Duszczyka jest bezpieczna, mącił nieokreślony niepokój. Gdzieś w głębi umysłu brzęczał maleńki dzwoneczek, dając znać, że coś jest nie w porządku.

– Powiedz mi, Braten – zaczął, odwracając się do swojego dyspozytora. – Co byś zrobił na jego miejscu?

– Jakbym był takim jebniętym świrem, to sam bym dawno skoczył do wulkanu.

Eskenezer położył nogi na biurku, potrącając przepełnioną popielniczkę. Niedopałki rozsypały się po blacie, brudząc papiery.

– Wyobraź sobie, że odstawileś swój balast do nieba,

ale masz na karku sprawę o zabójstwo, karę za korzystanie z cudzych kanałów i pytania, po co wlokłeś kobietę Azazela przez pół piekła, zataczając koło po peryferiach. Co robisz?

– Znikam i czekam. Może choć część spraw przyschnie.

– Każdy by tak zrobił. A on specjalnie włązi nam w oczy, używając takich kanałów, jakie musimy zauważyć. Po co?

– Chce zwrócić na siebie uwagę.

– Właśnie to mówię – mruknął Eskenezer ze zniecierpliwieniem, marszcząc brwi. – Zwrócić na siebie, czy odwrócić od kogoś?

– Ta kobieta... – zaczął Braten.

– On nie chce, żebyśmy się nią interesowali. Może ona ma jakimś sposobem wrócić bez niego?

Eskenezer chwycił za słuchawkę i zadzwonił do Mefistofelesa. Rozmawiał przez chwilę i z nieskrywaną ulgą odłożył telefon.

– Mefisto stanowczo twierdzi, że ona jest w niebie.

– To po co były te zabawy? Do reszty zgłupiał?

– Larden może i jest nałogowym zabójcą, ale nie jest durniem. Te pokazowe skoki po świecie, to nie tylko zagranie nam na nosie. One były po coś i to mnie martwi.

O tym, by zawiadomić Gabriela i wciągnąć go do sprawdzania wiadomości o Duszyccze, nikt nie pomy-

ślał.

Duszczyka stała w piwnicy, czekając na Lardena. Zapaliła światło, wystukała na panelu kod i teraz przez uchylone drzwi widziała ciemną czeluść korytarza, który pachniał wilgotną ziemią i pleśnią, ale momentami dolatywał z niego metaliczny zapaszek, jakby przywiany od wulkanu.

Zdając sobie sprawę, że jest teraz doskonale widoczna nie tylko dla niebiańskich lokatorów schodzących do piwnicy, ale i dla czających się w korytarzu ewentualnych przemytników idących od strony piekła, stała pod ścianą osłoniętą przez skrzydło drzwi i starała się wtopić w brudny mur.

W niebie wzięła ze sklepu najtańszą wodę w trzech butelkach z tandetnie cienkiego plastiku, z których jedną wypila do dna od razu przy kasie. Sprzedawczyni przysięgała, że woda jest święcona, ale Duszczyka nie zamierzała jej wierzyć na słowo. Kropla upuszczona na skórę Lardena będzie dobrą próbą i pozostało tylko w jakiś sposób wymóc na nim zgodę.

W pobliskiej restauracji skorzystała z toalety, myjąc twarz i ręce, a w końcu podstawiła pod kran całą głowę i wytarła papierowym ręcznikiem. Nowy system mycia włosów zachwycał prostotą i przez chwilę zastanawiała się jak Azazel zareagowałby na jej ulepszoną fryzu-

rę. Ogarnęła ją fala żalu za utraconym życiem w piekle z Azazelem i żeby zgasić smutek, czym prędzej pobiegła do piwnicy.

Nie wolno za dużo myśleć. Za kilka minut Marimar może ją unicestwić i wszystkie problemy znikną. Nie będzie strachu i bólu, głodu, który szarpał jej żołądek, a przede wszystkim przygnębienia, stałego towarzysza jej życia, odkąd porzuciła Azazela i przyszła do nieba. Może i lepiej, że wszystko się skończy i przerażająca perspektywa wiecznego życia w samotności odejdzie w nicość wraz z nią samą.

Larden przestrzegał ją przed hurra- optymizmem i daleka była od tego. Marimar będzie mogła ją zniszczyć, jeśli popełni choćby najmniejszy błąd, a o to nie- trudno. Nic nie wiedziała o demonach, oprócz tego, że woda święcona je zabija, ale o tym jak one zabijają nie miała pojęcia. Trudno. Raz kozie śmierć. Przynajmniej wszyscy będą ją dobrze wspominać, no może oprócz Szczurzego Ogonia.

Oparta o mur i wpatrzona w przeciwległą ścianę nie- widzącym wzrokiem usłyszała chrząknięcie Lardena, który stał po drugiej stronie drzwi i przyglądał jej się z przekrzywioną głową.

– Masz? – rzucił krótko.

Kiwnęła głową, klepiąc się po butelkach wystających z kieszeni na udach.

– Trzeba sprawdzić, czy naprawdę święcona. Nie chcę skończyć, polewając Marimar zwykłą wodą, jak na dyngus.

– Czuję co chcesz robić, ale nie tutaj.

Wyciągnął rękę i chwycił ją za nadgarstek, przyciągając do siebie. Świat wokół znów zawirował i po chwili stali przytuleni na chodniku przy ruchliwej ulicy. Larden odskoczył od niej błyskawicznie, ciągnąc za rękę w bok, do wąskiego zaułka.

Było gorąco i duszno, a wokół przepelnionych pojemników na śmieci poniewierały się odpadki. Zza sterety pustych kartonów wybiegł szczur i podreptał w głąb uliczki w sobie tylko wiadomych sprawach, a bezwłosy ogon ciągnął się za nim po bruku. Duszczyka przysunęła się do Lardena. Mogła walczyć z demonami, ale gryzonie to zupełnie inna historia.

Przeszli kilka kroków śladami szczura, co Duszczyki nie zachwyciło. Gwar ulicy był bardziej przytłumiony, za to z wysokiego okna dobiegały krzyki kłócących się kobiet, ryk radia nastawionego na pełny regulator i piśkliwe zawodzenie niemowlaka. Jęczący głos karetki wdarł się na chwilę, gdy mijała uliczkę, a po niej do ci uszu dobiegł głos ulicznego sprzedawcy, zachwalającego swój towar: „Cerveza, cerveza, buena cerveza”.

– To Hiszpania? – spytała. Stęchły zapach smażonej oliwy wdzierał się do nosa, ale mdłości prawie ustąpiły

i czuła się na tyle dobrze, że już jej to nie przeszkadzało.

– E tam, jaka Hiszpania. Tam byśmy się tak łatwo nie schowali. To Ciudad Juarez.

– Nic mi to nie mówi.

– Meksyk, blisko granicy ze Stanami. Nie znasz geografii – skarcił ją.

– W Meksyku jeszcze nie byłam – ucieszyła się i rozejrzała dookoła, choć w tym akurat miejscu nie było co oglądać.

– I nie będziesz. Azazel nigdy na to nie pozwoli.

– On już nic do mnie nie ma! – zawołała zapalczywie.

– Taaa – mruknął diabeł, kiwając głową z politowaniem.

– Niby czemu miałby nie pozwolić?

Larden rozejrzał się uważnie i zatrzymał przy stercie byle jak zwalonych skrzynek po owocach, które zasłoniły ich od ulicy. Przechodzący obok młody mężczyzna w czerwonej koszuli przeszedł obok bez słowa, bo widok Lardena nie zachęcał do zaczepek.

– W tym mieście się zabija młode kobiety. Seryjnie.

– Diabeł oblizal się ze smakiem.

Duszczyka popukała palcem w czoło.

– Nie strasz mnie, bo ci się nie uda. A wracając do sprawy, musimy zrobić próbę wody. Niestety na tobie.

– Próbę wody robiło się kiedyś na czarownicach.

– Nie mam tyle, żeby cię do niej wrzucić. Kapnę ci

jedną kroplę na rękę i zobaczymy, czy działa. Zgadzasz się?

– Nie ma innego sposobu – odpowiedział, wzruszeniem ramion kwitując ból, jakiego mógł się spodziewać.

Duszyzka nie bez trudu odkręciła butelkę, zrywając zabezpieczenia i wylała trochę wody na dłoń. Diabeł patrzył z zafascynowaniem.

– Wygląda na zwykłą wodę – szepnęła rozczarowana.

– Kapnij kroplę. – Larden podwinął rękaw i podsunął jej obnażone przedramię, pokryte ciemnymi włoskami. Duszyzka zanurzyła palec w wodzie i z wahaniem upuściła jedną kroplę na skórę diabła. Larden drgnął, gdy woda zaczęła wrzeć mu na rękę, przepalając skórę i widać było, że ból musiał być ogromny. Twarz mu stężała w próbie opanowania cierpienia. Duszyzka czym prędzej strząsnęła resztę wody z dłoni i chciała wytrzeć mu rękę, ale odskoczył, ścierając spływającą kroplę drugim rękawem, w którym natychmiast zrobiła się dziura.

– Nie dotykaj mnie mokrymi rękami, bo tylko pogorszysz.

Patrzyli teraz na pozbawiony skóry niewielki ślad na rękę diabła. Duszyzka poczuła ucisk w żołądku na widok odsłoniętego żywego ciała.

– Cholera, faktycznie święcona. Przepraszam cię, ale musiałam mieć pewność. Nie pomyślałam o plastrze,

żeby zalepić.

– Daj spokój, na takie nic chcesz opatrunek zakładać? – prychnął z pogardą. – Biegniemy! Musimy się stąd szybko ewakuować choćby kawałek dalej, żeby nas tak łatwo nie namierzili.

Na wszelki wypadek złapał ją za łokieć i pociągnął w głąb uliczki. Pędzili ile sił w nogach, aż wypadli na kolejną szeroką aleję. Diabeł skręcił w prawo i gnał nie zwalniając kroku. Duszyczka dawno by upadła, gdyby nie jego żelazny uchwyt, niemal unoszący ją nad powierzchnią niezbyt równego trotuaru. Na widok dwóch pędzących facetów o podejrzanym wyglądzie, ludzie pierzchali na boki.

Idący z przeciwka patrol wojskowy z długą bronią dostrzegł ich z daleka. W ich ocenie sytuacja była jednoznaczna: dwaj mężczyźni wyskoczyli z bocznej uliczki i biegli tak szybko, że niemal frunęli, czyli uciekali z miejsca zbrodni. Obaj żołnierze podnieśli broń.

– Parad o disparo!¹ – krzyknął starszy stopniem, odbezpieczając karabin.

Diabeł ani myślał zwolnić. Przebiegł jeszcze kilka kroków i zatrzymał się o ułamek sekundy wcześniej, zanim żołnierz pociągnął za spust. Szarpnął dziewczynę ku sobie, wciągając oboje w tunel w chwili, gdy kula z karabinu uderzyła w mur tuż przed Duszyczką, obsy-

¹ Stać, bo strzelam!

pując oboje tynkiem.

Braten z łoskotem odłożył słuchawkę i zaklął, ale to nie rozładowało jego złości, więc wstał i zaczął chodzić po pokoju, jak tygrys w klatce.

– Co znów? – spytał Eskenezer, wietrząc katastrofę.

– Dzwonili z łączności. Na podglądzie zobaczyli, że ktoś wszedł do nieba, albo tylko nadepnął na granicę, został tam kilkanaście sekund i zwiął. Niebiescy też to zobaczyli i już się buldoczą.

– Larden...

– Oficjalnie ktoś o numerze siedemnaście tysięcy czterysta dwadzieścia, o ile dobrze zapamiętałem, ale to bez znaczenia. Założę się o moje roczne dochody, że to ten psi syn.

Eskenezer zacisnął pięści. Duszyczka zrobiła w niebie to, na czym jej zależało i dzięki Lardenowi nikt jej nie przeszkadzał.

– Dokąd ją zabrał?

– Ciudad Juarez, jakieś pięć minut temu.

Obaj zgodnie pokręcili głowami. Kolosalny ruch w tym mieście uniemożliwiał jakąkolwiek szybką kontrolę.

– Niech sprawdzają wszystkie kanały wychodzące z tej okolicy od tamtego momentu. Na pewno już ich tam nie ma i równie dobrze mogą stać u nas na kory-

tarzu.

Braten odruchowo spojrział na drzwi i złapał za słuchawkę.

– Pełny monitoring miasta Juarez aż do odwołania i na siedem minut wstecz. Wszyscy zdolni do służby natychmiast na patrole, zgodnie z przydziałem alarmowym. Szukać Lardena i każdego, kto z nim będzie. Przy zatrzymaniu nie bić. Wykonać! – wrzasnął do słuchawki. – Ta baba doprowadzi mnie do szału. Pierwszy raz widzę, żeby ktoś z własnej woli pchał się do piekła.

Eskenezer pokiwał głową z gorzkim wyrazem twarzy.

– Mało widziałeś. I uważaj jak mówisz o kobiecie szefa – dorzucił z groźbą w głosie.

– To już nie jest jego kobieta – Braten uniósł ręce w obronnym geście.

– Naprawdę mało widziałeś – westchnął Eskenezer.

Trzydzieści ghuli, które dotychczas leżały nieruchome jak kukły, nagle poruszyło się niespokojnie. Pilnujący ich diabeł schowany za węglem ogrodzenia podniósł głowę i wstał z piasku. Cokolwiek zamierzały te obrzydliwe stwory, których nienawidził całym sobą, nie da im się zaskoczyć. Nawet jeśli ma polec, będzie walczył jak mężczyzna.

Psy nie zwracały na niego uwagi, jak zwykle traktując go jak powietrze. Węszyły, unosząc łby i popatrując

po sobie naradzały się wzrokiem. Wreszcie przywódca stada ruszył biegiem w stronę najbliższego wzgórza, prowadząc wszystkie za sobą. Diabeł został przy ogrodzeniu sam, uśmiechając się do swojego szczęścia.

Duszyzka stała obok Lardena pod domem Rozy i czuła, jak strach ściska ją za gardło. „Dasz radę” – powtarzała sobie, starając się przekonać własny instynkt samozachowawczy, żeby się zamknął choć na kilka minut i pozwolił jej działać. Musiała wejść do środka i zmierzyć się nie tylko z zaprzysięgłym wrogiem, ale i własnym strachem.

W piekle było już południe i dzień, choć jak zawsze pochmurny i mroczny, nie krył ich przed czujnymi oczami patroli. Dom Rozy stał w dość ruchliwym rejonie, na obrzeżach dzielnicy pięknych rezydencji tych diabłów, którym na początku istnienia piekła bardziej się powiodło i wywalczyli sobie wysoką pozycję.

Dom Azazela stał w innym rejonie, bo on wolał się trzymać ze swoimi sprawami z daleka od wścibskich oczu możnych. Duszyzka żałowała, że nie może go stąd dostrzec, bo dodałoby jej to otuchy.

– Poczekaj na mnie dwie minuty. Muszę zatrzeć za nami ślady i zaraz wracam. Pod żadnym pozorem nie waż się wchodzić tam sama. Zrozumiałaś? – spytał groźnie.

Kiwnęła posłusznie głową. Pewnie, że na niego zaczeka. Samotny pojedynek z demonem ani trochę jej się nie podobał. Po przeżyciach w jaskini Hauresa wiedziała, że w bezpośrednim starciu z Marimar ma niewielkie szanse by ocalić skórę i przerażała ją ewentualna rola demona wykluczonego ze społeczności po wsze czasy i skazanego na przebywanie wyłącznie z podobnymi sobie.

Larden zniknął, pozostawiając ją przed zamkniętą furtką, wiodącą do maleńkiego, jałowego ogródka Rozy, w którym nic nie rosło. Rozejrzała się wokół. Drogą przechodziła krzywo sformowana kolumna skazańców, poganiana przez strzelające z batów diabły. Wszyscy zauważali stojącego beczynnym kolegę, ale nie obchodziło ich to aż tak, żeby o coś pytać. Sami też czasem migali się od roboty, więc tylko wzdychali z zazdrością i szli dalej. Co bardziej spostrzegawczy widzieli butelki, sterzące Duszczyce z kieszeni, ale chwilowo byli zajęci i nie mogli sobie pozwolić na urywanie się na kieliszeczek.

Sekundy płynęły i Duszczyca zaczęła nabierać wiary, że doczeka powrotu Lardena nie wpadając w tarapaty, gdy w oddali zobaczyła trzech komandosów, idących środkiem drogi. Poznała ich po czarnych uniformach i roztaczanej wokół aurze pewności siebie. Rozglądali się czujnie na boki, poświęcając każdemu mijanemu diabłu chwilę uwagi i było wyłącznie kwestią czasu, kie-

dy zainteresują się bezrobotną Duszczyką. Na ich pytania nie znalazłyby dobrych odpowiedzi.

Odczekała chwilę, ale ponieważ patrol zbliżał się nieuchronnie, położyła rękę na klamce furtki. Modliła się w duchu o powrót Lardena, a jednocześnie bała się, że to jego szukają i cały plan spali na panewce, jeśli diabeł wpadnie im w ręce. Bez niego, nawet przy sporej dawce optymizmu, szanse miała nikłe.

Bezwiednie ścisnęła klamkę w dłoni, aż zbieleły jej palce i gdy najbliższy idący komandos zawiesił wzrok na bezczynnym obiboku, za jakiego wziął Duszczykę, pchnęła furtkę i weszła do ogrodu, zamykając ją za sobą.

Domek Rozy był cichy i mroczny. Ciemne okna zdawały się patrzeć złowrogo na intruza, który ośmielił się tu wtargnąć i zakłócać spokój. Duszczyka wzdrygnęła się, robiąc krok w stronę drzwi. Zamierzała zaczekać na Lardena. Nadal strasznie chciało jej się pić. Odkręciła jedną z butelek i pociągnęła zachłanny łyk, niechcący rozlewając nieco na siebie. Woda smakowała cudownie i właśnie zamierzała napić się jeszcze raz, gdy drzwi otworzyły się gwałtownie i stanęła w nich uśmiechnięta Roza, patrząca bez zdziwienia na swojego gościa, jakby spodziewała się go od dawna.

– Duszczyka – zawołała radośnie. – Jaka urocza niespodzianka. Wejdz, proszę.

– Nie! To znaczy dziękuję, nie chcę przeszkadzać, ale

przechodziłam tylko i... – jąkała się Duszczyka, próbując zyskać na czasie. Za żadne skarby nie chciała przekroczyć tego progu bez Lardena, zdana wyłącznie na własne, wątłe siły.

Nie przestając się uśmiechać, Roza wciągnęła ją za ramię do środka, cały czas mówiąc, jak bardzo ta wizyta ją cieszy. Była tak uprzedzająco grzeczna i pełna entuzjazmu, że Duszczyka wyczuła kłamstwo. Sama też tak robiła, gdy chciała ukryć niechęć do rozmówcy. Roza nie miała powodu by jej nie lubić, wręcz przeciwnie i w ułamku sekundy Duszczyka zrozumiała, przed kim stoi. W tej samej chwili drzwi zatrzasnęły się za nią i stanęła oko w oko z demonem, który zawładnął ciałem Rozy.

Była przerażona, a w głowie tłukła się jej jedna myśl, jaką kiedyś rzucił Eskenezzer, nawet nie licząc na to, z dziewczyna ją zapamięta: „Nigdy nie okazuj strachu, bo gdy rekiny zwietrzą krew, przepadniesz.” Uśmiechnęła się szeroko, ale i tak Marimar wyczuła jej strach.

– Boisz się, ty mała, brudna dziwko! – krzyknęła, wpijając się szponiastymi dłońmi w ramiona Duszczyki i ściskając je, jak imadło. Twarz Rozy zaczęła się rozpyływać, przyjmując rysy Marimar, wykrzywione nienawiścią. – To koniec! Drugi raz sama do mnie przyszłaś, dziękuję. Teraz już się nie wywiniesz. Dostanę twoje ciało i Azazel wreszcie będzie należał do mnie – za-

niosła się szczekliwym śmiechem i ścisnęła Duszyczkę mocniej, sprawiając, że powietrze uciekło jej z płuc.

– Do mnie! Do mnie!

Krzyki Marimar rozsadzały jej uszy. Nie mogła się wyrwać z drapieźnych rak i zaczęła się dusić. Trzask własnych łamanych żeber i potworny ból w piersiach sprawiły, że mocniej ścisnęła trzymaną przed sobą butelkę. Zakrętkę zgubiła w chwili, gdy Marimar wciągała ją do domu i teraz woda trysnęła w górę, bryzgając na twarz diablicy i spływając po jej szyi na piersi.

Krzyk na moment ucichł, jakby Marimar potrzebowała chwili, by zrozumieć, co się dzieje i zaraz potem przeszły w przeciągłe, świdrujące wycie. Ból, jaki czuła, musiał być potworny. Ostatnim wysiłkiem Duszyczka przechyliła butelkę, wylewając resztę wody na brzuch i nogi diablicy. Nie była już w stanie utrzymać niczego w palcach. Marimar, chociaż oszalała z bólu i o krok od unicestwienia, jednak nie zamierzała się poddać. Nie pozwalała dziewczynie wziąć oddechu, aż przed oczami zaczęły jej wirować świetliste kręgi. Za nimi majaczyły dziwne obrazy. Czyjeś ręce ostrzące maczetę, spod której sypał się grad błękitnych iskier. Obce twarze, które pojawiały się i znikwały. Miejsca, w których nigdy wcześniej nie była.

Duszyczka poczuła, że umiera i zapadła się w czarną pustkę.

Larden pojawił się przed domem Rozy tuż po przejściu patrolu i z satysfakcją obrzucił wzrokiem plecy oddalających się komandosów. Nie widząc Duszczyki przy drodze, domyślił się, że schroniła się za ogrodzeniem i jak cień wślizgnął się do środka przez ledwie uchyloną furtkę. Niespokojnie zlustrował niewielki teren przy domu, w poszukiwaniu dziewczyny. Przerażliwy krzyk, który w tej samej sekundzie buchnął zza drzwi, musiał być słyszany daleko na drodze. Piekło pełne było nie ludzkich wrzasków, na które nikt nie zwracał większej uwagi, ale od tego nawet diabłu włosy zjeżyły się na rękach.

Jednym skokiem znalazł się przy drzwiach, bezskutecznie próbując je otworzyć. Ponaglający go do działania krzyk umilkł na sekundę i zaraz po nim rozległo się upiorne wycie, przypominające głos Hauresa. Larden zrozumiał co się stało. Z jakiejś przyczyny Duszczyka została zmuszona do walki z demonem, bo nie uwierzyłby, że zrobiła to z własnej woli. Nawet ona nie ważyłaby się na takie szaleństwo. Samotnie nie miała, jego zdaniem szansy, a utracenie dziewczyny było równoznaczne z utratą własnego życia. Przeklinając los, z rozpędu skoczył głową w przód w zamknięte okno, osłaniając twarz ramieniem i wylamując barkiem lichą futrynę. Wylądował w pokoju w deszczu kawałków drewna

i szklanych okruchów, które pocięły mu skórę i przeturlawszy się przez plecy stanął na nogi.

Dwie kobiety tkwiły naprzeciwko siebie, podtrzymując się nawzajem. Duszczyka miała głowę bezwładnie opuszczoną na piersi, jakby spała na stojąco, a w pionie utrzymywały ją wyłącznie wbite w ramiona szponiaste dłonie Marimar. Diablica prawie już nie istniała. Pozostały z niej tylko uczone Duszczyki ręce i bledy cień sylwetki. Nawet piękna twarz Rozy, którą zachwycało się piekło była zaledwie świetlistym zarysem, wspomnieniem bardziej, niż realną istotą.

Larden był stworzony do walki, która stanowiła sens jego istnienia i gdyby los nie uczynił go diabłem, z pewnością zostałby wojownikiem. Dlatego właśnie, po krótkiej karierze anioła, opowiedział się po ciemnej stronie. W niebie nie miałyby wystarczająco wiele okazji, by się bić. Wyrzut adrenaliny przed domem Rozy przygotował go do starcia i diabeł reagował teraz instynktownie.

Przyskoczył bliżej i spróbował oderwać palce Marimar, ale były zbyt silnie wczepione w ramię dziewczyny. Nie mogąc znieść świdrującego uszy wycia, które stawało się coraz bardziej piskliwe, uderzył na odlew, pragnąc odrzucić diablicę od ofiary, ale pięść trafiła w pustkę. Z Marimar pozostały już tylko ręce, nadal czepiające się nadziei na życie, oraz bezcielesny, przedśmiertny krzyk, rozrywający bębunki.

Larden złapał Duszyckę za kołnierz uniformu i uniósł ponad podłogę. Była bezwładna jak szmaciana lalka, ale ręce Marimar nadal trzymały ją w uścisku. Rozległ się trzask kolejnego łamanego żebra i Larden rozumiał, że jeśli nic nie zrobi, za chwilę oboje przegrają tę walkę.

Szarpnął Duszyckę w swoją stronę i ostrożnie położył na mokrej plamie, jaka została z rozchlapanej wokół świeconej wody. Ręce Marimar sterczały w powietrzu, jakby wzywały wszystkie demony świata na pomoc. Larden wyszarpnął butelkę z wodą z kieszeni spodni Duszyckki i bez namysłu otworzył. Ścisnął ją zbyt mocno i kilka kropel wylało się i spłynęło po palcach, powodując potworny ból. Wiedział, jak musi się czuć diaboliczka skąpiana od głowy do stóp i rozumiał skąd się bierze jej nieludzki krzyk. Sam też miał ochotę wrzeszczeć z bólu, ale najpierw należało wykonać swoje zadanie.

Starannie oblewał wodą kikuty rąk Marimar, aż znikły nawet jej palce na ramionach Duszyckki. Gdyby dziewczyna wcześniej nie pokazała mu, że woda jej nie szkodzi, nie umiałby się na to zdobyć, by praktycznie ją skąpać. Resztkę rozlał dookoła, wytrząsając nawet ostatnie krople w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą stała najpiękniejsza kobieta piekła, żeby nie pozostał po niej choćby pojedynczy włos czy skrawek skóry. Musiał mieć absolutną pewność, że Marimar została unice-

stwiona na wieczność. Odrzucił pustą butelkę i czekał.

Krzyk ucichł. Larden pochylił się nad nieprzytomną Duszycką. Była blada i choć płytko i szybko, to jednak oddychała.

– Teraz bez żadnych numerów, kobieto Azazela. Wygrałaś i musisz jeszcze tylko przeżyć transport. Pamiętaj, że mamy razem rozpierdolić jakiś hydrant, jak ci obiecałem, więc ogarnij się – szepnął, mając nadzieję, że jego głos do niej dotrze i raz wreszcie, dla odmiany, dziewczyna wykona polecenie dokładnie i jak należy.

Przyklęknął w kałuży święconej wody, czując jak ból rozrywa mu kolano, i najdelikatniej jak mógł, wsunął ręce pod bezwładne ciało. Woda z przesiąkniętego ubrania dziewczyny przepalała mu skórę i mięśnie na przedramionach i chciał już tylko szybko donieść Duszyckę w miejsce, w którym ktoś inny przejmie odpowiedzialność za jej życie.

Psy Duszyckki, jak bezszelestna, szaro-żółta smuga, pędziły przez piekło ogromnymi susami, prawie nie dotykając ziemi potężnymi łapami. Nie korzystały z dróg, biegnąc na przelaj, skrótami przez skały i piaski. Bezliście roztrąceni ludzie, którzy nie dość szybko usuwali się z drogi, padali na ziemię, jak potrąceni przez ciężarówkę, ale psy zdawały się tego nie zauważać, jakby to, co pchało je naprzód, było dla nich najważniejsze.

Pędziły bez odpoczynku i bez zmęczenia i najwyraźniej starały się wyprzedzić klęskę.

Gdy informacja o szaleńczym biegu trzynastu ghuli dotarła do Eskenezera, wyskoczył na dziedziniec, oczekując katastrofy, ale psy nie pojawiły się. Wokół trwała zwykła krzątania, diabły chodziły w sobie tylko znanych sprawach, patrole wyruszały przez bramę albo wracały, bo na terenie koszar kanały transportowe nie działały. Zwykły dzień, a jednak Eskenezer czuł, że lada chwila świat zwali mu się na głowę. Poprzednim razem ghule przybiegły Duszycze na ratunek, gdy spadła do wulkanu i zawisała na skalnej półce. Wtedy razem z Azazelem zdążyli ją uratować, ale czy i tym razem będzie miał tyle szczęścia?

W pierwszej chwili wyłaniający się z mroku bramy, oszołomiony cierpieniem Larden nie zwrócił na siebie niczyjej uwagi. Szedł zataczając się z bólu i wysiłku, niosąc przed sobą nieprzytomną dziewczynę, a woda święcona skapująca z jej ubrania znaczyła mokre punkty na piasku.

Złociste i krwawe koła wirowały mu przed oczami, ząbały się i tworzyły spirale ginące w deszczu czarnych płatków. Nie był pewny, gdzie jest i choć bardzo starał się skupić i trafić do koszar Azazela, równie dobrze jego oszołomiony cierpieniem mózg mógł go prze-

nieść gdziekolwiek indziej.

Czuł, że słabnie i lada chwila Duszczyka ześlizgnie mu się z prawie bezwładnych rąk. Chciał delikatnie uklęknąć, chcąc ją położyć, zanim mięśnie całkiem odmówią mu posłuszeństwa, ale gdy odarte ze skóry kolana uderzyły o piasek dziedzińca, krzyk bólu Lardena odbił się od ścian koszar.

Diabły zamarły, odwracając głowy w jego stronę i tylko Eskenezer biegł ku nim, ale Larden i tego nie widział. Najostrożniej, jak mógł wysunął spod dziewczyny ręce. Eskenezer zatrzymał się zaskoczony, a na dziedzińcu rozległ się szmer zainteresowania. Kikuty rąk Lardena były całkowicie pozbawione dłoni. Z przedramion zwiisały krwawe strzępy rękawów, a niemal odarte z ciała kości też zaczynały się już rozpuszczać.

Gdy Duszczyka leżała już bezpiecznie na piasku i nadal oddychała, Larden upadł na plecy obok niej, wykrzywiając twarz w grymasie cierpienia. Jeżeli wzrok nie płatał mu figli i faktycznie był w koszarach, za wszelką cenę chciał nie okazywać słabości wobec kolegów i opanować ból.

Eskenezer dopadł go jednym susem, a jego kopniak trafił diabła w łokieć. Larden zawył. Był tak szczęśliwy, że udało mu się trafić do koszar, że przyjął cios niemal z wdzięcznością i tylko głupie ciało zareagowało na swój sposób.

– Co jej zrobiłeś? – wrzasnął komandos, przymierzając się do kolejnego kopniaka.

– To nie ja! – krzyknął Larden. Czekał na cios, bezwładny i niezdolny do jakiegokolwiek uniku. Przez przepalone buty widać było pozbawione skóry podeszwy stóp. – To Marimar połamała jej żebra. Wezwij lekarza.

Teraz gdy leżał, a woda nie spływała już na jego ręce, rozpuszczając je po kawałku, ból zelżał na tyle, że odzyskał ostrość wzroku. Widok Eskenezera klękającego przy Duszczyce i wyciągającego rękę w jej stronę sprawił, że gwałtownie poderwał głowę, a w oczach znów zobaczył świetliste kręgi.

– Nie dotykaj, to święcona woda!

Na dziedzińcu podniósł się gwar i diabły pospiesznie odsuwały się o dwa kroki. Otaczał ich teraz luźny krąg, ale gapiów szybko przybywało i wszyscy wyciągali szyje, żeby zobaczyć piękne obrażenia Lardena i zupełnie niezrozumiały brak ran u chłopaka, którego przyniósł.

Eskenezer nie zdążył cofnąć ręki i gwałtownie odskoczył, gdy dotknął mokrego rękawa i poczuł ból wypalanej skóry. Otarł dłoń o spodnie, na których natychmiast pojawiła się siateczka drobnych dziurek.

– Skąd woda?

– Duszczyka przyniosła z nieba – ruchem brody wskazał dziewczynę. – Zabiła Marimar.

Diabły popatrzyły po sobie w zdumieniu. To, że łysy

chłopak okazał się kobietą Azazela nie wzbudziło takiego niedowierzania, jak fakt, że słaba i w ich opinii służąca wyłącznie do rozrywki Duszyzka mogła samodzielnie pokonać demona.

– Kłamiesz! Nic ci to nie da – krzyknął Eskenezer. – Zawiadom Lucyfera, że pilnie potrzebujemy jego kliniki i dawaj tu służby medyczne. Teraz! – rzucił przez ramię Bratenowi, który chował telefon do kieszeni.

– Służby już wezwałem – wskazał ręką na trzech ratowników w czerwonych uniformach, którzy przepychali się przez zgromadzonych gapiów. Za nimi swobodnym krokiem szedł Lucyfer w nienagannie skrojonym garniturze i z zapalonym cygarem w ręce.

– Co ja słyszę? Woda święcona w sercu piekieł? – Lucyfer pociągnął cygaro, wypuszczając kłęb pachnącego dobrobytem dymu. – Potrzebuję dwóch ochotników do przeniesienia pani na nosze. Tylko ostrożnie.

Z tłumu wyskoczyło dwóch diabłów o najszybszym refleksie, rzucając innym triumfalne spojrzenie. Nieważne, jakich obrażeń się dorobią, zgłoszenie się na ochotnika u Lucyfera zawsze oznaczało królewskie wynagrodzenie, a trafiało się raz na całą wieczność. Zagryzając zęby, żeby nie jęczeć, delikatnie unieśli Duszyzkę za ubranie i opuszcili na podsunięte przez ratowników nosze. Poruszyła się lekko i jęknęła, znów zapadając

w niebyt.

– Jakie ma obrażenia? – spytał wyższy z ratowników, który niósł dużą, czerwoną torbę z lekami i sprzętem. Pochylał się nad dziewczyną, pilnując jednak, by jej nie dotknąć. Dwóch ochotników dmuchało na dłonie, starając się zmniejszyć ból, co pomagało, jak umarłemu kadzidło, ale i tak nic nie było w stanie przyćmić ich zadowolenia.

– Marimar, zanim zginęła, złamała jej co najmniej jedno żebro. Spóźniłem się o kilkanaście sekund – Larden dodał to tytułem usprawiedliwienia. I tak zostanie ukarany za sprowadzenie Duszczyki do piekła i narażenie na niebezpieczeństwo, ale nie chciał uchodzić na tchórza, który walkę z demonem zwałił na nieprzygotowaną do tego ziemską kobietę.

– A tobie co jest? – spytał obojętnie Lucyfer, patrząc na niego zza chmury niebieskawego dymu.

– Nic. To tylko oparzenia od wody. – Larden głęboko wciągnął powietrze, chcąc uchwycić aromat dobrego cygara, ale poczuł jedynie smród przeпоconych ciał, krwi i przemocy, jaki zawsze dominował w koszarach. Opadł na piasek rozczarowany, a Lucyfer zrozumiał to opacznie.

– Morfina – rzucił krótko ratownikom i w jednej chwili w dłoni jednego z nich pojawiła się strzykawka. Eskenezer był wyraźnie niezadowolony, ale nie ośmie-

lił się protestować przy Lucyferze, którego rozkazy nie podlegały dyskusji. On sam najchętniej zrzuciłby Lardena kopniakami do lochów i wydał w ręce Krwawego Topora.

– Nie zajmujcie się mną, tylko weźcie ją wreszcie do lekarza – powiedział Larden, czując, jak fale przepływającej przez ciało męki słabną pod wpływem narkotyku, który zaczął krążyć mu w żyłach. Przez kilka godzin Eskenezer nie będzie mógł go przesłuchać, bo i tak poczuje bólu i żadne tortury nie zrobią na nim wrażenia. Spojrzał na wściekłego szefa komandosów i pozwolił sobie na lekki uśmiezek. Jego sytuacja była tak fatalna, że nic już nie mogło jej pogorszyć. Eskenezer patrzył mu w oczy, obiecując spojrzeniem wszystko, co najgorsze.

Lucyfer skinął głową ratownikom, którzy chwycili za ręczki noszy. Jego klinika San Perdo Más Alto w Bogocie była już przygotowana na przyjęcie pacjentki absolutnie priorytetowej, jednak nie dane jej było szybko się tam znaleźć.

Krzyki przy bramie sprawiły, że wszyscy odwrócili głowy, a najbliższej stojący odskakiwali w panice, wpadając na zgromadzonych z tyłu. Powstał tumult, który rozszerzał się, gdy kolejne diabły zaczynały orientować się w sytuacji. Ratownicy puścili nosze i uciekli w tłum. Pośrodku dziedzińca została tylko nieświadoma zamie-

szania Duszyczka, leżąca obojętnie na noszach, Larden, który pomimo znieczulającego zastrzyku na razie nie zamierzał się podnieść, oraz Eskenezer i Lucyfer. Wszyscy trzej widzieli podbiegające ghule, które ostrzegawczo szczyrzyły żółte kły, ale nie zniżyli się do okazywania strachu przy innych. W końcu, co ma być to będzie.

Psy powęszyły chwilę, starannie omijając miejsca, w których kapnęła święcona woda i powoli obeszyły ciało dookoła. Teraz, kiedy znalazły Duszyczkę, nie spieszyły się, okazując wszystkim swoją wyższość. Przewodnik chwilę krążył z nosem przy ziemi, nim zbliżył się do dziewczyny. Eskenezer popatrzył bezradnie na Lucyfera, który odpowiedział lekkim wzruszeniem ramion i pociągnął cygaro. Psy słuchały jedynie Duszyczki i, jeśli miały taki kaprys, także Azazela, ale teraz, kiedy ich pani była nieprzytomna, a diabeł nieobecny, nie miały na sobą żadnej władzy.

Przewodnik dotknął nosem czoła dziewczyny i zawahał się. Reszta psów usiadła wokoło, sprawiając, że nawet Eskenezer i Lucyfer odsunęli się o pół kroku. Komandos zacisnął pięści w poczuciu bezsilności. Wiedział, że te cholerne, rozpuszczone demony nie pozwolą się nikomu zbliżyć do swojej pani, póki same tego nie zechcą.

Ghule czekały na decyzję przewodnika. Rozejrzały się wokół wyzywająco, wlepiając ślepią w zgromadzo-

nych. Diabły opuszczały oczy, nie chcąc ściągnąć ich uwagi, bo zainteresowanie ghuli było ostatnią rzeczą, na jakiej komukolwiek zależało. Demony zdawały się cieszyć ich strachem i Eskenezera by przysiągł, że mają w ślepiach wyraz triumfu.

Przewodnik stada podniósł wzrok na Eskenezera, z jakiejś przyczyny uznając go za partnera do niemej rozmowy. Komandos wpatrywał się w demona z napięciem, jakiego nie odczuwał chyba nigdy przedtem. Ghul znów uważnie powąchał swoją panią i, ku zaskoczeniu wszystkich, najpierw nieśmiało, a potem zamasyście poliznął ją po czole, zostawiając śmierdzący, mokry ślad. Znów spojrzął znacząco na Eskenezera, a diabeł powoli skinął głową, biorąc na siebie odpowiedzialność za dalsze losy Duszczyki. Przewodnik odwrócił się i bezszelestnie odszedł w stronę bramy, zabierając ze sobą resztę demonów i obietnicę, jaką uzyskał od Eskenezera.

Minutę później pośrodku dziedzińca pozostał tylko leżący na piasku Larden, który mógł się już podnieść, ale nie chciał nikomu ułatwiać pracy i przepelniony ulgą Eskenezera, który niezłomnie wierzył, że Duszczyce nic nie będzie, skoro psy zdecydowały się ją zostawić. One zawsze wiedziały, kto ma umrzeć.

Duszczyka otworzyła oczy i zobaczyła prostokątny sufit, biały i zadbane, z czterema symetrycznie roz-

mieszczonymi lampami. Nic jej to nie mówiło. Mogła przysiąc, że nigdy w tym pomieszczeniu nie była, a po chwili namysłu uznała, że niewiele pamięta z dotychczasowego życia. Świat był jak gigantyczne puzzle z setkami klocków rozsypanych wokół, z których żaden obraz na razie się nie wyłaniał. Nie wiedziała ani gdzie jest, ani dlaczego.

Poruszyła dłońmi wokół siebie. Leżała niewątpliwie na łóżku i to dość kosztownym, sądząc po chłodnej, jedwabnej pościeli. Była sama, co uznała za dobrą wiadomość. Zdecydowanie nie byłaby zachwycona obudzeniem się obok osoby, której nie zna. Czowała się strasznie zmęczona, ale chyba od tego są łóżka, żeby w nich odpoczywać. Uznała, że jak na razie, jej nowa rzeczywistość wygląda nieźle. Gdyby tylko mogła sobie przypomnieć skąd się tu wzięła.

Wpatrywała się w biały sufit, który nadal nie zdradzał swojej tożsamości. Biegące od niego w dół ściany pomalowano na blady seledyn, fatalny odcień, w którym każdy zawsze wyglądał jak trup. Zastanawiała się, co kierowało osobą wybierającą tak nietwarzowy kolor, gdy kątem oka zobaczyła coś nad wyraz niepokojącego. Odwróciła głowę i na moment zamarła. Obok łóżka stał stojak z kroplówką, z której przejrzysta, plastikowa rurka biegła w jej stronę i kończyła się wenflonem wbitym w rękę, a na jej palcu tkwił klips do bielizny połączony

z popiskującym urządzeniem.

Duszczyka poczuła, że ktoś ją łapie za drugie ramię i gwałtownie odwróciła głowę, ale to tylko automat do mierzenia ciśnienia napełniał się powietrzem. Wszystko wskazywało, że znów leżała w szpitalu, choć nadal sobie nie przypominała skąd mogła się tu wziąć.

– No to, kurwa, pięknie! – powiedziała na głos, rozpaczliwie grzebiąc w pamięci, która konsekwentnie odmawiała jakiegokolwiek współpracy.

– Nie powinnaś się tak wyrażać.

W oszklonych drzwiach, przez które widać było fragment korytarza, stał Lucyfer, trzymając w rękach pasową różę na nieprawdopodobnie długiej lodydze.

– Dzień dobry, Lucyferze. A przynajmniej mam nadzieję, że będzie dobry – uśmiechnęła się, zadowolona, że poznaje, kto do niej przyszedł.

– Jak się czujesz? – spytał diabeł, siadając na krześle. Różę położył na sąsiednim stoliku.

– Jeszcze nie wiem. Na razie zajęłam się przypomnianiem sobie, kim jestem, ale słabo mi idzie. O samopoczuciu pomyślę później.

Lucyfer przyglądał jej się z nieodgadzionym wyrazem twarzy. Kobieta Azazela dotknięta utratą pamięci mogła przysporzyć piekłu dodatkowych problemów, jakby i bez tego stwarzała ich mało. Błada i wymizowana Duszczyka leżąca na poduszkach wyglądała na

bezradną i zagubioną. Chyba nienajlepiej radziła sobie z tym, co ją spotkało.

– Jak się nazywasz? – spytał.

– Duszyczka.

– Nieźle. Kim jest Azazel? – w jego głosie pojawiło się napięcie i Duszyczka zrobiła się czujna. Z jakiejś przyczyny pytanie było ważne.

– Azazel – powiedziała do siebie i z mroków umysłu zaczęły wylaniać się sceny, jedna pikantniejsza od drugiej. Tak, doskonale wiedziała, kim jest Azazel, choć z tym imieniem łączył się jakiś dziwny niepokój, jakby coś było nie w porządku. Przyjrzała się swoim wspomnieniom i poczuła, że się czerwieni.

– Rozumiem, że pamiętasz – stwierdził Lucyfer, widząc rumieniec. – Słyszałem opinie, że tego się nie da zapomnieć i jak widzę, były słuszne. Wiesz, że już nie jesteście razem? Porzuciłaś go.

Chcąc ukryć zażenowanie, Duszyczka próbowała usiąść, ale ból zmusił ją do opadnięcia na poduszkę. Zaskoczona, pomacała dłońmi po ciasno ją spowijających bandażach.

– Co mi się stało? Czemu jestem jak mumia?

– Połamalaś sobie żebra. Trzy.

– Jakim cudem?

– Walczyłaś z demonem.

– Ja... walczyłam... z demonem – powiedziała Du-

szyczka, cedząc każde słowo. – Lucyferze, nie jest ładnie żartować w taki sposób z czyjejś niepełnosprawności. Z całą pewnością nie walczyłabym z demonem. Boję się ich. Pomóż mi usiąść, proszę.

– Lekarze powiedzieli, że na razie masz leżeć.

– Usiądę z twoją pomocą, czy bez niej – rzuciła sucho, gramoląc się niezgrabnie.

– Czyli charakter ci się na szczęście nie zmienił – powiedział Lucyfer, chwytając ją pod pachy i delikatnie unosząc z poduszek.

Duszczyka obejrzała swoje obandażowane ciało i czarne, okrągłe sińce na ramionach.

– Wygląda, że faktycznie się z kimś biłam. Dziwne. Te złamane żebra są niebezpieczne?

– No właśnie, przechodzimy do sedna. Lekarze twierdzą, że nic ci się nie stało w czasie walki i późniejszego transportu głównie dlatego, że ktoś cię właściwie opatrzył. Kto cię zabandażował?

Duszczyka spojrzała na równo i fachowo założone zwoje. Nie ulegało wątpliwości, że nie jest to dzieło amatora.

– Skoro jestem w szpitalu, to chyba lekarze. A może pielęgniarki?

– Nie, nie. Pytam o to, kto cię bandażował wcześniej, zanim cię tu dostarczyliśmy. Larden?

Podniosła na niego zaskoczone oczy. Lucyfer świdro-

wał ją wzrokiem, jakby chciał wydrzeć jej prawdę z mózgu. Nie rozumiała, czemu to jest takie istotne.

– Pamiętam, kim jest Larden. Kiedyś w Kolumbii kupił mi frytki na stacji benzynowej. I jakoś niedawno dał mi wodę w butelce, ale była niedobra. Nie, to nie on. Mam wrażenie, że sama się bandażowałam.

– Chcesz powiedzieć, że walczyłaś z Marimar, która połamała ci żebra, pokonałaś ją, potem zabandażowałaś się i starannie pozapinałaś bluzę zanim zemdlałaś, a wtedy Larden zaniósł cię do koszar Azazela? – spytał Lucyfer z niesmakiem. Dotykanie kobiet księżąt, a za taką nadal uchodziła Duszczyka, było najsurowiej zakazane i gdyby faktycznie Larden ją rozebrał, kara byłaby nieunikniona.

– Na pewno ja sama – zawołała Duszczyka po krótkim namyśle i niemal podskoczyła na łóżku, zadowolona, że coś sobie jednak przypomniała. – Pamiętam, że jak się bandażowałam, to myślałam, że tą metodą zredukuję sobie piersi do dwóch naleśników! Chciałam, żeby nie było ich widać, ale jeszcze nie wiem dlaczego.

– Ja wiem. Chciałaś uchodzić za mężczyznę. Larden pomógł ci się przedostać do piekła. Sądzymy, że to on cię rozebrał i opatrzył. Eskenezer prawie go zatłukł, a ten dalej twierdzi, że cię dotknął tylko wtedy, gdy uciekaliście z jaskini Hauresa i musiał cię nieść pod pachą. Po co tam weszłaś? Masz skłonności samobójcze?

Wzruszyła ramionami i natychmiast poczuła ukłucie bólu.

– Nie znam żadnego Hauresa. Lucyferze, czy są jakieś tabletki albo nawet zastrzyki, żebym sobie wszystko przypomniała? Eskenezer to ten z blizną na policzku? Czymś mi się naraził, ale nie pamiętam – powiedziała z rozpaczą. – Opowiedz, co o mnie wiesz.

Lucyfer powiedział jej krótko, co zrelacjonował im Larden. Duszyczka siedziała kręcąc głową.

– Nieprawdopodobne. Jakieś luźne obrazy widzę, ale to wszystko. Larden – mruknęła, nagle czując gryzący niepokój. – Co ja miałam w związku z nim zrobić? To było bardzo ważne.

– Poproszę tu Mefista. Może jemu się uda jakoś ci pomóc.

Pół godziny później porządnie umyta Duszyczka wyłoniła się z łazienki wsparta na ramieniu młodej pielęgniarki i prowadzona z najwyższą ostrożnością, jakby była ze szkła. Mefistofeles i Lucyfer, nieprzyzwyczajeni do jakichkolwiek ograniczeń, wpadali właśnie w szpony siostry przełożonej. Była to wysoka, biuściasta kobieta o macierzyńskim wyglądzie, normalnie zapewne miła i dobra, ale teraz zaczerwieniona z gniewu. Czarne włosy miała ściągnięte na czubku głowy w ciasny kokczek, a uniform nieskazitelnie biały i wykrochmalony

na sztywno. Ktoś taki nigdy w życiu nie zgodziłby się na łamanie przepisów, o działaniu na szkodę pacjenta nawet nie wspominając. Kobieta trzymała w rękach dwa zapalone cygara, które odebrała diabłom i Duszyczce przypominała nauczycielkę z podstawówki. Z zainteresowaniem patrzyła czy obaj zostaną postawieni do kąta, jak niegrzeczni chłopcy.

– Aquí no se puede fumar, Señor Fuentes. Usted lo sabe. Está en el hospital.² – mówiła dobitnie, marszcząc brwi.

– Y por eso te quiero, Margherita³. Potrafisz objechać każdego – uśmiechnął się Mefisto, ale na siostrze jego urok nie zrobił żadnego wrażenia. Z oburzeniem wyszła z pokoju, dzierżąc przed sobą dwa wielkie, zapalone cygara, jak świadectwa zbrodni, a czarny koczek w stylu samurajów, sterczał wojowniczo.

Młoda pielęgniarka z pietyzmem posadziła swoją pacjentkę na łóżku i pobiegła za przełożoną.

– Witaj Mefistofelesie. Podobno palenie zabija – uśmiechnęła się Duszyczka.

– Jak to miło, że mnie pamiętasz. Wspaniale wyglądasz, moja droga – głos Mefista, cudowny jak miód z cynamonem, działał na Duszyczkę uspokajająco. – Nie pomyślałbym, że bez włosów też będziesz taka piękna.

² Tu nie wolno palić, señor Fuentes! Pan o tym wie. Tu jest szpital.

³ I za to cię kocham, Margherita.

– Nigdy nie byłam piękna. Przyznaj się od razu, co przeskrobałeś?

– Nic. Byłem grzeczny.

– A potem się obudziłeś – uśmiechnęła się łagodnie.

W milczeniu popatrzyła na oba diabły, odwzajemniające jej spojrzenie. Pół godziny spędzone w łazience pozwoliło zebrać myśli i nieco oswoić świat. Uczynna pielęgniarka pomogła jej się umyć i poproszona na migi, ogoliła Duszyczce głowę, wyrównując to, co nie wiadomo kto spartaczył. Dziewczyna siedziała przed dużym lustrem przy marmurowej toalecie, patrząc niewidzącymi oczami na swoje obce odbicie. Pielęgniarka cały czas mówiła coś ciepłym, kojącym głosem, a choć Duszyczka niewiele z tego rozumiała, to jednak łagodność kobiety pomagała jej dojść do siebie. Wreszcie ktoś się o nią troszczył, nawet jeśli tylko zawodowo. Kiedyś, w poprzednim życiu miała Felicję, kochaną poczciwą Felicję i Azazela. Teraz była zupełnie sama.

Pamięć podjęła niechętną współpracę i Duszyczka nagle odzyskała swoje życie, prawie całe, z wyjątkiem ostatnich wydarzeń. Nadal nie wiedziała, dlaczego jest łysa, skąd ma sińce na ramionach i jak złamała sobie zebra. Gdy wracała do pokoju, pamiętała już czym naraził jej się Mefisto. Jego bezmyślne pytanie „Z kim?“, gdy usłyszał, że dziewczyna jest w ciąży okropnie ją zabolowało. Skoro Azazel i Eskenezer byli o niej równie złego

zdania, to może faktycznie robiła coś, co usprawiedliwiałoby takie opinie. Przygnębiało ją to jeszcze bardziej.

Tych dwóch siedzących przed nią diabłów nic a nic się dla niej nie liczyło, choć miała wrażenie, że im z kolei na czymś zależy. Zupełnie tego nie rozumiała.

– Dlaczego właściwie tu jesteście? – spytała, zwracając się bardziej do siebie, niż do nich.

– Podobno masz zanik pamięci na skutek traumy – powiedział zaskoczony tym pytaniem Mefistofeles. – Przyszedłem, bo Lucyfer uważa, że mogę naprawić to, co rozwalila Marimar, próbując się w ciebie wcielić.

– Byłoby wspaniale, dziękuję – uśmiechnęła się, choć to nadal niewiele wyjaśniało.

– Powiedz mi, co pamiętasz.

– Praktycznie wszystko, do momentu, gdy z Lardenem weszliśmy do piekła. Patrzyłam na odległy wulkan i mam wrażenie, że zaraz potem obudziłam się tutaj i zobaczyłam sufit. Płaczą mi się po głowie jakieś luźne obrazy... – urwała.

– Któreśdy weszliście do piekła? – spytał Lucyfer z pozorną obojętnością, oglądając swoje paznokcie.

– Tego nie pamiętam – skłamała – a nawet gdybym pamiętała i tak wam nie powiem.

Diabeł podniósł na nią jak zawsze obojętne oczy. Przypominał węża tuż przed atakiem.

– Nie wiem, czy w takim razie będziemy w stanie ci

pomóc.

– Lucyferze – powiedziała stanowczo – nie próbuj mnie szantażować. W tej głupiej zabawie w piekło straciłam już wszystko, co mogłam i nie masz mi czym grozić. Prędzej czy później sama sobie przypomnę, a jak nie, to trudno.

– Zawsze warto spróbować – diabeł założył nogę na nogę. – Pomimo nacisków Krwawego Topora, Larden nie chce nam tego powiedzieć.

Mefistofeles chrząknął znacząco. Nie miał aż tyle czasu, by słuchać cudzych przekomarzanek. Duszyczka usiadła wygodniej i diabeł wszedł w jej myśli. Wymogła przedtem na nim obietnicę, że sprawdzi tylko ostatnie dni, a gdyby niechcący cofnął się wcześniej, nie powie nikomu, jaką drogą Larden wprowadził ją do piekła. Skoro to jego tajemnica, ona jej nie zdradzi.

Obrazy, które zaczęły wirować jej w głowie, były dziwnie nieostre. Pojawiała się w nich piękna jaskinia, oświetlona magicznym światłem, Larden wyciągający w jej stronę butelki z brudną wodą i krwawa śmierć Szczurzego Ogona. Zatrzymywały się na moment, jak kadry z filmu i wtedy je rozpoznawała, ale były też chwile całkiem jej obce. Widziała własne ręce ostrzące maczetę na wirującym kole, z którego sypały się blade iskry, choć nigdy wcześniej nie miała maczety. Widziała

nieruchomą twarz diabła z czerwonym toporem w rękach, choć przysięgłaby, że nikogo takiego przedtem nie spotkała. Siedziała spokojnie, ufając, że Mefisto jej pomoże, jak to robił już wcześniej.

Gdy diabeł skończył i pozwolił jej otworzyć oczy, spojrzała na niego z przerażeniem.

– Nie mogę uwierzyć, że naprawdę to zrobiłam. Nie myślałam, że tak wyjdzie.

Przez chwilę układała sobie w głowie wspomnienia. Wszystkie klocki pasowały do swoich miejsc i układały się w całość wprawdzie kompletnie zwariowaną, ale spójną. Oba diabły milczały, pozwalając jej na przyzwyczajenie się do tej niewiarygodnej historii. Potem Lucifer podniósł się z krzesła.

– Pokonałaś demona i zrobiłaś to z niewielką zaledwie pomocą Lardena. Mówił, że kiedy wszedł do domu Rozy, z Marimar zostały tylko uczezione ciebie ręce. Postanowiliśmy z Belzebubem wprowadzić nowe odznaczenie i ty jesteś pierwszą laureatką. Otrzymasz czerwoną kropkę na czole, nad lewą brwią za zabicie demona.

Spojrzał wyczekująco, jakby spodziewał się wybuchu wdzięczności, ale srodze się zawiódł. Duszczyka na chwilę zamarła i zdawało się, że nie słyszała ani słowa z tego, co było do niej mówione. W oczach miała zgrozę.

– Ja mu obiecałam – zawołała nagle, zrywając się na

nogi i natychmiast opadła z jękiem bólu. – Niech szlag trafi moje głupie żebra. Muszę natychmiast wracać!

Mefisto obrzucił kpiącym wzrokiem jej jedwabny szlafrok i bose stopy tkwiące w lekkich, płóciennych pantoflach. Duszczyka powiodła za nim oczami.

– Potrzebuję sukienkę – rzuciła krótko, rozkazującym tonem. Patrzyła na przedstawicieli piekieł, marszcząc brwi, jakby nawet przez myśl jej nie przeszło, że może się spotkać z odmową. Nie mogła się przecież pojawiać w piekle w charakterze mumii w prześcieradle. – Jak najszybciej.

W ciągu kwadransa przyniesiono pstrokatą sukienkę w duże kwiaty, jakiej Duszczyka nigdy by nie wybrała z własnej woli, ale w obecnych okolicznościach nie mogła grymasić. Trzeba było zdać się na gust anonimowej pielęgniarce posłanej do sklepu. Przynajmniej rękawy do łokcia i długość za kolana gwarantowały, że nie będzie świeciła jakąkolwiek golizną. Z braku butów została w szpitalnych pantoflach i niemal przebierała nogami z niecierpliwości.

– Jeszcze jedno. Stań prosto, proszę.

Ściśnięta bandażami mogła stać wyłącznie prosto. Lucyfer podszedł do niej i namalował jej nad jedną brwią pięć czarnych kropek, a nad drugą jedną, czerwoną. Przyjrzał się swojemu dziełu przechylając głowę.

– Kiedy Azazel ściągnął cię tutaj pięć lat temu, nikt

nie przypuszczał, jakie atrakcje nam zapewnisz. Wydawałaś się jego kolejnym materacem, jak wszystkie przed tobą. Skoro już o tym rozmawiamy, naprawdę żałuję, że wybrałaś niebieskich, ale gdybyś zmieniła zdanie, daj nam znać. Pominiemy standardową rekrutację i damy ci u nas jakąś miłą posadkę. Już ci to kiedyś proponowałem, ale wtedy... – zawiesił głos.

– Dziękuję, nie sędzę – Duszczyka nie miała najmniejszego zamiaru zostać podwładną Belzebuba. – A teraz proszę, żeby któryś z was przerzucił mnie pod koszary Azazela. Muszę się pilnie widzieć z Eskenezere.

Powiedziała to tak, jakby znów z góry zakładała, że jej prośba zostanie spełniona.

– Po co? – zaciekawiał się Mefistofeles.

– Bardzo wam obu dziękuję za dotychczasową pomoc, ale teraz proszę, chodźmy do Eskenezera. – Spojrzała na wiszący na ścianie zegar. – Obiecałam, że zasłonię go własnym ciałem, a już minęło południe – powiedziała lekko bez sensu.

Lucyfer pozwolił sobie na lekki uśmieszek. Niezłomna wiara Duszczyki, że diabły w głębi serca są dobre i spełniają prośby miłych pań, rozbrajała go za każdym razem i nie był w stanie powiedzieć jej jak bardzo się myli. Przypuszczał, że i tak mu nie uwierzy i co dziwne, często na tym przekonaniu dobrze wychodziła.

Mefisto, zmartwiony, że starcie z Marimar pozosta-
wiło jednak trwale ślady w umyśle Duszczyki, ostrożnie
wziął ją za ramiona i oboje zapadli się w pełen prze-
ciągów, ciemny tunel. Przynajmniej raz nie musiała się
martwić, że wyjdzie z niego rozczochrana.

Duszczyka i Mefistofeles stanęli przed zamkniętą
bramą koszar Azazela, której pilnowało kilku strażni-
ków, którzy zaśmiewali się z czegoś, poklepując po ple-
cach jednego z nich, wyraźnie mniej rozbawionego.

– Duszczyka i Mefistofeles do Eskenezera – powie-
dział Mefisto głośno, a diabły umilkły i oba skrzydła
bramy zostały błyskawicznie otwarte, jakby przed nimi
pojawił się sam Belzebub. Co więcej wszyscy uklonili
się, stając pod murem. Duszczyka nigdy przedtem nie
widziała, żeby diabły tak się komukolwiek kłaniały, no
może poza samym Władcą. I jeszcze ten niepojęty, gor-
liwy pośpiech przy rozsuwaniu bramy.

Na świeżo posypanym białym piaskiem dziedziń-
cu kręciło się w swoich sprawach kilkunastu koman-
dosów, ktoś wychylał się z górnego okna, wykrzykując
sprośności do ćwiczącego na prowizorycznym drążku
półnagięgo mięśniaka z byczym karkiem i licznymi ta-
tużami. Towarzyszył temu głośny rechot niewielkiej
grupki publiczności. Wiele okien było otwartych, a na
parapecie na piętrze ktoś siedział zwieszając nogi na ze-

wnątrz i nożem ostrzył patyk.

Duszydzka, niepewna dokąd ma się skierować, zatrzymała się tuż na bramą, którą natychmiast za nią zatrzaśnięto. Mefistofeles pozostawił jej wolną rękę, trzymając się pół kroku z tyłu.

Rozmowy na dziedzińcu kolejno cichły, aż zapadła zupełna cisza i wszystkie głowy kolejno odwróciły się w jej stronę. Diabli patrzyli na drobną dziewczynę w kwiecistej sukience, która marszczyła się smętnie tam, gdzie inne kobiety mają biust, na pięć czarnych kropek i na tę jedną czerwoną, która najbardziej rzucała się w oczy.

Diabeł siedzący dotychczas w oknie, ześlizgnął się z parapetu, przez chwilę wisiał na jednej ręce, zanim zręcznie, jak małpa, wylądował na piasku na ugiętych nogach. Mięśniak wykonał jeszcze jeden obrót na drążku, zanim zeskoczył, potracając kolegę. Takie zdarzenie zazwyczaj powodowało gwałtowny odwet poszkodowanego, ale tym razem nie było nawet słyhać cichego pomruku niezadowolenia, jakby wszyscy szykowali się na coś większego i nie zamierzali się rozpraszać byle czym.

Duszydzka poczuła się niepewnie, czy raczej jeszcze bardziej niepewnie niż zwykle w koszarach. Z ulgą zobaczyła wyłaniającego się z bocznych drzwi Eskenezera, na którego twarzy niezadowolenie walczyło o lepsze ze zdumieniem. Najwyraźniej się jej nie spodziewał i z ja-

kiejś przyczyny jej wizyta była mu nie na rękę. Stojący za nią Mefisto, pewny, że oddał ją w dobre ręce, wyśli-znął się za bramę.

Z odległego rogu dziedzińca ktoś donośnie wykrzyk-
nął niezrozumiałą dla Duszczyki komendę „Honor”
i wszystkie diabły pochyliły się w jej stronę w ukłonie.
Popatrzyła na Eskenezera, który zatrzymał się w pół
kroku i lekko pochylił głowę, najwyraźniej też się kła-
niając, czego nie zrobił nigdy przedtem, odkąd go po
raz pierwszy zobaczyła owego pamiętnego dnia w Po-
czekalni kolejowej. Trwało to zaledwie mgnienie, ale
ukłon nie ulegał wątpliwości. Mimo to wyglądał na
niezadowolonego, choć nie sposób było odgadnąć, czy
z powodu jej wizyty, czy honorów oddanych przez ko-
mandosów.

– Dzień dobry – powiedziała Duszczyka niepewnie,
zwalczając pokusę, by dygnąć, jak mała dziewczynka.
Eskenezer był już o krok od niej i patrzyła na niego
z niemym pytaniem, szukając wyjaśnienia, którego nie
znalazła.

– O co chodzi, Eskenezerze? Czemu oni tak...? – ru-
chem głowy wskazała pochylone diabły na dziedzińcu.

– Okazują ci szacunek. Myślę, że byłoby dobrze poka-
zać im jak bardzo sobie to cenisz. Uznali cię za legendę.

– Legendę? – spytała z niedowierzaniem. Czuła się
jak wiejski półgłówek, który nie mając nic do powiedze-

nia, powtarza ostatnie słowa rozmówcy. Jej mózg nadal odczuwał skutki ataku Marimar, środków przeciwbólowych i uspokajających, jakie podawano jej w klinice, oraz ingerencji Mefista, który starał się naprawiać jej pamięć.

Eskenezera skinął głową ponagłajaco.

– Ja... – zaczęła i chrząknęła, żeby zyskać na czasie – dziękuję wam, panowie. Doceniam wasze uznanie i... – urwała, rozglądając się po dziedzińcu. Czowała, że jej przemowa zdecydowanie nie jest porywająca. Diabły wyprostowały się już i gapiły na nią otwarcie i bez jakiegokolwiek skrepowania, ale czasy, gdy Duszczyka była zażenowana obmacującymi ją spojrzeniami minęły bezpowrotnie.

– Myślę, że nie zasłużyłam – brnęła dalej, ale przerwała, widząc ruch w tylnych szeregach. Do przodu przepychał się mięśniak, ćwiczący poprzednio na drążku. Był wysoki, miał krótkie, czarne włosy ostrzyżone w wojskowym stylu, dziobatą twarz i oczy tak głęboko osadzone, że cały czas wyglądał, jakby patrzył spode łba.

– A ja uważam, że tak – zaprotestował głośno, wywołując szmer aprobaty zgromadzonych. Gdy doszedł do pierwszego rzędu diabłów, zaledwie kilka metrów od Duszczyki, zatrzymał się, widząc ostrzegawczy ruch ręki Eskenezera.

– Chciałem... ja i koledzy chcieliśmy cię o coś spytać, pani – zaczął, ale Eskenezzer wszedł mu w słowo.

– Wybacz jego prostactwo – powiedział surowo. – Widać zapomniał, z kim ma do czynienia i się nie przedstawił. Nazywa się Geriar i jest komandosem czwartego szeregu.

– Miło mi cię poznać. Jestem Duszczyka – powiedziała całkowicie odruchowo, wywołując wyraźne zdziwienie diabłów i kilka półuśmiechów. – Jakie to pytanie?

– Wiemy, że pokonałaś demona i wiemy też, że będzie ekspedycja, żeby twoją metodą usunąć wreszcie tego jebniętego Hauresa.

Zmarszczenie brwi Eskenezera kazało mu przerwać na chwilę.

– To znaczy, no, tego Hauresa, co wiesz – poprawił się trochę niepewnie.

– O żadnej wyprawie jeszcze nie słyszałam – powiedziała, dziwiąc się, co ona ma z tym wspólnego.

– Pomyśleliśmy, że jesteś najlepszą kandydatką na szefa wyprawy – kontynuował, niezrażony jej niewiedzą.

Duszczyka poczuła, jak robi jej się gorąco i na twarz wypłynął rumieniec. Absolutnie nie zamierzała walczyć z kimkolwiek, a perspektywę zostania szefem niesprecyzowanej liczby diabłów uznała za przerażającą.

Nie zważając na jej zmieszanie, które całkiem opacznie sobie wytłumaczył, Geriar ciągnął dalej, przy licznych potakiwaniach ze strony podchodzących coraz bliżej mężczyzn.

– Chcieliśmy spytać, czy już wiesz, kogo byś w swojej drużynie widziała i czy można się zgłosić na ochotnika.

Duszczyka patrzyła na niego bezradnie. Był pełen entuzjazmu i nie miała serca go zgasić. Popatrzyła na coraz bardziej poirytowanego Eskenezera. Gdyby wzrok szefa komandosów mógł zabijać, Geriar już dawno byłby martwy.

Mózg Duszczyki ni stąd, ni z owąd, podjął współpracę, podsuwając cudowne, proste rozwiązanie dwóch problemów za jednym zamachem.

– Bardzo dziękuję za zaszczyt, jaki mi robicie – zaczęła górnolotnie. – Z żalem muszę powiedzieć, że nie będę mogła uczestniczyć w tej wyprawie, bo jeszcze dziś wracam do siebie, do nieba...

Od strony Eskenezera dobiegło ciche westchnienie ulgi.

– ...ale myślę, że jest ktoś, kto również zasługuje na takie wyróżnienie. Gdyby nie interwencja i poświęcenie Lardena, z pewnością nie byłoby mnie tu z wami.

Przez dziedziniec przeoczył się szmer głosów. Chwilę się naradzano, odwracając do sąsiadów, gdy Duszczyka mówiła dalej:

– Czy przyjęlibyście Lardena, jako szefa wyprawy? Byliśmy razem u Hauresa, więc zna teren i już raz wyszedł stamtąd cało.

Odwróciła się w stronę Eskenezera i zobaczyła w jego oczach czystą, rozpaloną do białości wściekłość. Diabli gniew przestał ją obchodzić, bo już tu nie należała. Uśmiechnęła się najładniej, jak umiała.

– Oczywiście, o ile zaakceptuje to dowódca. Ja tylko proponuję.

Eskenezer patrzył na kobietę, którą kochał i zastanawiał się za co los tak bardzo go doświadcza. Za jednym zamachem przekreśliła wszystkie jego piękne plany pozbycia się na zawsze tego rąbniętego świra, któremu już zbyt wiele wybaczano. Bezwzględnie należało go usunąć za narażenie jej na niebezpieczeństwo. Tymczasem Duszczyka w kilku słowach zrobiła z Lardena bohatera. Miał ochotę urwać jej głowę i z pewnością odbijało się to na jego twarzy, ale dziewczyna nie wyglądała na przejętą.

Diabły nagrodziły jej propozycję oklaskami i Duszczyka odwróciła się do niego.

– Proszę cię Eskenezerze, chciałabym teraz zobaczyć się z Lardenem, jeżeli pozwolisz.

Chwilę wcześniej Eskenezer zadawał sobie pytanie, co ją tu sprowadziło, teraz uzyskał najgorszą z możliwych odpowiedzi. Odmówienie tej prośbie będzie źle

przyjęte przez podwładnych. Wprawdzie szef komandosów mógł robić co mu się żywnie podoba i wymusić każdą decyzję, ale odrzucenie pierwszej prośby kobiety uznanej za żywą legendę i to tuż po przyznaniu jej jedynego takiego odznaczenia, jakim była czerwona kropka, to zupełnie inna sprawa.

Zacisnął zęby i wbrew sobie kiwnął głową, choć wiedział, że gdy dziewczyna zobaczy jak teraz wygląda Larden, może rozpętać prawdziwe piekło.

– Potrzebowałeś szpiega – bardziej stwierdził, niż zapytał Mefistofeles, unosząc w stronę Lucyfera szklaniczkę z ginem gestem toastu. Siedzieli pod palmami na tarasie nadmorskiej willi Lucyfera, wzniesionej wysoko na skałach, skąd roztaczał się bezkresny widok. Zachodzące słońce malowało długi, czerwony ślad na wodzie, a tysiące drobnych iskierek podskakiwało na niewielkich falach. Mefisto patrzył na to z zadowoleniem.

– Owszem. Musiałem wiedzieć, co między nimi zaszło i dlatego cię sprowadziłem. Jej zanik pamięci był wspaniałym pretekstem – stwierdził Lucyfer.

– Nic między nimi nie zaszło, poza tym, że osmagała go batem. Ta kobieta jest impregnowana na mężczyzn innych niż Azazel, a Larden z jakiegoś powodu też wcale się do niej nie pali.

– Co ona planuje u nas zrobić?

– Sama jeszcze nie wie, ale wyglądało, że chce wrócić do nieba, tylko musi coś załatwić. Obiecała Lardenowi, że obroni go przed Eskenezerelem – Mefisto uśmiechnęła się porozumiewawczo. – Szef komandosów znów jej się narazi.

– A czym się przedtem naraził? Myślałem, że powinna być mu wdzięczna skoro ją odprowadził do bramy niebieskich.

– Zapytał ją wtedy o to samo, co ja: z kim jest w ciąży. Obu nas za to nie lubi, a już byłem tak blisko.

– Czemu jej sobie po prostu nie weźmiesz? Od kiedy porzuciła Azazela, jest wolna i nasz piękny książe nic ci nie może zrobić.

Mefisto chwilę milczał, obracając pustą szklanę w palcach i patrząc, jak słońce tonie w morzu. Lekki, wieczorny wiatr poruszał liśćmi palm.

– Kiedyś myślałem, że Azazel jest durniem, ale miał rację. Dużo fajniej będzie z nią, kiedy sama do mnie przyjdzie, jak wtedy do niego. Chcę mieć w łóżku współpracującą Duszyckę, a nie płaczący kłębek nieszczęścia.

Lucyfer przyglądał mu się z obojętnym wyrazem twarzy, bo jego takie rozterki nie dotyczyły. Bez pośpiechu zapalił papierosa zapalniczką z monogramem. Siedział teraz sącząc gin i wypuszczając dym nosem, co nadało mu diabelski wygląd i budziło cichą dezaprobatę

Mefista. On sam robił tak tylko w obecności aniołów, które złościło to jeszcze bardziej, niż jego.

– Powiedz mi o niej coś więcej, czego mój wywiad nie wie. W końcu byłeś w jej głowie – odezwał się w końcu.

– Lubisz koty?

Lucyfer po krótkim namyśle skinął głową.

– Tak. Są słodkie, miękkie i bezwzględne. Uważają cię za służbę i tolerują, póki sypiesz im żarcie do miski i zmieniasz żwirek w kuwecie.

– W takim razie Duszyczkę też lubisz. My obaj nie jej nie obchodzimy i lubi nas tylko wtedy, gdy robimy to, czego się po nas oczekuje. Wtedy potrafi ocierać się o nogi, mrucząc z zadowolenia, ale spróbuj się jej przeciwstawić. Oberwiesz pazurami, kiedy się tego nie spodziewasz albo chyłkiem nasika ci na ręcznik.

– Nasza mała Duszyczka nie jest taka czysta i dobra – Lucyfer wydawał się zadowolony, że potwierdziło się to, co i tak wiedział już wcześniej.

– Nie jest święta, za to ma przerost poczucia lojalności i jeśli na to zapracujesz, zrobi dla ciebie absolutnie wszystko. Pamiętasz jak broniła Eskenezera, kiedy Azazel powiesił go za nogi nad ogniskiem? Wtedy jeszcze nie wiedziała jak bardzo ryzykuje, ale teraz już tak. Postawiła samą siebie, żeby bronić Rozy, choć to było ostatnie, co jej jeszcze zostało.

– A czemu ty jej pomogłeś? Mogłeś powiedzieć, że

zanik pamięci nie da się odkręcić.

– Chcę, żeby pamiętała, co Azazel jej zrobił. Wtedy będę miał szansę.

– I tak ci się szybko znudzi.

– Zapewne, ale nie o to chodzi, żeby była długo, tylko żebym ją dostał.

Lucyfer pokiwał głową ze zrozumieniem i dołączył goście do ginu.

– W jednym się mylisz. Im więcej czasu upłynie, tym łatwiej jej będzie do niego wrócić. Zapomni, co jej zrobił i na to liczę. Azazel jest mi cholernie potrzebny, a w kopalni jest dla piekła całkowicie bezużyteczny.

– Prosiłeś Belzebuba, żeby mu kazał stamtąd wracać?

– Uśmieł się z całej historii i powiedział, że Pięknemu dobrze zrobi sto lat przyjaźni z kilofem, a dziewczyna dostanie nauczkę u niebieskich. Nie zamierza interweniować.

Mefistofeles obserwował gwiazdy zapalające się na ciemniejącym niebie. Nie rozumiał dlaczego upiera się przy tej właśnie kobiecie, jakby ich było na świecie mało. Instynkt podpowiadał, że nigdy jej nie dostanie, a ona zawsze będzie go wykorzystywać.

– A Larden? – spytał Lucyfer, nieświadomy tych rozterek. – Kiedyś się zastanawiałem czy jest kompletnym świrem, czy cwaniakiem.

– Wygląda na to, że geniuszem. Nie wiemy jak się z Duszycką dogadali, bo na nagraniach z ich widzenia nie ma nic ciekawego. Znalazł jakiś inny sposób komunikacji, ale nie chce nam powiedzieć. Eskenezer wrzuciłby go do wulkanu jeszcze wczoraj, gdyby nie musiał czekać, aż ktoś kompetentny wyciśnie tę prawdę.

Mefistofeles pokręcił głową z niedowierzaniem. Larden zaryzykował, poszedł z dziewczyną do demonów i wygrali. Jednym skokiem dostał się na szczyt. Z pewnością nie był dość inteligentny, żeby przewidywać rozwój sytuacji na kilka ruchów naprzód, a zwłaszcza w tak niepewnej materii. Miał po prostu nieprawdopodobne szczęście.

– Czy ty wiesz, gdzie on ją przechował przez jeden dzień? W Dolinie Wiedźmy!

– Cwane. Nikt z nas tam nie chodzi – uśmiechnął się Lucyfer. – Czy ona wie o Azazelu...

Mefisto bez słowa skinął głową.

– Pozostaje czekać, co zrobi i jeżeli się da, wmanewrować w coś, co ją zatrzyma. Jeżeli wróci do niebieskich, przegramy obaj. Już nic jej stamtąd nie wyciągnie.

Poprzedzona przez Eskenezera Duszycka powoli schodziła w głąb lochów po wyślizganych, kamiennych stopniach. Wbrew oczekiwaniom, piwnice wcale nie były chłodniejsze od dziedzińca, zapewne z powodu

plywającej gdzieś pod ziemią lawy i Duszyczka przetarła czoło. Brak włosów przyjemnie chłodził, ale ciasno spowijające ją bandaże sprawiały, że zaczynała się dusić. W lochach, pozbawionych porządnej wentylacji, śmierdziało brudnymi ciałami i krwią. Patrzyła na długi korytarz, po obu stronach którego umieszczono cele zamknięte drzwiami z kratownic. Więźniowie nie widzieli sąsiadów z bocznych cel, a tylko nieszczęśnika przykucniętego do ściany naprzeciwko.

Blade światło z rzadka rozmieszczonych żarówek odbijało się w stalowych prętach, które nikły za odległym zakrętem korytarza. Duszyczka była tu już wcześniej, ale i wtedy nie pozwolono jej wejść dalej, niż kilkanaście metrów od schodów. Co było w głębi, mogła się tylko domyślać.

Gdy stanęła na dole i zajrzała do pierwszych cel, powitał ją przeciągły gwizd ze strony diabła o rzadkich włosach porastających czaszkę nierównymi kępkami. Natychmiast w głębi korytarza dał się słyszeć ruch i kto mógł, w brzęku łańcuchów zbliżał się do krat celi, żeby zobaczyć kogo przyprowadzono. Gwizdano tylko na powitanie kobiet i niespodziewanych gości wysokiego szczebla. Na jednych czy drugich praktycznie nie można było tu liczyć.

Schodzący za Duszyczką główny dyspozytor Braten, który za nic na świecie nie opuściłby widowiska, jakiego

się spodziewał po kobiecie Azazela, krzyknął surowo:

– Honor!

W lochu zapadła cisza. Duszczyka bez pośpiechu szła za Eskenezerem, z nadzieją zaglądając do mijanych kolejno cel, z których większość była pusta. Lokatorzy pozostałych starali się jej ukłonić, choć niewielu stało na własnych nogach i mogło to uczynić jak należy. Szef komandosów zatrzymał się po kilku krokach i skinął na Bratena, żeby otworzył drzwi do pogrążonej w półmroku celi.

Wewnątrz, na kamiennej podłodze leżał nagi mężczyzna, który nawet nie podniósł głowy, o jakimkolwiek ukłonie nie wspominając. Wyglądał na nieprzytomnego i Duszczyka nie była pewna czy ma patrzeć, czy raczej powinna odwrócić wzrok ze względu na jego nagość.

– Okryj się, kobieta Azazela przyszła – Braten wrzucił do celi wystrzępiony koc i mężczyzna uniósł głowę. Niezdarnie wyciągnął pozbawioną dłoni rękę i zgarnął koc na siebie, zasłaniając lędźwie. Kiedy usiadł Duszczyka gwałtownie wciągnęła powietrze, czując mdlący ucisk w głębi trzewi.

Larden wyglądał potwornie. Twarz miał zmasakrowaną, jedno oko ginęło w zakrwawionej, czarno-sinej opuchliznie i zdawało się, że je wylupiono, a krzywo ogolona przez Duszczykę czaszka była pokryta ledwie zasklepiającymi się ranami. Najgorzej jednak wyglą-

dały ręce, a właściwie kikuty bez dłoni. Przedramiona były chude, ledwie okryte skórą i zupełnie niepasujące do reszty umięśnionego ciała.

– Cześć, fajnie cię widzieć – stęknął Larden, niezdarnie gramoląc się na nogi. Widać było, że każdy ruch go boli i podniesienie się było okupione ogromnym wysiłkiem. Z mizernym skutkiem próbował utrzymać koc przed sobą.

Eskenezer natychmiast zrozumiał, że ciężki materiał lada chwila wysunie się z pozbawionych dłoni rąk i Larden stanie przed Duszczyką w całej swojej okazałości, nagi jak go Najwyższa Hierarchia stworzył. Na tę myśl aż ścisnął mu się żołądek.

– Owiń go – rzucił w stronę Bratena, rozczarowanego takim obrotem sprawy.

Okryty zaimprovizowaną spódnicą ze sztywnego i drapiącego skórę koca, Larden stał nieco chwiejnie, aż nie zważając na obecność starszych stopniem, oparł się ciężko o pręty celi. Starał się nie okazywać słabości, ale przesłuchanie przez Krwawego Topora niedawno się skończyło i na razie z trudem trzymał się na nogach.

– Witaj, Duszczyko – Larden nawet nie próbował się uklonić, bo gdyby się pochylił, z pewnością już nie udałoby mu się wyprostować.

– Co oni ci zrobili? – jęknęła, rzucając wściekle spojrzenie Eskenezerowi, którego nie bez racji winiła za

wszystko, co się działo koszarach. – Obcięli ci ręce?!

Szef komandosów zachnął się z oburzeniem, odżegnując się od jakiegokolwiek odpowiedzialności za chude kikuty Lardena.

– To nie oni – Larden uśmiechnął się krzywo, na ile mu pozwalała opuchnięta twarz. – Raczej ty i twoja święcona woda.

– Opowiadaj. Ostatnie, co pamiętam, to jak oblałam Marimar wodą i strasznie krzyczała, a potem obudziłam się w szpitalu.

Larden powiedział jak oblewał kikuty rąk Marimar i nawet miejsce gdzie stała, żeby nie pozostał najmniejszy ślad jej obecności, a potem podniósł przemoczoną, nieprzytomną dziewczynę i kanałem Lucyfera dostarczył pod koszary.

– Czemu akurat Lucyfera? – spytała trochę głupio, oszołomiona rozwojem wydarzeń.

– Jest najwygodniejszy, a chciałem, żebyś dotarła do koszar żywa. Ręce mi wypaliło od wody, kiedy cię niosłem.

Duszczyka wzdrygnęła się na samą myśl. Miała ochotę uściskać Lardena, ale wiedziała, że na takie gesty nie może sobie tutaj pozwolić.

– Musiało cię potwornie boleć. Bardzo dziękuję, że mnie nie zostawiłeś. Uratowałeś coś więcej, niż tylko moje życie.

– Przesadzasz, sama byś dała radę – Larden próbował wzruszyć ramionami, ale o mało nie upadł, gdy obolała ręka zsunęła się po śliskim pręcie. – Widzę, że dali ci czerwoną kropkę za demona. Jesteś pierwszą laureatką, gratulacje.

– Tobie się bardziej należy. Komandosi na dziedzińcu chcieli, żebym była szefem wyprawy na Hauresa, ale zaproponowałam cię, jeśli Eskenezer się zgodzi...

Larden milczał, nie wiedząc kiedy może zapaść decyzja odnośnie jego osoby i nie chcąc zanadto się angażować.

– Dziękuję ci – powiedział w końcu cicho. Wiedział, że nie ma szans na zostanie szefem czegośkolwiek, bo prędzej Eskenezer po prostu go zatłucze. Nie dość, że nie chciał współpracować i nie wyraził skruchy za sprowadzenie Duszczyki do piekła, to jeszcze nie zamierzał zdradzić którejś szli, ani co ważniejsze, jak złamał zabezpieczenia kanałów. Nie miał szansy żyć dalej.

Eskenezer patrzył na niego bez słowa, z nienawiścią w oczach. Duszczyka odwróciła się w jego stronę. Diabeł patrzył przez chwilę na uniesioną ku sobie twarz i nagle poczuł przemożną chęć, żeby bez względu na konsekwencje, przygarnąć dziewczynę, objąć ramionami i głęboko, namiętnie pocałować, a potem zapewnić, że wszystko będzie dobrze i żeby się już nie martwiła. Nie miało dla niego znaczenia, że jest łysa i bez piersi.

Ważne, że jest.

Duszczyka skamieniała widząc to spojrzenie. Przypomniła sobie ostatni pobyt w niebiańskim szpitalu i pochylonego Eskenezera, całującego jej palce, kiedy myślał, że jest nieprzytomna. Nie rozumiała wtedy jak mogła wcześniej nie zauważyć rodzącego się uczucia i była wściekła na siebie za gruboskórność i ślepotę. Teraz miała ochotę kopnąć się w zadek za swoją krótką pamięć. Przygnieciona własnym nieszczęściem zupełnie zapomniała o cudzym. Przecież nigdy go nie zachęcała, tak przynajmniej sądziła, ale najwyraźniej była w błędzie. Chciała opuścić piekło na zawsze, nie zostawiając za sobą niczyjej krzywdy i znów jej się nie udało. Stała z opuszczonymi rękami.

Braten widział ich wymianę spojrzeń i odsunął się o krok, by w razie potrzeby mógł stanowczo zaprzeczyć, że cokolwiek zauważył. Za to Larden stał oparty o prety celi, a na twarzy błąkał mu się ironiczny półuśmieszek. Doskonale rozumiał, czego przed chwilą był świadkiem i uważał, że to zabawne. Przecież za jakieś sto lat szef komandosów nie będzie nawet pamiętał, że taka kobieta w ogóle istniała, za to ona będzie przez wieczność siedzieć w niebie z poczuciem winy.

Duszczyka stała przed trzema diabłami zupełnie nie wiedząc co teraz ma zrobić. Wszystkie jadowite riposty, jakimi zamierzała trafić sprzeciwiającego się jej Eske-

nezera rozsypały się na kamienną posadzkę i poturlały w niebyt, zostawiając ją bezbronną. Musiała w jakiś sposób wyrwać Lardena z rąk oprawców, jednocześnie nie krzywdząc Eskenezera jeszcze bardziej i nie przychodziło jej do głowy żadne mądre wyjście z sytuacji.

Po raz pierwszy od miesiący zachciało jej się płakać i nagle zatęskniła za spokojem nieba, gdzie monotonne dni niczym nie różniły się od siebie, jak koraliki na sznurku, gdzie nie było krwi czy gwałtownych namiętności, tylko co najwyżej chłodny poker między nią, a izbą skarbową.

Zamrugła oczami, żeby odpędzić łzy.

– Chciałam cię o coś prosić – wydusiła w końcu, nie podnosząc wzroku. Próbowwała zebrać siły na to, co musi zrobić. Należy dotrzymywać raz danego słowa.

Eskenezer ponad wszystko pragnął spełnić jej prośbę, ale znów nie było mu to dane.

– Muszę jeszcze coś tu załatwić i potrzebna mi eskorta. Chciałabym, żeby to był Larden.

– Wykluczone. On nie jest teraz w stanie obronić nawet samego siebie – wybuchnął Eskenezer, pełen frustracji.

Jeżeli wydawało mu się, że tym ją pokonał, to w życiu bardziej się nie pomylił.

– Poczekam tutaj, aż dojdzie do siebie.

Z uporem malującym się na twarzy, Duszydzka sta-

nęła w rozkroku zakładając ręce do tyłu, jak to przed chwilą robili żołnierze Azazela. W kolorowej sukience i lekkich bucikach wyglądała w tej pozie zabawnie, ale diabłu ani trochę nie było do śmiechu. Wiedział, że spełni, co powiedziała, a nie mógł jej stąd usunąć siłą. Wleczenie przez dziedziniec walczącej z całych sił kobiety mogło mieć niemiłe następstwa i gdyby połamane żebra coś jej uszkodziły, skończyłyby w wulkanie. Przetarł ręką czoło. Co za bzdury chodzą mu po głowie? Przecież to Duszczyka, nieznośna kobieta, którą, nie wiedzieć czemu, kocha i na pewno nie skrzywdzi.

Przez długą chwilę wszyscy trwali nieruchomo i gdy Duszczyka uświadomiła sobie, że Eskenezzer nie chce ustąpić, wytoczyła ciężką artylerię. Gdyby to nie podziałało, faktycznie sytuacja będzie patowa i wszyscy pozostaną w podziemiach koszarów do końca świata. A już na pewno do chwili, gdy Larden w pełni odzyska siły.

– Dobrze, powiem ci, co miałam załatwić – westchnęła teatralnie, spoglądając na Eskenezera spod oka i udając zrezygnowanie. – Zamierzałam pojechać do kopalni pożegnać się z Azazelem, ale nie zrobię tego bez Lardena. Skoro nie mogę go zabrać, to wracam do nieba od razu. Pozdrów księcia ode mnie.

Zanim Eskenezzer zdążył zareagować na ten brudny chwyt poniżej pasa, z celi Lardena dobiegł śmiech,

przechodzący w atak potwornego kaszlu. Diabeł zwinął się w pół.

– Załatwiła cię – wycharczał, plując krwią.

Duszczyka patrzyła na to przerażona.

– Co wyście mu zrobili, cholerni dewianci? – krzyknęła z oburzeniem. – Odbiliście mu płuca?

Larden z Eskenezerem wymienili ciężkie spojrzenia, utwierdzając dziewczynę w jej podejrzeniach. Diabeł wyprostował się z trudem, ostrożnie nabierając powietrza, by uspokoić kaszel.

– Nie bądź nadwrażliwa. Nic mi nie jest, tylko jeszcze ręce nie działają mi, jak trzeba.

W podziemiach zapadła cisza. Wszyscy czekali na decyzję Eskenezera, który kolejny raz miał ochotę uduśić tę uprzykrzoną dziewczynę. Mając do wyboru kobietę i przyjaciela, zgodnie z założeniem Duszczyki, musiał wybrać przyjaciela. Nigdy by sobie nie darował, gdyby przez niego Azazel stracił szansę na odzyskanie swojej miłości. Nie mógł jednak poddać się tak gładko, całkiem bez walki, choć już wiedział, że przegrał. Pocieszało go tylko, że znalazł się w doborowym towarzystwie nie tylko swojego szefa, ale także samego Władcy. Belzebub wprawdzie kazał Duszcycze potem słono za to zapłacić, ale dwa razy wyszła od niego, uzyskując to, o co jej chodziło.

Niechętnie kiwnął głową.

– Dobrze – westchnął – ale nie licz na to, że pozwolę wam fruwać cudzymi kanałami po całym świecie. Dam ci samochód z kierowcą i tego durnia, skoro ci tak zależy. Każ go zabrać do łaźni i daj czyste rzeczy – rzucił w stronę dyspozytora i nie oglądając się na Duszyckę ruszył w stronę wyjścia.

Duszycka stała przy boku Eskenezera przed bramą koszar, wpatrując się w odległy wulkan. Czerwone iskry wyskakiwały w górę, próbując zdobyć niebo i zastąpić na nim gwiazdy, zastygały na chwilę, jakby wahając się co robić dalej, zanim wystraszone własną odwagą spadły ciężko w dół. Chwilę później od nowa zaczynały wyścig do chmur. Podobnie, jak Lucyferowi, tego groźnego piękna brakowało jej poza piekłem najbardziej.

Diabeł milcząco przyglądał się dziewczynie, chcąc się nasycić tym widokiem na wiele lat. Wulkan odbijał się w jej szarych oczach, barwiąc je na czerwono i przywołując na myśl Władcę i komandos zastygł, zafascynowany. Czując na sobie spojrzenie, Duszycka spojrzała mu w twarz i bez większego powodzenia próbowała się uśmiechnąć.

– Czy to już postanowione, że nie zostaniesz z nami?
– spytał, choć bał się odpowiedzi.

Kiwnęła głową, nerwowo skubiąc falbankę przy rękawie.

– Ja tak nie mogę, Eskenezerze – wybuchnęła w końcu. – Nie jestem wojownikiem, tylko zwykłą kobietą. Zmęczyły mnie już te zmagania, ta ciągła konieczność wrywania piekłu tego, co moje i patrzanie, jak wszystko, i tak, i tak, rozpada mi się w rękach. W niebie nikt mnie nie kocha, ale też nikt nie próbuje mnie pokonać. No może poza skarbówką – dodała w przypływie uczciwości – ale oni, tak naprawdę, nie mogą mi zrobić nic złego. Nie odwiedzajcie mnie tam, proszę. Może z czasem uda mi się o wszystkim zapomnieć i jakoś spokojnie żyć.

Przerwała, rozglądając się wokół żeby zebrać siły przed tym, co chciała mu powiedzieć.

– Ilekroć tu wracałam, to tylko po to, żeby wyprostować sprawy, które przeze mnie poszły nie tak. Szukałam zaginionego Bazylego, ratowałam Azazela, zamienionego w ziarenko piasku, wypędzałam demona od Rozy. Anioł miłosierdzia, wersja dla ubogich – uśmiechnęła się gorzko. – Zawsze robię coś źle i pakuję wszystkich w jeszcze gorsze kłopoty. Roza straciła ciało i nie wiem, co teraz z nią będzie, Azazel pracuje w kopalni, zamiast używać życia na Karaibach, a ty... Eskenezerze, jeżeli możesz, wybacz moją bezmyślność.

– Nie mam ci nic do wybaczenia – zaprotestował energicznie. – A Rozie zaproponowano reinkarnację, żeby się pozbyć kłopotu z bezcielesnym skazańcem

i ona się zgodziła. Na pewno jest ci wdzięczna, więc przynajmniej w tej sprawie nie rób sobie wyrzutów.

– Chociaż tyle – odetchnęła Duszycka. – Najbardziej skrzywdziłam ciebie, choć nigdy tego nie chciałam. Przepraszam, jestem jak słoń w składzie porcelany.

Eskenezer pokręcił głową. Nie, nie była jak słoń. Nie miała siły, żeby zmagać się z piekłem, ale nie było w tym jej winy. Patrzył, jak drżą jej usta i pojedyncza łza wisi na rzęsach. Odwróciła się gwałtownie i bez pożegnania wsiadła do czekającej terenówki Azazela, z całej siły trzaskając drzwiczkami. Gniewnie otarła dłonią policzki, cały czas odwracając głowę w drugą stronę.

Diabeł przez chwilę patrzył na sztywno wyprostowaną kobietę, pragnąc zachować ją w pamięci na resztę wieczności.

– Do przyścia Lardena odpowiadasz za nią głową – zwrócił się do stojącego z boku kierowcy, ruchem brody wskazując dziewczynę – potem przechodzisz pod jego rozkazy. Zawiesziesz ich do kopalni Azazela.

Nie czekając na potwierdzenie rozkazu odwrócił się i zgrzytając podkutymi butami na żwirze przeszedł przez bramę koszar do gabinetu Azazela. Na korytarzu pod drzwiami czekał na niego umyty i ubrany w czyste rzeczy Larden. Eskenezer wszedł do gabinetu i ruchem dłoni zaprosił diabła do środka, a potem zamknął za nim drzwi.

Larden pozostał przy wejściu pod ścianą, opierając się o nią ciężko. Połamane przez Krwawego Topora nogi bolały go straszliwie, kiedy próbował chodzić, czy chociażby porządnie się wyprostować. W obecności pierwszego komandosa powinien stać, ale zwyczajnie nie był w stanie. Eskenezer obrzucił go uważnym spojrzeniem i już otwierał usta, żeby coś powiedzieć, gdy się rozmyślił. Usiadł za biurkiem i zapalił papierosa.

– Ile czasu mi jeszcze zostało? – spytał Larden.

– Dopóki ona jest w piekle, a potem...

Eskenezer patrzył na niego z satysfakcją, bawiąc się zapalniczką. Mały płomyk pojawiał się i znikał, odwracając ich uwagę od siebie nawzajem. Larden starał się utrzymać obojętny wyraz twarzy. Zdawał sobie sprawę, że przy jego aż tak niepokornym usposobieniu, miecz wiszący mu na głowę musi kiedyś spaść, a jednak stale miał nadzieję, że jeszcze nie tym razem, że jeszcze nie teraz strącą go do wulkanu.

Nie doczekawszy się żadnej reakcji Eskenezer ciągnął dalej:

– Będziesz piękną iskierką i może nawet wysoko polecisz. Jej się takie podobają.

– Ani ja jej nie pociągam, ani ona mnie. Nie robiłem nic, żeby jej się podobać! – powiedział Larden twardo.

– No i dochodzimy do sedna. Dlaczego to robiłeś?

Jeżeli mnie przekonasz do swoich decyzji może pozwolę ci żyć do następnego razu.

Larden miał pustkę w głowie. Podczas przesłuchania nie odpowiedział na żadne pytanie, a teraz ból nie pozwalał mu się skupić. Kiwnął głową, potwierdzając, że zrozumiał, ale nadal milczał.

– Nie będę czekał w nieskończoność. Ona już siedzi w terenówce przed bramą, więc masz – Eskenezer wyciągnął rękę i spojrział na zegarek – masz dokładnie dwie minuty. Dlaczego ją tu ściągnąłeś?

– Powiedziałem jej o Marimar, jak kazałeś, a ona zagroziła, że jak jej nie zabiorę, to przyjdzie do nas sama. Znała hasło do przejścia i...

– To trzeba było je zmienić.

– I twoim zdaniem to by ją zatrzymało, panie? – spytał Larden retorycznie. – Trzeba ją było widzieć w tych jej bezsensownych bucikach na obcasie i kolorowej kiece i jak niby miała leżeć w tym przez sztolnie? Nawet miała tę swoją posraną aureolkę. W tym labiryncie przy dużym szczęściu znaleźlibyśmy jej zagłodzonego trupa po kilku miesiącach. A może po latach.

– Podaś mi trasę, jaką szliście?

– Nawet ci narysuję, to bez znaczenia. – Larden gładko przeszedł na „ty”, a Eskenezer nie smagnął go za to batem. Sprawy wyraźnie stały lepiej. – Jak zasypiecie moją trasę, to i tak znajdę inną. Pełno tego.

– Czemu zabrałeś ją do Hauresa?

– Sama zaproponowała i to nawet nie było głupie. Chciała się czegoś dowiedzieć o demonach, a Haures nie był na nią cięty, więc miała szansę. Przygotowałem się solidnie i wyniosłem ją stamtąd żywą, kiedy znalazła na niego sposób.

– Ale zostawiłeś ją samą przed domem Rozy. Jak mogłeś? Nie masz rozumu? Jeszcze chwila i mielibyśmy Marimar w jej ciele, durniu! – Eskenezzer uderzył pięścią w stół, strącając zapalniczkę na podłogę.

– Zabroniłem jej wchodzić samej. Podobno kiedyś pracowałaś jako jej ochrona – Larden zdecydował się na atak. – Zawsze robiła, co jej kazałeś? A jak niby zdobyła te pierwsze cztery kropki? Sam wiesz, że bywa bardziej niesterowalna, niż ja i jak się uprze, to nie posłucha ani ciebie, ani Azazela, ani nawet Władcy. Wyniosłem ją – dramatycznym gestem wyciągnął przed siebie kikuty, które po kontakcie ze święconą wodą regenerowały się żałośnie wolno. – Wiesz przecież jak bardzo to boli. Nawet Krwawy Topór nie umie zadać takiego cierpienia. Traciłem już przytomność, a nie jestem delikatną panienką. Byłem gotów poświęcić samego siebie, żeby ją uratować, bo właśnie tacy wariaci jak ona posuwają świat do przodu.

Urwał, ciężko dysząc z wysiłku. Nadal był słaby, jak mały kot. Powiedział już wszystko. Przemowy nie były

jego mocną stroną i pozostało mu tylko czekać na wyrok. W gabinecie przez chwilę panowała cisza, mącona jego świszczącym oddechem.

Eskenezer siedział nieruchomo, sięgając pamięcią do czasów, gdy bronił Duszycki przed ciurami Belzebuba i kiedy zakochał się w niej pierwszą w życiu miłością. Nigdy nie rozumiał, dlaczego. Nie była piękna tą klasyczną pięknnością, jaka rzucała mężczyzn na kolana, ale było w niej coś nieuchwytnego i po raz pierwszy Eskenezer pomyślał, że pociągnęła go w niej ta niepokorność, która kazała jej walczyć na przekór wszystkim i wszystkiemu. Jej nieposłuszeństwo sprawiało, że choć czasem niepomiernie go irytowała, to jednak zawsze jej wybaczwał. Nigdy wcześniej nie dostrzegł, że ona i Larden mają coś wspólnego.

Larden z nadzieją obserwował łagodniejącą twarz Eskenezera. Czuł, że wykonanie wyroku zostanie odroczone i nie pomylił się.

– Idź do niej i pilnuj, żeby na odchodnym nie zrobiła czegoś głupiego, a potem wrócisz tutaj i opowiesz mi wszystko dokładnie i podyktujesz sekretarzowi szczegółowy raport. Idź.

– Dziękuję ci, panie – powiedział Larden oficjalnie, pochylając się w ukłonie na ile mu pozwalały połamane żebra. – To wspaniałomyślne.

Zamierzał wyjść, ale zatrzymał się w drzwiach i odwrócił

do Eskenezera.

– Nie powiedziałem ci całej prawdy, panie. Z większością kobiet nie da się rozmawiać normalnie, jak z człowiekiem. Z nią tak. Dlatego to zrobiłem, tak naprawdę. Żeby na przyszłość mieć, z kim pogadać.

Lokciem wyszedł przez ciężkie, obite skórą drzwi, zanim Eskenezer będzie miał okazję spalić go samym spojrzeniem. Cieszył się, że określenie „coś głupiego” nie zostało dokładnie zdefiniowane i pozostawiało pewne pole do dowolnej interpretacji.

Gdy Duszczyka ponownie odwróciła głowę w stronę koszar, Larden właśnie wylaniał się z bramy. Szedł powoli, z widocznym trudem, z każdym krokiem kolebiąc się na boki, jak kaczka i powłócząc nogami. Miał na sobie przyciasne, ale czyste ubranie, zapewne z demobilu, a rozmazane ślady krwi z twarzy i krzywo ogolonej przez Duszczykę czaszki, zostały zmyte. Kikuty rąk wystające z krótkich rękawów szaro-burej koszulki zwisały bezużytecznie wzdłuż boków.

– Pomóż mu wsiąść – poprosiła kierowcę, który bez drgnienia wpatrywał się w przestrzeń przed sobą. Powoli odwrócił głowę, przyjrzał się kuśtykającemu w ich stronę Lardenowi i wzruszył ramionami.

– Możesz się cmoknąć – rzucił pogardliwym tonem, zakładając ręce przed sobą na znak, że się nie ruszy.

Duszczyka na moment zaniemówiła, bo podobnej bezczelności nie doświadczyła od lat. Wcześniej przed arogancją diabłów chronił ją Azazel, teraz sama zapracowała na uznanie, została bohaterką piekła i nie była przygotowana na lekceważące traktowanie.

Kierowca odwrócił się w jej stronę, kładąc łokieć na oparciu fotela. Piękne chińskie znaki wytatuowane na jego ramieniu obudziły wspomnienia. Eskenezer opowiadał jej kiedyś o starym Chińczyku, który zemścił się na swoim prześladowcy, robiąc mu napis „kurczak w cieście” zamiast „śmierć w męczarniach”. Pół piekła śmiało się z tego miesiącami.

Spojrzała wyżej, na twarz i przypomniała go sobie.

– Henne – szepnęła.

To ten diabeł gonił ją przez las, wykrzykując jakie okropności robi, gdy ją złapie i to on został posiekany na mielony kotlet, kiedy przebiegał nad rzuconym przez nią granatem, który pomimo jej obaw, eksplodował we właściwej chwili. W oczach Hennego widniała nienawiść świadcząca, że nie zamierzał jej tego zapomnieć.

Na twarzy Duszczyki na moment mignął przestrich, co diabeł zauważył z satysfakcją. Jeszcze kiedyś się do niej dobierze, bez względu na te jej głupie, nieuczciwie zdobyte kropki.

– Od ciebie, była kobieto byłego Azazela, żadnych rozkazów nie przyjmuję – powiedział dobitnie i odwró-

cił się plecami.

Larden dotarł wreszcie do auta i zapukał kikutem w szybę. Jak obudzona z transu Duszyczka prędko otworzyła drzwiczki i przesiadła się na siedzenie za kierowcą. Larden z widoczną ulgą opadł na fotel i nawet udało mu się zatrzasać drzwiczki, pomagając sobie łokciem. Terenówka natychmiast ruszyła w stronę wzgórz za odległym pałacem Belzebuba.

Duszyczka odwróciła się do kierowcy. – Zawieź nas najpierw do rezydencji Azazela.

– Eskenezer powiedział...

– Co ją obchodzi Eskenezer? Jedź, dokąd ci kazała, zanim urwę ci jaja – warknął Larden, niepomyślnie, że jeszcze nie ma dłoni, którymi mógłby komukolwiek cokolwiek urwać.

Kierowca zawrócił bez słowa

Larden spojrzał na dziewczynę uważnie.

– Beczalaś – oskarżycielsko wyciągnął w jej stronę ledwie pokryty skórą kikut.

– Ani trochę. Oczy mi łzawią od zapachu wulkanu, to wszystko.

– Taaa, tak mi mów.

Pędzili szeroką drogą, mijając pokryte szarym pyłem budynki, diabły pracowicie zaganiające skazańców do pracy i grupki nieszczęśników tłukących kamienie przy drodze, pod nadzorem biczowników. W oddali

majaczyły zbocza wzgórz, niknące w ciężkim od kurzu i dymu powietrzu.

Larden rozparł się na siedzeniu i na chwilę zamknął oczy. Przesuwający się za oknem krajobraz nic go nie obchodził, w końcu oglądał go od tysiący lat i umiał narysować z pamięci każdy kamień. Martwiła go Duszczycka, która zdawała się zupełnie nieświadoma nowego zagrożenia, wyłaniającego się z zupełnie niespodziewanej strony. Chyba nikt poza nim jeszcze sobie z tego nie zdawał sprawy. Otworzył oczy i spojrział z ukosa.

Dziewczyna wydawała mu się spięta w zupełnie inny sposób, niż jeszcze kilkanaście minut wcześniej w podziemiach koszarów. Nie sądził, by to perspektywa rozmowy z Azazelem wytrąciła ją z równowagi, bo przecież zdecydowała o niej wcześniej, a więc co? Czyżby Eskenazer? Pierwszy komandos z pewnością nie pozwoliłby sobie publicznie na czynne wyrażenie swoich uczuć, więc może tylko coś jej powiedział? W takim razie mieli do omówienia aż dwie rzeczy.

– Jest sprawa, kobieto Azazela – zaczął ściszym głosem, ale miał świadomość, że kierowca i tak słyszy każde słowo. – Musimy pogadać.

Duszczycka kiwnęła głową i wtedy zobaczył, że z odrazą wpatruje się w pokryty rzadkimi włosami kark kierowcy. A więc o to chodziło! Coś zaszło w samochodzie, co ją zdenerwowało.

Larden trącił Duszyczkę łokciem, wskazując kierownicę ruchem brody. Dziewczyna potwierdziła ledwie dostrzegalnym skinieniem głowy. Oboje uśmiechnęli się do siebie kącikami ust, jak dwójka spiskowców, rozumiejących się bez słów. Henne był zbyt zajęty prowadzeniem samochodu, by dostrzec tę wymianę myśli. Za nic nie chciał oddać Eskenezerowi porysowanego auta.

– Zatrzymaj się – zwrócił się do niego Larden. – Wolę jechać z tobą z przodu. Przesiadę się.

– Jakoś ci się nie dziwię – mruknął Henne, rzucając Duszyczce triumfalne spojrzenie we wstecznym lusterku. Też by nie chciał jechać obok tej suki.

Samochód zwolnił i zatrzymał się z boku drogi, niemal wjeżdżając w grupę pracujących skazańców, którzy odskakiwali w panice. Henne roześmiał się krótko. Kurz na drodze zdążył opaść, ale przez kilka kolejnych sekund żadne z pasażerów się nie ruszyło, więc kierowca obejrzał się na nich, pytająco podnosząc brwi. Duszyczka siedziała z założonymi rękami i z uporem na twarzy patrzyła przed siebie, omijając go wzrokiem. Larden uniósł w górę oba kikuty, pokazując, że nie ma czym otworzyć.

– Pomóż mu – rozkazującym tonem rzucił Henne do Duszyczki.

– Możesz się cmoknąć – odburknęła. – Od ciebie,

Kurczaku w Cieście, żadnych rozkazów nie przyjmuję.

Kark Hennego poczerwieniał i gdyby nie Larden, pewnie by dziewczynę uderzył na odlew, bez względu na jej czerwoną kropkę pogromczyni demona czy nawet dwie srebrzyste blizny po mieczu Gabriela. Swoją drogą nigdy nie rozumiał, po co Azazelowi kobieta, nie dość, że butna i wredna, to jeszcze pokancerowana.

Nie gasząc silnika, wyskoczył z samochodu i obszedł go, by wypuścić Lardena i otworzyć mu drzwiczki z przodu. Nie ryzykowałby odmowy wykonania rozkazu, skoro sam Eskenezer przekazał go temu psycholowi. Zresztą mało kto w piekle sprzeciwiłby się Lardenowi, który nigdy nie zapominał urazy i nigdy jej nie wybaczal.

Duszczyka czujnie obserwowała Hennego, trzymając rękę na klamce. Pociągnęła ją leciuteńko, tylko tyle, by zamek odskoczył z cichym kliknięciem. Będzie miała strasznie mało czasu i musi z góry się przygotować.

– Spokojnie – szepnął Laren niemal bezgłośnie, choć Henne kroczący po żwirze nie mógł go usłyszeć. Cichy warkot silnika głużył wszystko. – Dam ci sekundę lub dwie więcej. Zdązysz. Zabij go, jeśli będziesz musiała.

Ledwie dostrzegalnie skinęła głową. Podejrzewała, że Eskenezer posłał z nimi Hennego nie tylko, jako kierowcę, ale też szpiega i nadzorcę w jednej osobie. Nie mogłaby przy nim zrobić tego, co zamierzała. Henne

otworzył drzwiczki i Larden zaczął pokracznie gramolić się na zewnątrz. Wydawało się, że nogi prawie wcale go nie niosą i trzeba go podtrzymywać. Gdy tylko stanął obok auta i Henne otworzył mu przednie drzwiczki, Duszczyka najdelikatniej jak mogła uchyliła swoje i powoli wysunęła stopy, opierając je na jezdni. Siedziała w niewygodnej, skrzyżowanej pozycji, ale nie chciała, by Henne zorientował się przed czasem. Chwyliła dłonią za krawędź drzwiczek i kiedy Larden ciężko opadł na siedzenie pasażera, odbiła się od fotela i wyskoczyła na zewnątrz. Jednym susem ominęła swoje drzwiczki i wskoczyła na miejsce kierowcy.

W pierwszej chwili Henne nie zorientował się, co się stało. Zajęty pomaganiem Lardenowi, który najwyraźniej nie był w stanie unieść nóg i wstawić ich do auta, poczuł ruch i uniósł głowę, kiedy było za późno. Solidny kopniak Lardena sprawił, że stracił równowagę i usiadł na żwirze, wywołując uśmiešky u najbliższej grupy skazańców. Zerwał się na równe nogi, ale Larden zdążył już wsiąść i kobieta Azazela ruszyła do przodu, jakby ją diabli gonili, nie zwracając sobie nawet głowy zatrzaśnięciem drzwiczek.

Henne obrzucił ich oboje przekleństwami i splunął na żwir.

– I tak cię zaraz dopadnę, dziwko – mruknął mściwie, stając w rozkroku pośrodku drogi.

– Witaj, mój panie. Mam dla ciebie nowe wieści – napłynął głos z ciemności.

Azazel wyprostował się i odstawił kilof, ocierając twarz dłonią. W blasku pochodni przymglonej wirującym w powietrzu kurzem, który wciskał się z zęby zobaczył niskiego człowieczka w wystrzępionych łachach, pokrytego, jak on, pyłem kopalni. Człowieczek miał dużą, nieforemną głowę, a ogromne, wodniste oczy wydawały się wyskakiwać mu z twarzy. Całe jego ciało porastały rzadkie, ciemne włosy.

– A to ty Yertesie.

– Wróciła do piekła – szepnął człowieczek, bez żadnych wstępów. Obaj wiedzieli, o kim mowa.

– Też mi nowina. – Azazel nie krył rozczarowania. Oparł się o ścianę drążonego tunelu. – Od wczoraj wszyscy o tym mówią. Powiedz mi coś nowego.

– Znów dziś przyszła do koszar, gadała z Eskenezezem, zabrała Lardena i gdzieś pojechali samochodem. Nie udało mi się dowiedzieć, dokąd – szeptał Yertes, kłaniając się służalczo co drugie słowo. – Zasłużyłem na nagrodę, prawda panie? Zasłużyłem?

– Tak – mruknął niechętnie Azazel. Stracił już nadzieję, że kiedykolwiek znów zobaczy Duszyckę. Gdy dotarła do niego wieść o jej walce z Marimar, w pierwszej chwili był przerażony. Jak mogła tak strasznie

ryzykować? Mało brakowało, by utracił ją na zawsze i chyba by nie zniósł myśli, że już jej nigdzie nie ma, nawet w niebie. Miał wtedy jeszcze nadzieję, że być może mu wybaczyła, ale kiedy godziny mijały, a ona się nie zjawiała, zrozumiał, że wyrok, jaki na niego wydała nie został zmieniony. Pozostanie tu na wiele lat, samotny i przeklinający swoją porywczosć i głupotę.

– Idź już – powiedział do Yertesa, podnosząc kilof. – Muszę wracać do pracy.

Człowieczek obrócił się na pięcie i zniknął w mroku niskiego korytarza. Wiedział, że prędzej czy później Azazel wyjdzie ze swojego miejsca udręki i wtedy on zostanie sownie wynagrodzony za przynoszone mu wieści ze świata. Splunął na ziemię i skręcił w wąską odnogę, wiodącą ku górze, na powierzchnię. Może uda mu się dowiedzieć, co znów knuje ta nieznośna kobieta Azazela.

Duszczyka pędziła przez piekło nie zdejmując nogi z gazu, za to bez zahamowań korzystając z klaksonu. Czowała się niemalże jakby prowadziła limuzynę rządową, gnającą na sygnale, a wiatr z otwartego okna chłodził jej twarz. Nie było osoby, która by się za nią nie obejrzała, więc o jakiegokolwiek tajności misji nie mogło być mowy. Larden patrzył na te popisy z całkowitą obojętnością. Było mu wszystko jedno, jakich jeszcze obrażeń

się dorobi w ewentualnej kraksie, ciekawiło go tylko, czy w razie najgorszego, niebiescy zaklasyfikują jej wypadek jako próbę samobójczą. Duszyczka prowadziła jak w transie, nie odrywając oczu od drogi i kurczowo ściskając kierownicę.

– Zwolnij.

– A co? Nie podoba ci się, jak jadę? – warknęła, gotowa bronić swojego stylu prowadzenia samochodu.

– Co ci się nagle stało? – Larden zmarszczył brwi. – Dorabiasz ideologię, jak kobieta.

Duszyczka, nadal nie zwalniając, zręcznie ominęła grupę diabłów.

– Zwolnij, bo zaraz skręcamy i na łuku się nie wyrobisz – westchnął, kiwając głową. – Za co mnie tak karzesz, Belzebubie? Przecież byłem niegrzeczny.

Duszyczka wcisnęła hamulce, aż Larden zsunął się z siedzenia i z jękiem wpadł na tablicę.

– Gdzie skręcamy? Jakiś skrót? Bo do rezydencji jeszcze ładny kawałek prosto.

Larden z powrotem wygramolił się na siedzenie.

– A przed bramą pewnie stoi piękny komitet powitalny. Henne już jest u Eskenezera i donosi, szpicel jeden. Za moment będzie na nas czekać cała grupa pod wezwaniem.

Duszyczka zredukowała bieg i samochód toczył się wolno po kamiennej drodze. Było jeszcze dość jasno,

choć dzień powoli zmierzał ku końcowi. Diabły bez pośpiechu szły drogą, zajęte swoimi sprawami i nie zwracały uwagi na samochód.

– Widzisz ten czerwony, ceglany budynek po lewej? Taki wysoki, bez okien. Skręcisz za nim.

Nie zwracając sobie głowy migaczem, Duszczyka wjechała na wąską, gruntową drogę prowadzącą pod górę. Po obu stronach biegł mur i gdyby cokolwiek jechało z przeciwną, nie byłoby szansy się minąć, ale liczyła na to, że terenówce Azazela każdy ustąpi. Po kilkuset metrach diabeł kazał jej wjechać na niewielki plac i zaparkować pod latarnią.

– Nie bawimy się już w chowanego? – zdziwiła się.

– Nie bawiliśmy się ani przez chwilę – powiedział Larden poważnie. – Po pierwsze Henne wie, dokąd chciałaś jechać, po drugie nie sądzisz chyba, że piekło nie zna ulubionego samochodu Azazela i nikt nie doniesie gdzie nas widziano, po trzecie takie cacko na pewno jest wyposażone w GPS i Eskenezer dokładnie wie, gdzie jesteśmy. Musieli się czegoś nauczyć, od kiedy ukradłaś terenówkę Pięknego.

– To po co to wszystko? – burknęła rozczarowana, machając ręką wkoło. Na przezwisko Azazela nie zwróciła uwagi. To już nie była jej sprawa. – Wysadziliśmy Kurczaka po to, żeby nas zaraz dopadł Eskenezer?

Larden cmoknął z niezadowolenia.

– Siedzisz z nami od lat, nawet mieszkasz z diabłem, a dalej nie rozumiesz piekła. Musimy choć przez chwilę pogadać bez świadków, kobieto Azazela, bo sama nic nie widzisz. Lada chwila będziesz miała na karku Belzebuba, a to już nie jest ani trochę zabawne.

– Co ja mu znów zrobiłam? – zjeżyła się. – Ciągłe się mnie czepia.

Oderwała ręce od kierownicy i położyła je na kolana.

– Tym razem ma powód. Zamierzasz wrócić do nieba? Kiwnęła głową.

– Tak. Myślę, że jeszcze dziś, bo nie mam gdzie spać. Poza tym żebra mnie bardzo boją, a tu trudno o chwilę spokoju. Muszę odpocząć.

– Dobrze robisz. Postaraj się zniknąć stąd na jakiś czas, póki sprawa twoich kropek nie przyschnie.

– Co mają moje kropki do Belzebuba? – zdziwiła się.

– Błogosławieni słabi na umyśle, albowiem ich jest królestwo niebieskie. I pomyśleć, że kiedyś wydawałaś mi się nawet niegłupia. – Larden poprawił się na fotelu, marszcząc nos z dezaprobatą. – Zwykłe kropki na nikim nie robią większego wrażenia. Budzą szacunek, owszem, ale nie zagrażają pozycji tych na górze. Za to już twoje dwie blizny po mieczu Gabriela czynią cię osobą wyjątkową. Nikt inny ich nie ma, bo nikt starcia z nim nie przeżył.

Duszczyka opuściła wzrok na dwie jasne kreseczki na przedramieniu, znaczące miejsca draśnięcia.

– Ale to ja sama się pokaleczyłam, kiedy się przewracałam – zawołała zdziwiona, że ktoś mógłby tego nie wiedzieć. – To nie są blizny z walki, tylko z tego, że jestem gapa! Przecież gdyby Gabriel chciał, spaliby mnie w jednej chwili. Nie przypisuję sobie jakichś szczególnych zasług z ich powodu.

– Nieważne jak je zdobyłaś – tłumaczył diabeł z rosnącą niecierpliwością. – Masz je. A teraz dostałaś czerwoną kropkę za demona i komandosi ci się uklonili na dziedzińcu. Kwatermistrz powiedział, jak mi nowe ciuchy wydawał, że chłopaki uznali cię za kogoś lepszego niż oni.

– No i? – nadal nie widziała w tym żadnego niebezpieczeństwa.

– Belzebub nie toleruje konkurencji. Żadnej, nawet tak mizernej, jak ty. Nienawidzi porównywania się z kimkolwiek, a to tego nieuchronnie dojdzie. Nie zaprzeczysz, że wyrosłaś ponad tłum.

– Żartujesz, prawda?

Larden nie zdążył odpowiedzieć, gdy drzwiczki samochodu otworzyły się gwałtownie, szarpnięte czyjąś silną ręką, a on sam został chwycony za kołnierz koszuli, wyrwany z fotela i bezceremonialnie rzucony na kamienny bruk placu, jak szmaciana kukła.

Potęźnie zbudowany mężczyzna w czerni wskoczył do samochodu, zatrzasnął za sobą drzwi. Duszczyka zamarła w bezruchu, rozpaczliwie zastanawiając się, co ma do obrony oprócz, bezużytecznych w tej sytuacji, gołych pięści. W zasięgu wzroku znalazła tylko lusterko wsteczne, z którego natychmiast zrezygnowała, bo i tak nie zdążyłaby go w porę urwać. Mężczyzna pochylił się ku niej i znajomym głosem warknął:

– Co ty, do cholery, wyrabiasz?

Spojrzała na niego trochę przytomniej.

– Też się cieszę, że cie widzę, Eskenezere. Dobrze, że jesteś...

– A więc jednak – spojrzał triumfalnie.

– ...bo chciałam cię spytać o to samo – przerwała mu. Wydawała się niezadowolona, co diabła zdziwiło.

– Pozbyłaś się kierowcy, choć nie rozumiem czemu, a ten bezużyteczny kaleka ci w tym pomógł. Będę jednak musiał go...

Duszczyka uniosła obie ręce w geście protestu. Była gotowa podrzeć na sobie ubranie i położyć się przed wulkanem, czy gdziekolwiek indziej, byle nie dopuścić do egzekucji Lardena.

– Skoro mi w tym pomógł, to widać nie taki znów bezużyteczny – powiedziała z drwiną. Jeszcze nie ochłonęła i nie mogła tak od razu wybaczyć diabłu, że ją przestraszył. – To po pierwsze. A po drugie podzię-

kuj mu, że uratował kierowcy życie. Gdyby nie Larden, musiałabym tego gnoja drugi raz zabić.

Tego się Eskenezer zupełnie nie spodziewał. Wprawdzie oczekiwał oporu, ale nie gróźb. Milczał, pod maską obojętności starając się ukryć zaskoczenie i czekał na dalsze wyjaśnienia. Nie wątpił, że Duszydzka nie odmówi sobie kąśliwego komentarza, bo najwyraźniej coś po stronie piekła zostało sknocone.

– Czy wiesz, kto był naszym kierowcą? – zaczęła.

– Henne.

– A kto go wybrał do tego zadania? – Duszydzka przechyliła głowę, spoglądając na niego spod oka. Wyglądała, jakby szykowała się do ataku.

– Braten pytał o ochotników. Zgłosiło się całkiem sporo, ale Henne był najszybszy. Czemu mówisz, że znów być go zabiła? Czy on...

– No właśnie, Szerloku! Henne to moja trzecia, czy może czwarta kropka. W każdym razie to jeden z tych dwóch durniów, których wysadziłam granatem, jaki sam mi dałeś. Chyba ma do mnie żal – westchnęła teatralnie. – No i jeszcze zdmuchnęłam mu sprzed nosa tego Chińczyka, który go wytatuował. Mieszka teraz u Azazela, maluje swoje żurawie i Henne nie może się na nim zemścić.

Eskenezer zacisnął usta, zły na siebie. Widział Hennego przy samochodzie, ale go nie skojarzył, a powinien.

– Gdyby nie pomyśl Lardena – kontynuowała podejrzenie radośnie – musiałabym poderżnąć mu gardło, skoro teraz już wiem jak to poprawnie zrobić.

Kłamstwo było dla Eskenezera dość oczywiste, choć nie mógł prorokować, co Duszczyka mogłaby popełnić, postawiona pod ścianą. Mimo wszystko nie chciałby się zakładać. Przez chwilę siedział milczący i nieruchomy, wpatrzony w szare oczy dziewczyny. Duszczyka starała się przyjąć możliwie najbardziej niewinną minę, choć czuła, że słabo jej to wychodzi.

– Dokąd chcesz teraz jechać? – diabeł zmienił temat. W bocznym oknie ukazała się twarz Lardena, który z braku rąk musiał pozostać na zewnątrz.

– Do rezydencji i do kopalni, choć jeszcze nie zdecydowałam, w jakiej kolejności.

– Zawiozę cię – zaoferował się Eskenezzer, zadowolony, że może się przydać.

– Dziękuję ci za dobre chęci, ale nie – powiedziała twardo. – Sama umiem prowadzić.

– Nie możesz jechać sama – wybuchnął. Bezsilna złość zaczynała brać w nim górę. Chyba jeszcze nigdy nie udało mu się nagiąć jej do swojej woli i zaczynał rozumieć, czemu Belzebub jej nie znosi.

– Nie sama. Pojadę z Lardenem – ucięła stanowczo.

Diabeł, jakby czując, że o nim mowa przysunął twarz bliżej szyby. Nie widział miny Eskenezera, ale to, co

czytał z ust Duszczyki, było wystarczająco ciekawe.

– Larden nie może ruszyć ręką ani nogą. Po co ci on?
– spytał Eskenezer.

– Ale ma mózg, który nieźle działa. Coś mi uświadomił. Czy ty się zastanawiałeś, jaka będzie reakcja Belzebuba na ostatnie wydarzenia?

Oczy Eskenezera zwięzły się, dając Duszczyce pewność, że zrozumiał, co próbuje mu powiedzieć. Doskonale zdawał sobie sprawę jak paskudne mogą być konsekwencje awansu Duszczyki na bohaterkę piekieł. Rozumiał, że przede wszystkim, trzeba zabrać dziewczynę z zasięgu długich rąk Władcy i to szybko.

– Kiedy wracasz do siebie?

– Chciałabym jeszcze dziś. Muszę tylko zobaczyć się z Azazelem i zabrać z rezydencji moje brylanty – skłamała. – Proszę, odwołaj wszystkich, którzy tam na nas czatują.

Eskenezer skinął głową. Im prędzej się zgodzi na jej warunki, tym szybciej ona stąd zniknie.

Chwilę później patrzył na oddalające się tylne światła terenówki, unoszące Duszczykę i jej beużytecznego ochroniarza w ciemniejące otchłanie piekieł.

Azazel stał w ciasnym korytarzyku przed salką, w której, jak powiedział mu przed chwilą zdyszany dyżurny kierownik, czekała na niego Duszczyka. Serce

waliło mu o żebra ze szczęścia, ale i ze strachu. A jeżeli nie przysłała się z nim pogodzić, tylko wykrzyzczyć mu w twarz co myśli i odejść? Była w piekle już czwarty dzień, ale aż do teraz nie znalazła nawet chwili, by się z nim zobaczyć. To źle wróżyło.

Otarł brudne dłonie o ubranie i przeczesał włosy palcami. Wiedział, że wygląda źle, ale nie miał czasu doprowadzać się do porządku. Uśmiechał się do siebie, choć wiedział, że nie wypada, by zachowywał się jak rozradowany uczeń na wieść o odwołanych lekcjach. Wziął głęboki oddech, przybrał poważną minę i naciśnął klamkę.

Pośrodku salki, w trupim świetle jarzeniówek stała Duszczyka, jakiej się nie spodziewał. Doniesiono mu, że ogoliła głowę, ale widok łysej czaszki był mimo wszystko zaskoczeniem. Zamiast czarnego uniformu, o jakim wspominał Yertes miała pstrokatą sukienkę z rękawkami ozdobionymi falbanką, istną kwintesencją dziewczęcości, jakiej nie znosiła. Nigdy wcześniej nie wdział jej w czymś podobnym i nagle wydała mu się obca, jakby znał ją tylko z fotografii.

Na widok brudnego i wymizerowanego Azazela Duszczyka poczuła ucisk w żołądku. Wszedł do sali z obojętnym wyrazem twarzy i zatrzymał się przy drzwiach. Wyglądał na zdziwionego, ale nie wiedziała, czy to jej wygląd go zaskoczył, czy zobaczył jeszcze coś, o czym

nie miała pojęcia. Przyglądał się intensywnie, jakby czegoś szukał w jej twarzy. Najwidoczniej nie znalazł, bo światło w jego oczach zgasło.

Dłuższą chwilę stali w milczeniu, nie wiedząc, co powiedzieć. Pierwsza odezwała się Duszydzka, choć czuła suchość w ustach i głos jej ochrypl.

– Dzień dobry, Azazelu – zaczęła niezręcznie, chcąc przełamać ciszę.

Diabeł uklonił się sztywno na powitanie, unosząc dłoń do serca. Podobnie kłaniał się zawsze Belzebubowi. Na samą myśl o Władcy poczuła jak zaciskają jej się szczęki.

– Cieszę się, że mam okazję cię zobaczyć, Duszydzko. Wiem, że nie tak to powinno wyglądać, nie w takich okolicznościach – zaczął Azazel, któremu też brakowało słów, ale chciał przynajmniej spróbować wszystko naprawić, nawet jeśli wyraz twarzy jego ukochanej świadczył, że nieodwołalnie ją utracił. – Chciałem cię teraz prosić o wybaczenie, bo następna okazja może mi się nie trafić. Nie ma usprawiedliwienia dla tego, co zrobiłem. Wybacz mi, proszę, jeżeli możesz. Jesteś moim najcudowniejszym wspomnieniem z ostatnich kilku tysięcy lat. Zawsze czekałem na kogoś takiego jak ty i kiedy cię straciłem, poczułem się, jakbym stracił połowę siebie.

– Mam prośbę – przerwała mu. Nie była w stanie

dłużej tego słuchać, a nie chciała tak po prostu się rozplakać.

– Co tylko chcesz.

– Powinieneś wrócić do domu. – Nie poznawała własnego głosu. Mówiła sucho, jakby jej to nic nie obchodziło, a tymczasem z trudem się powstrzymywała, żeby do niego nie podbiec, nie przytulić się i nie zapewniać jego i siebie, że wszystko będzie dobrze. Zrozumiała, że nadal kocha go całą sobą, nie za coś, ale pomimo czegoś i że to uczucie przetrwa po kres świata.

– Nie wróce, skoro nie mogłaś mi wybaczyć. Już tu zostanę – uśmiechnął się smutno.

– Ależ ja ci wybaczyłam.

Diabeł przyjrzał jej się jeszcze raz i bez słowa pokręcił głową.

– Wybaczyłam ci, że mnie uderzyłeś, bo rozumiem skąd ci się wzięła ta chwila, nazwijmy to, słabości, choć właściwie powinnam powiedzieć ‘przemocy’. Ale z trudnością przychodzi mi wybaczenie, że zarzuciłeś mi zdradę i kłamstwo. Przez te kilka lat, jakie spędziliśmy razem, nie oszukałam cię ani razu. Widać każdy sądzi według siebie.

Kiedy to powiedziała, poczuła się podle, ale z jakiegoś powodu Azazel nie reagował na jej brudny cios poniżej pasa.

– Jesteś dla mnie największą świętością, o ile diabeł

może mieć coś świętego. Kiedy pomyślałem, że byłaś z kimś innym i że on... że nosisz jego... – urwał i odwrócił wzrok. Do tej pory nie mógł o tym spokojnie myśleć. Będzie musiał przywyknąć, bo Duszczyka może teraz robić co zechce. Może znaleźć sobie mężczyznę i żyć z nim. Próbując odpędzić tę straszną wizję spojrzął na brudny sufit, na którym mrugały zepsute świetlówki i zacisnął pięści. Sam był sobie winien, a kara, jaką na siebie nałożył, i tak nie wydawała mu się adekwatna do winy. – Przepraszam cię. Straciłem wtedy rozum.

– Wracaj do rezydencji – powtórzyła.

– A ty? Przyjdziesz do nas?

Pokręciła głową.

– Przyszłam, bo chcę, żebyś wrócił do domu. Ja się jeszcze dziś przekradnę do nieba i będę udawała, że byłam tam cały czas. Larden powiedział mi któregoś dnia, że nie pasuję ani tu, ani tam. Miał rację. Do zobaczenia Azazelu, dbaj o siebie.

Poczuła, że trzęsą jej się usta. Gwałtownie odwróciła się na pięcie i wybiegła z pokoju. Bała się, że za chwilę się rozplacze, albo przytuli do niego. A najpewniej i jedno, i drugie.

– Do zobaczenia? Myślisz, że to kiedyś nastąpi? – spytał diabeł cichym głosem, ale Duszczyka już tego nie słyszała.

Oślepią łzami przebiegła przez korytarz prowa-

dzący obok biura uprzejmego kierownika kopalni i nic jej nie obchodziło, co on sobie może o niej pomyśleć. Nie zwracając uwagi na gapiące się na nią diabły wypadła na zewnątrz i nie zwalniając ani na moment, dopadła do samochodu. Żebra bolały przy każdym oddechu, jakby ktoś dźgał ją nożem. Próbowwała oddychać płytko i powoli, ale bez większego powodzenia.

Larden, widząc panikę na jej twarzy, oczekiwał co najmniej zbrojnego pościgu i zdziwił się, gdy za dziewczyną wyszedł przed kopalnię tylko dyżurny kierownik, również zdziwiony, jak on sam. Duszyczka zatrzasnęła za sobą drzwiczki i sięgnęła do kluczyka. Silnik zakręcił raz i drugi, ale nie zapalił. Przez chwilę siedziała nieruchomo, próbując się opanować, ale emocje przerwały tamę i dziewczyna zaczęła walić pięściami w kierownicę, krzycząc histerycznie.

Diabeł nie próbował jej powstrzymać. Przyglądając się spod oka spokojnie czekał, aż wybuch minie. W końcu Duszyczka oparła się czołem o kierownicę i zwyczajnie rozplakała.

– Beczysz – rzucił Larden oskarżycielsko, szturchając ją w ramię kikutem.

– Och, zamknij się, kretynie!

Uderzyła go pięścią, żalując, że nie ma przy sobie bata, albo jeszcze lepiej, siekiery. Powoli się uspokajała, pociągając nosem i rozmazując łzy po twarzy, a dia-

beł czekał, patrząc przed siebie. Gdy wreszcie ucichła, odwrócił się w jej stronę i wskazał na niknącą w oddali drogę.

– Rusz się wreszcie, kobieto. Jedź do koszar, oddaj samochód Eskenezzerowi i znikaj do nieba. – Starał się powiedzieć to sucho i obojętnie, ale gdzieś pod spodem w jego głosie pobrzmiwała pogarda. – Czy ty w ogóle wiesz, o co ci w życiu chodzi?

Duszczyka milczała. Była na siebie zła za ten wybuch, ale przynajmniej teraz, kiedy emocje się przelały, mogła jaśniej myśleć. Uspokojona, odwróciła się w stronę Lardena, chcąc spytać go o drogę do koszar, ale diabeł nie zamierzał tak łatwo porzucać tematu.

– W taki sposób z Azazelem nie wygrasz.

– Wygrać, to ja mogę co najwyżej gminne wyścigi z jajkiem na łyżce – powiedziała z irytacją. – Tu wcale nie chodzi o to, żeby ktoś wygrał. Naprawdę nie rozumiesz?

Tępotą Lardena była wkurzająca, ale nie wiedziała, jak mu wyjaśnić, że naprawdę kocha Azazela, a jednocześnie go nienawidzi za to, co zrobił, za stracone złudzenia, że istnieje miłość idealna, za szczęście rozbite w drobny mak i za niepewność, czy rzeczywiście chce je posklejać.

Siedzieli obok siebie, milcząc. Larden dawał jej czas na ochłonięcie i czekał. Mimo wszystko wołał być z nią,

niż znów tłumaczyć się Eskenezerowi z rzeczywistych czy urojonych przewinień. Duszczyka próbowała westchnąć, żeby uspokoić się do reszty, ale ból w żebrach zmusił ją do natychmiastowego wypuszczenia powietrza. Mglista i jeszcze niekonkretna myśl, która właśnie przysła jej do głowy, była zupełnie szalona, a jednak warta by spróbować z niej skorzystać.

– Wiesz... – zaczęła niepewnie, próbując jakoś samej sobie wyjaśnić, co zamierza i usprawiedliwić to przed własnym, kłapiącym ostrymi zębami sumieniem. – Mefisto powiedział mi kiedyś: „Jeżeli chcesz go ukarać, to baw się dobrze, tylko uważaj, żebyś przy okazji jeszcze bardziej nie ukarała samej siebie.”

– Niegłupi facet – mruknął diabeł pod nosem.

– Jak ostatnim razem uciekłam z piekła, to gdzieś po dwóch miesiącach przestałam się jąkać. Nie pozwolę, żeby to się powtórzyło. Jedziemy do Rezydencji.

– Jąkałaś się? – zdumiał się Larden.

– Przenośnia. Znasz takie słowo? – spytała, przekręcając kluczyk. Silnik zaskoczył i auto z pomrukiem potoczyło się w skąpane w czerwonym blasku piekło. Duszczyka otworzyła okno i wpadający do środka wiatr przyniósł ze sobą metaliczny zapach wulkanu, lekki zapaszek siarki i jeszcze coś, czego nigdy nie umiała zidentyfikować, a co w jej opinii stanowiło kwintesencję tego miejsca.

Larden co jakiś czas rzucał instrukcje, kierując dziewczynę we właściwą stronę, a ona przez drogę opowiadała mu, co zamierza zrobić na pożegnanie. Nie zajmowała się techniczną stroną zagadnienia, pozostawiając to diabłu, jakby automatycznie założyła jego współudział. Kiedy umilkła, rozważał przez chwilę co powiedziała, aż Duszczyka popatrzyła na niego, zaniepokojona. Utrata niezawodnego towarzysza jej ostatniego szaleństwa byłaby bolesna. Gorzej. Bez niego wzięłby w łeb cały piękny plan, jaki właśnie zrodził się jej w głowie. W przeciągającej się ciszy było słychać tylko szum samochodu i dźwięk klaksonu, którym Duszczyka ostrzegała kręcące się przy drodze diabły, że nie zamierza się z nimi liczyć.

– Pomożesz? – spytała w końcu z nadzieją i zaraz dodała pospiesznie. – Jeśli nie chcesz, to oczywiście zrozumiem. Przepraszam, w twojej sytuacji w ogóle nie powinnam ci tego proponować. To było głupie marzenie, zapomnij.

– Wchodzę w to – w głosie Lardena dźwięczał śmiech.

– Podobasz mi się, kobieto.

– Byle nie za bardzo.

Zatrzymali się przed zamkniętą bramą rezydencji. Duszczyka przez chwilę patrzyła bez słowa, przypominając sobie jak bardzo była szczęśliwa przechodząc przez nią po raz pierwszy i jaka rozpacz ją przepelniała,

gdy odchodziła.

– Samym patrzeniem na wodę ryby nie złowisz – stwierdził Larden filozoficznie, znużony bezczynnością.
– Jak chcesz coś zrobić, to zaczynajmy. Może będziemy mieli szczęście i Eskenezar jednak nie uzna, że to głupie.

– A co on ma do tego?

– Słuszna uwaga. W ogóle nie powinno go to obchodzić. – Uderzył kikutem w szybę. – Jak chcesz, żebym się przyłączył, to otwórz mi te cholerne drzwi!

Stała przed rezydencją Azazela i przyjrzała jej się po raz ostatni. Była szkaradna i dowodziła, że pieniądze i dobry smak nie zawsze idą w parze. Ulepszana i poprawiana przez stulecia, stanowiła teraz koronny przykład złego gustu. Kiedy kolejna kochanka Azazela chciała mieć wieżyczkę, dostawała ją, wymieniano okna, dobudowano pomieszczenia. Widać znający się na rzeczy architekci z rzadka trafiali do piekła, bo całość wołała o pomstę już nie do nieba, ale wręcz do Belzebuba. Azazelowi było najzupełniej wszystko jedno co było robione z rezydencją, dopóki zmiany nie sięgały jego gabinetu i pomieszczeń sekretarza.

Kiedy Duszczycka tu zamieszkała, nie zmieniła absolutnie nic, ku zaskoczeniu Azazela, przekonanego, że każda kobieta koniecznie musi jakoś zaznaczyć swoją obecność. Uznawał to za formę znakowania terenu.

Dziewczyna zastanawiała się teraz, z czego wynikał u niej brak potrzeby, żeby odcisnąć swoje piętno i pokazać piekłu, kto jest tu teraz panią.

– Widać nie czułam się u siebie – szepnęła z uśmiechem. – Otwórz – rzuciła do stojącego po drugiej stronie bramy strażnika.

– A kto każe? – spytał z wyższością łysą kobietę, którą wziął za włóczącą się diabolicę, nie wiedzieć czemu wystrojoną, jak na bal przebierańców.

– Duszyczka.

Strażnik podskoczył jak oparzony i złapał pilota od bramy. Zanim Azazel gdzieś przepadł, najsurowiej nakazał wszystkim spełnić każde, ale to absolutnie każde, życzenie swojej kobiety, gdyby się pojawiła. Trudno o wyraźniejszy rozkaz.

Skrzydła bramy zaczęły się rozsuwać i Duszyczka, nie czekając aż całkiem się otworzą, weszła do środka, a Larden deptał jej po piętach. Odkąd opuściła dom, nic się tu nie zmieniło, tylko światła w oknach brakowało. Rezydencja stała cicha i mroczna i najwyraźniej umarła wraz z mieszkającą tu kiedyś miłością. Z irytacją otrząsnęła się z myśli, które uznała za zbyt melodramatyczne. Powoli otworzyła drzwi i przekroczyła próg. Lekko pachniało kurzem i opuszczeniem, jakby nawet służba przestała wierzyć w powrót właścicieli.

Z dziedzińca dobiegał głos Lardena, który rozmawiał

z kimś przez telefon pożyczony od strażnika. Nieszczęśnik będzie miał za swoje, kiedy Eskenezer się połapie, ale odsunęła od siebie wyrzuty sumienia. W końcu strażnik to tylko diabeł i dobrze mu robi, kiedy raz na jakiś czas ktoś mu wykręci świński numer. Uspokojona, weszła w głąb wysokiego holu i rozejrzała się niepewnie. Brak służby mógł całkowicie pokrzyżować jej plany, bo zostało niewiele czasu z limitu, jaki sobie wyznaczyła.

– Czy ktoś tu jest? – zawołała z niepokojem. – Hop hop...

Głuchy pogłos niósł się po pustym domostwie i nagle gdzieś od piwnic rozległ się pospieszny tupot drewnianych butów. Drzwi prowadzące do kuchni i pomieszczeń gospodarczych otworzyły się gwałtownie i z łoskotem uderzyły o ścianę. Felicja stała i patrzyła na łysą kobietę, jak na zjawę z innego świata, aż w końcu podbiegła i Duszczyka miała wrażenie, że rzuci jej się na szyję, ale w porę przypomniała sobie o dobrych manierach.

– Pani! Pani wróciła! Chodźcie wszyscy! – krzyczała na cały głos, dzieląc się dobrą nowiną z resztą domowników.

W kilka sekund całą służba zebrała się w holu. Uśmiechali się i nawzajem poklepywali po ramionach. Duszczyka poczuła się jak ostatnie prosię na myśl, co zamierza zrobić, ale nie chciała się wycofać w pół drogi.

– Nie wróciłam na dobre. Jeszcze nie – zgasiła ich

radość. – Najpierw muszę tu zrobić remont.

Z gabinetu Azazela wyłonił się jego sekretarz, Neferes, słusznie przez wszystkich zwany Dupkiem. Duszyczka nie była wyjątkiem i nie znosiła tego wrednego buca całym sercem.

– Jaki znów remont? Ja się nie zgadzam.

– Twoja zgoda nie jest mi potrzebna do szczęścia – zbyła go machnięciem ręki. – Spakujcie wszystkie rzeczy i wynieście do garaży. Wasze osobiste też, jeśli coś macie. Pospieszcie się, proszę, bo za godzinę przyjeżdża ekipa remontowa.

– A meble?

– Wynieście. Jeżeli potrzebujecie ludzi, weźcie strażników od bramy. I tak nie mają czego pilnować. Ja się spakuję sama.

Nie słuchając protestów Neferesa, którego zbyła wzruszeniem ramion, Duszyczka pobiegła na górę i w kwadrans byle jak upchnęła wszystkie ubrania do wielkich walizek. Długo stała przed sejfem z biżuterią, zanim zdecydowała się go otworzyć. Azazel nie zmienił szyfru i drzwiczki odskoczyły z cichym syknięciem. Na wierzchu leżał jej ulubiony naszyjnik z różowych brylantów, ten sam, który odchodząc, rzuciła przy drzwiach. Powoli wzięła go do rąk i delikatnie gładziła palcami. Był czymś więcej niż tylko klejnotem. Był symbolem. Poczowała łyzy pod powiekami i zamrugowała, żeby się

nie rozplakać.

Głośne pukanie do drzwi sprawiło, że jednym ruchem zatrzasnęła sejf, a rękę z naszyjnikiem schowała za siebie. W drzwiach stała Felicja.

– Nie wiemy, co z portretem, proszę pani.

– Już biegnę.

Duszczyka z trudem wcisnęła brylanty pod bandażę na piersiach i pobiegła na dół. Ogołocony z mebli salon sprawiał dziwne wrażenie. Był obcy, nieproporcjonalnie duży i pozbawiony charakteru. Został jedynie osadzony w ścianie na stałe portret Duszczyki siedzącej w fotelu i czytającej książkę. Miała na sobie perłową sukienkę i nieodłączne różowe brylanty. Zupełnie o nim zapomniała i teraz aż się uśmiechnęła na ten widok. Będzie stanowił ukoronowanie jej pomysłu.

– Zdemontujcie go i wynieście.

Za bramą rozległ się klakson furgonetki z firmy remontowej.

Duszczyka i Larden, zmęczeni i zakurzeni wyszli przed dom. Furgonetka z wynajętymi do zadania diabłami odjechała chwilę wcześniej, nie pozostawiając im wyboru, jak tylko brnąć dalej w to szaleństwo. Stali pośrodku miejsca zwanego szumnie ogrodem, gdzie plastikowe trawniki i sztuczne drzewka stwarzały iluzję prawdziwej przyrody. Od jej wyjazdu nikt ich nie mył

i stały teraz zakurzone i poszarzałe, jak drwina z marzeń.

– Pozał się Belzebubie ogród – prychnęła pogardliwie. – Wtedy jeszcze myślałam, że... – urwała nagle i bezradnie popatrzyła na Lardena. – Nie wiem, co myślałam, głupia byłam i tyle. Chodźmy stąd. Ile mamy czasu?

– Jakiś kwadrans. Potem lepiej, żeby nas tu nie było.

Larden chodził już nieco lepiej i tylko jego ręce nadal wyglądały fatalnie, za to na twarzy gościł mu wyraz spełnienia i satysfakcji.

– Dwójka wariatów – skomentowała Duszczyka z uśmiechem. Zgodnie wyszli za bramę, a strażnik zamknął ją i zgodnie poleceniem schował się w swojej budce.

Na zewnątrz, w blasku latarni, stał Belzebub oparty ramieniem o słup i patrzył na oboje płonącymi czerwienią oczami. W ręce trzymał niedopałek cygara, którym pstryknął w Lardena i trafiony diabeł natychmiast pokuśtykał poza zasięg głosu. Patrzył na Władcę z daleka, gotów podejść, gdyby go wezwano, ale Belzebub najwyraźniej odprawił go na dobre i zajął się Duszczyką. Pozbawiony zegarka Larden nie wiedział ile czasu im zostało i zaczął liczyć w myślach upływające sekundy, błagając wszystkie mroczne siły, by rachunek był poprawny. Nie wiedział, co niby miał zrobić, by odciągnąć

Władcę od Duszycki i po raz pierwszy pomyślał, że jej szalony pomysł może faktycznie jest głupi.

– Kogo widzę? – powiedział Władca cichym głosem, przywołując Duszyckę gestem. Podeszła i zatrzymała się krok przed nim, zadzierając głowę, żeby spojrzeć mu w twarz. Był potężnym mężczyzną, przerastającym ją o dwie głowy i zawsze czuła się w jego obecności zupełnie bezbronna. Uświadomiła sobie właśnie, że bezradność była główną przyczyną jej nienawiści i że wreszcie uwolniła się od tego uczucia. Było jej wszystko jedno, co się z nią stanie, więc nie miała powodu, by się go bać.

– Witaj, panie – powiedziała spokojnie. Kiedy wcześniej zwracała się do niego, w jej głosie zawsze pobrzmiwała ledwie skrywana drwina, jakby od początku kwestionowała jego tytuł i władzę. Teraz powiedziała to z przekonaniem i Belzebub usłyszał różnicę. Zdawało się, że go to zaskoczyło, jakby po kobiecie Azazela zupełnie nie tego się spodziewał.

Nie odzywając się, wyciągnął rękę i kciukiem potarł jej czerwoną kropkę na czole. Duszycka cofnęła się o pół kroku, ale Belzebub błyskawicznym ruchem położył jej dłoń na ramieniu i niemal wbijając szpony w ciało, zmusił, by się znów zbliżyła. Tusz lekko rozmazał się jej na skórze, a on, nie wiedzieć czemu, wydawał się z tego zadowolony.

– Wolałabym, żebyś mnie nie dotykał – powiedziała

twardo, patrząc mu w oczy. Płonęły czerwono, ale teraz już nie napawały jej tym obezwładniającym i odbierającym zdolność myślenia przerażeniem, jak wtedy, gdy stanęła przed nim po raz pierwszy.

– Chcesz zachować czystość dla niego?

– A nie wszystko ci jedno, panie? – Próbowała wzruszyć ramionami, ale dłoń Belzebuba uniemożliwiła jej to. Poczł jednak jej ruch.

– Zmieniłaś się.

Kiwnęła głową i odwróciła wzrok, patrząc na cichą i mroczną rezydencję ze ślepyimi, czarnymi oknami, w których coś zdawało się czaić. Belzebub ujął jej brodę i podniósł twarz ku sobie.

– Patrz na mnie, kiedy do ciebie mówię.

Nie bronila się przed nim. Czula, że musi mu coś wyjaśnić, zanim stąd odejdzie na zawsze.

– Kiedyś nasze relacje opierały się na strachu i nienawiści. Ja się ciebie bałam, a ty mnie nienawidziłeś. Zresztą ja ciebie też – dodała w odruchu szczerości.

– Nie boisz się mnie już?

– A co złego jeszcze możesz mi zrobić? – spytała, patrząc mu w oczy. Brwi Belzebuba zbiegły się w jedną, pełną niezadowolenia linię. – Zabrałeś mi ziemskie życie, potem straciłam Azazela i nawet dzieci nigdy nie będę miała. Możesz jeszcze tylko strącić mnie do wulkanu, ale może tak byłoby teraz najlepiej.

– Może – szepnął Belzebub, jakby ta myśl wydawała mu się kusząca i nagle się uśmiechnął, ukazując wydłużone kły, przywodzące na myśl drapieżnika. Azazel ostrzegął ją kiedyś, że Władca uśmiecha się tylko wtedy, gdy znajdzie dobre pole do ataku. Czekala skąd spadnie cios, ale jeszcze się nie bała.

Wokół nich panowała cisza i bezruch. Ktokolwiek zobaczył z daleka Władcę, wycofywał się, nie chcąc bez potrzeby wchodzić mu w drogę i piekło w zasięgu wzroku zdawało się wymarłe. Duszyczka rozejrzała się dookoła, ale nawet Lardena nie było nigdzie widać. Nie miała mu za złe, że ją porzucił w takim momencie. W końcu, co mógłby zrobić przeciw Belzebubowi? Nawet jeszcze mniej, niż ona.

Władca powoli uniósł rękę i opuszką wskazującego palca, delikatnie, jakby piórkiem rajskiego ptaka, powiódł po brzegu jej ucha. Dotyk wywołał dreszcz, biegnący po kręgosłupie i odbijający się echem gdzieś w głębi trzewi. Diabeł pochylił się lekko i wpatrywał badawczo w jej twarz, czekając na reakcję. Bawił się jak kot z myszą i Duszyczka zaczęła się zastanawiać kiedy i w jaki sposób przegryzie jej kark. Za wszelką cenę chciała ukryć, że wbrew sobie od tej chwili znów się go boi.

– Mogę zrobić jeszcze coś, czego nie wspomniałaś – powiedział, zbliżając do niej twarz. Jego palec sunął te-

raz po jej uchu w przeciwną stronę. – Mogę cię zabrać do siebie.

– Zawsze mówiłeś, że nie nadaję się na materac – próbowała się bronić.

– Możesz się nauczyć, choć to pewnie będzie bolało.

– Jeżeli się do mnie zbliżysz, będę musiała cię zabić – cichy głos Duszczyki brzmiał, jak namiętna obietnica kochanki.

– Wiesz, że jestem nieśmiertelny – szepnął, pochylając się ku niej.

– Wiesz, że i tak będę próbować.

Duszczyce zdawało się, że od strony rezydencji dobiega jakiś głos, ale miała nadzieję, że to tylko złudzenie. Trwali oboje z Belzebubem w dziwnym milczącym klinchu, jakby żadne z nich nie wiedziało, co dalej zrobić, a wszystko zostało już powiedziane. Za plecami diabła, na pobliskim wzgórzu dostrzegła kilka pełgających ogników, które zdawały się zbliżać. Nawet nie próbowała się domyślać, co to jest. W rozgrywce z Władcą nic nie mogło jej pomóc.

– Dlaczego pozwoliłeś Hauresowi żyć? Przecież możesz go zniszczyć jednym palcem – spytała, rozpaczliwie starając się zmienić temat i odwrócić od siebie uwagę.

– Demony to twoja specjalność.

Zdawał się niezadowolony.

– Daj spokój. – Duszczyka pokręciła głową próbując

go zniechęcić, ale Władca nadal delikatnie głaskał jej ucho. Było w tej pieśczoce coś głęboko erotycznego, co budziło jej sprzeciw. – Oboje wiemy, że nie dorastam ci do pięt na żadnym polu. Powiedz mi, dlaczego? – nalegała.

– W rządzeniu diabłami, ale i ludźmi, musisz mieć kij i marchewkę. Haures jest kijem, podobnie jak ghule czy Afrit.

– Nie znam go.

– Jej. To wiedźma, która rozszarpuje diabły gołymi rękami. Ty z kolei jesteś i marchewką i kijem za jednym zamachem. I dlatego pozwoliłem ci żyć. Mam z ciebie pewien pożytek, bo teraz Azazel jest bardziej sterowalny. Zresztą nie tylko on. – Przerwał, wpatrując się w nią badawczo. – Chociaż nigdy nie zrozumieć, co was oboje tak bardzo ku sobie pociąga.

Fakt, że Władca przyznaje się do jakiejś niewiedzy był zdumiewający, ale postanowiła tego nie komentować.

– Każdy ma taką miłość, na jaką jest gotowy, panie. Ja Azazela, a ty piekło. Gdybyś je nagle stracił, stałbyś tu z pustymi rękami, jak ja.

– Nie. Na pewno bym tak nie stał.

Ogniki zbliżyły się na tyle, by rozpoznała w nich żółte ślepiea ghuli. Ich obecność świadczyła, że coś jej grozi, choć zapewne nie Belzebub, bo jego nigdy by nie ata-

kowały. Nie zdążyła się nad tym zastanowić, gdy jakby spod ziemi usłyszała szybko następujące po sobie głu- che tąpnięcia i poczuła, że grunt pod stopami zafalował. Belzebub, nadal trzymający jej ramię szponiastą dłonią, zacisnął ją jeszcze mocniej i szarpnął w uniku. Na mo- ment owionęło ją pędzące powietrze i nagle znaleźli się kilkadziesiąt metrów w bok, za niskim murem będącym resztką zrujnowanego budynku.

Duszczyka odwróciła głowę, i bezskutecznie próbując wyślizgnąć się z uchwytu Belzebuba, wbiła zachłan- ny wzrok w rezydencję. Wybuch, który wstrząsnął grun- tem i sprawił, że zadygotała, zdawał się w najmniej- szym stopniu nie dotyczyć budynku. Z rozczarowaniem i złością patrzyła, jak stare mury trwają niezmienione, drwiąc ze wszystkich wysiłków. Szukała wzrokiem Lar- dena, ale w czerwonym półmroku piekła nie mogła go dostrzec.

Po chwili, która wydawała się trwać w nieskończo- ność, budynek wydał głębokie westchnienie i powoli, z cichą rezygnacją zapadł się w sobie. Chmura kurzu uniosła się nad gruzowiskiem i trwała w bezwietrznym powietrzu, póki drobinki pyłu nie opadły, odsłaniając ruinę rezydencji.

– A jednak się na tym znali.

Duszczyka uśmiechnęła się szeroko, niepomna obec- ności Belzebuba, który zacisnął palce na jej ramionach.

Przez twarz przebiegł jej skurcz bólu, gdy trafił na sińce, pozostawione przez Marimar.

Władca ruchem brody wskazał wylaniające się z pyłu ruiny.

– Rozumiem, że to twoja sprawka.

Skinęła głową z satysfakcją.

– Teraz mogę wracać do nieba.

– Więc jednak postanowiłaś się zemścić...

– Absolutnie nie! – wykrzyknęła, zaskoczona taką interpretacją. – Nie zrobiłam tego z zemsty, tylko...
– urwała, nie wiedząc jak to wytłumaczyć, by jej motywy stały się dla Belzebuba jasne. – Widzisz, panie, spotkałam się dziś z Azazelem. Miał ten nieszczęśliwy wyraz twarzy ludzi, którzy wiedzą, że zrobili źle i że kogoś skrzywdzili. Nie chcę, żeby przez resztę wieczności tkwił w tej głupiej kopalni i się zadreślał, więc chciałam zrobić coś, po czym mnie znienawidzi.

Władca patrzył na nią, jakby była wybrykiem natury, psem z dwoma głowami czy krową, której wyrosły skrzydła. Mówiła pospiesznie, chcąc go przekonać, zanim uzna, że zwariowała.

– Tylko to przyszło mi do głowy, może głupio, ale nie miałam czasu ani środków na nic lepszego – urwała, patrząc niepewnie. Pomysł nie wydawał jej się już taki dobry, ale było za późno.

– Chciałaś mu pomóc, więc rozwaliłaś jego rezyden-

cję, tak? Bo nie wiem, czy dobrze zrozumiałem.

Nie była pewna czy kpi, czy poważnie pyta. Energicznie pokiwała głową. Za bramą widziała poruszające się postaci służby i miała nadzieję, że zrobią dokładnie to, o co ich wcześniej poprosiła.

Ku jej przerażeniu, Belzebub odwrócił się ku niej i pochylił tak nisko, jakby chciał ją pocałować. Nigdy wcześniej nie była tak blisko niego, a ich twarze dzieliło teraz zaledwie kilka centymetrów. Pachniał cygarami i dobrą wodą kolońską i zdziwiła się, że zauważa takie nieistotne szczegóły.

– Właśnie uratowałaś sobie życie. Chciałem cię zabrać do siebie, potrzymać kilka dni, albo i tygodni, a potem ostatecznie usunąć w taki czy inny sposób.

Urwał czekając, aż sens tej informacji do niej dotrze i oczy rozszerzą się jej ze strachu. Jego niemal wilcze kły odsłoniły się w uśmiechu.

– Ale daruję ci życie, bo właśnie pięknie pomściłaś moją oranżerię, którą Azazel starł kiedyś rakietami z powierzchni piekła.

Uścisk na jej ramionach zelżał i Belzebub zniknął, nawet nie wywołując wiru powietrza wokół siebie.

– Dziękuję – krzyknęła za nim, niezdarnie gramoląc się przez murek w tej kretyńskiej sukience z falbankami.

Przez drogę szedł Larden lekko tylko utykając i pod-

nosząc rękę w geście triumfu. Duszyczka pędem pokonała dzielącą ich odległość i z okrzykiem zawisła mu na szyi, szczęśliwa, że jest obok ktoś, kogo nie musi się bać, nawet jeśli to tylko psychopatyczny morderca.

– Nie czas na uściski, kobieto, ogarnij się – jęknął Larden, który za żadne skarby nie przyznałby się, jaki ból sprawił jego nogom dodatkowy ciężar uwieszony u szyi. – Spadamy, zanim Azazel nas tu nakryje.

Kilka chwil później Duszyczka wyszła z ciemnej piwnicy niebiańskiego domu grafa von Holzengolzen na słoneczną ulicę i nie bardzo mogła uwierzyć, że to wszystko wydarzyło się naprawdę. Anioły ze zdziwieniem oglądały się za łysą dziewczyną w brudnej i podartej sukience, która szła uśmiechnięta, z podniesioną głową, jakby całe niebo należało tylko do niej.

Azazel stał przed bramą i nie wierzył własnym oczom. Z jego rezydencji została wielka kupa gruzów, a wszędzie wokół unosił się zgrzytający w zębach kurz i śmierdziało spalenizną. Podszedł bliżej. W niebo sterczały poczerńiałe kikuty kominów, jakby domagając się pomsty, resztki nośnych ścian wprawdzie stały jeszcze, ale tylko podkreślały ogrom zniszczenia. Gruz, szkło i ponapalane kawałki drewna zaścielały teren wokół domu, szumnie zwany przez Duszyczkę ogrodem, choć z poustawianych w nim sztucznych roślin nie przetrwa-

ło nic. Rezydencja Azazela została praktycznie starta z powierzchni piekła i tylko garaże i generatory prądu ulokowane w odległym końcu posiadłości pozostały nietknięte, jeśli nie liczyć dachów posiekanych gdzieś niedzie przez odłamki.

Nie rozumiejąc, co wywołało taką katastrofę i nie mogąc wydobyć głosu, ruszył wokół ruin, a szkło z potłuczonych witraży zgrzytało mu pod stopami. Kiedy obszedł już połowę gruzowiska, w jakie zamieniła się jego ulubiona rezydencja, natknął się na służbę i strażników, którzy byli tego dnia wyznaczeni do pilnowania bramy. Brudni i pokryci czerwonym pyłem, podnosili cegły, delikatnie opukiwali młotkami, żeby usunąć zaprawę i układali na równe kupki. Poczul, że robi mu się czerwono w oczach.

– Co to ma być? – ryknął? – Co wy wyrabiacie?

Podbiegł do Felicji i wytrącił jej z rąk pieczołowicie oczyszczoną cegłę. Z okrzykiem przestrachu dziewczyna odskoczyła w tył, ale diabeł był szybszy. Złapał ją za ramiona i potrząsnął tak silnie, że zadzwoniły jej zęby.

– Co tu się stało?

– Wybuchło – szept Felicji był ledwo słyszalny. – Brylanty...

– Co wybuchło? Jakie brylanty? – wrzasnął rozjuszony Azazel, dorzucając kilka przekleństw. – Wystarczy wyjść z domu na kilka tygodni i nie ma do czego

wracać! Które z was to zrobiło?

Od Felicji nie można już było uzyskać żadnej sensownej odpowiedzi. Nie zważając na odłamki szkła, uklękła przed diabłem, schyliła głowę i milczała, pochlipując. Za jej przykładem poszła reszta służby, a nawet stary Chińczyk i tylko strażnik biegiem wrócił do bramy, modląc się do Belzebuba o zmiłowanie za opuszczenie posterunku. Azazel klnąc najgorzej, jak umiał, jeszcze raz spojrzął na gruzowisko, szukając przyczyny takiej katastrofy.

Dopiero teraz zobaczył, że na samym szczycie tkwi żerdź, o którą ktoś oparł jego ulubiony portret Duszczyki czytającej książkę. Obraz był przekrzywiony i zdawało się, że lada chwila spadnie na leżące wokół szczątki.

Próbując uratować choćby tę jedną pamiątkę po ukochanej, Azazel wszedł na gruz i przelaząc przez połamane belki, ostrożnie posuwał się ku żerdzi. Kiedy dotarł na miejsce, zobaczył, że na portrecie ktoś jaskrawoczerwoną szminką napisał: „Teraz jesteśmy kwita”.

Azazel odchylił głowę do tyłu i wybuchnął głośnym, szczęśliwym śmiechem.

Pogodne dni w niebie płynęły spokojnie, bez wzlotów, jednakowe jak błękitno-złote koraliki na niekończącym się sznurku. Wyleczone zebra przestały boleć i Duszczyka znów mogła oddychać swobodnie, bawić

się popołudniami z małym sąsiadem, czekającym na matkę czy biegać po parku dla podtrzymania gwałtownie zniżkującej formy.

Żółte koperty z zaproszeniami na widzenia z Sekcji Międzystrefowej Biura Pośrednictwa Kontaktów już nie wpadały do mieszkania przez szparę w drzwiach i ku swojemu zaskoczeniu Duszyczka poczuła się zapomniana. Piekło wreszcie pozostawiło ją samej sobie, pozwalając budować nowe życie bez udziału poddanych Belzebuba. W drodze do pracy codziennie chodziła przed dom grafa von Holzengolzen i patrzyła na drzwi, przez które mogłaby wejść do piekła. Świadomość, że w każdej chwili może to zrobić, uspokajała ją. Liczyła, że nadejdzie chwila, za rok, czy za sto, w którym myśl o powrocie nie przyjdzie jej już do głowy.

Tego dnia siedziała w biurze, zajęta przepisywaniem listów. W maleńkiej firmie nie było pracy dla księgowej w pełnym wymiarze, więc robiła jeszcze masę innych rzeczy, była sekretarką, handlowcem, sprzątaczką i czym jeszcze było trzeba, tylko kawy ani herbaty nie chciała parzyć, więc prezes musiał się tym zajmować osobiście. Nie miał nic przeciwko temu. Dla dobrej księgowej, która zgodziła się dla niego pracować, był nawet gotów codziennie rozwijać czerwony dywan.

Kiedy zadzwonił telefon, Duszyczka akurat wymie-

niała tusz w drukarce i była zajęta rozrywaniem zębami foliowego opakowania, bo nie chciało jej się wstać po nożyczki.

– Odbierze pan? – zawołała przez zaciśnięte szczęki.

Usłyszała, jak prezes mruknął coś potakująco i po chwili dobiegł ją stuk fotela uderzającego o ścianę.

– Oczywiście... tak, natychmiast zawiadomię. Uprzejmie dziękuję... Tak, nie omieszkam... W tej chwili – jąkał się nerwowo, przestępując z nogi na nogę.

Duszyccze wreszcie udało się wyjąć pojemnik z opakowania. Odłożyła go na biurko i z zaciekawieniem podeszła do drzwi małego pokoju szumnie zwanego gabinetem. Prezes stał w dziwnym półukłonie ocierając dłonie o spodnie i wyglądał, jakby bolały go korzonki.

– Coś się stało, szefie?

Prezes wyprostował się i popatrzył na nią nie całkiem przytomnie. Duszycczka zaczęła się martwić.

– Dzwonił archanioł – zaczął i urwał.

– A oni czego znowu chcą? – zjeżyła się. – Nic nam nie mogą zrobić. Papiery mamy w porządku.

– Archanioł Gabriel – ciągnął. – Chciał, żeby pani zaraz przyszła przed główną bramę pałacu Najwyższej Hierarchii. Natychmiast. Czeka tam ktoś o imieniu Azazel... o ile nie przekręciłem – dokończył z wahaniem, ale księgowa już go nie słyszała. Była w pół drogi w dół na schodach.

Kiedy złapana przez Duszyczkę taksówka z piskiem hamowała przed Pałacem, dziewczyna wyskoczyła z niej jeszcze w biegu. Przed główną bramą stał szybko gęstniejący tłum gapiów, zasłaniając widok i choć podskakiwała, nie udało jej się nic dostrzec. Pełna zniecierpliwienia, zaczęła przeciskać się przez tłum, torując sobie drogę łokciami. Nie zważała na pełne potępienia syknięcia, póki nie dotarła do kordonu aniołów w błękitnych aureolach sił porządkowych, którzy szerokim kręgiem otaczali samotnie stojącego Azazela, pilnując, by nikt do diabła nie podszedł.

Stał bokiem do niej, patrząc w stronę Pałacu i wydawał się nieobecny duchem, zupełnie jakby otaczający go gapie nie istnieli. Ubrany był w coś co wyglądało jak długa włosiennica uszyta z używanych, jutowych worków po kartoflach, a czarne włosy miał gładko zaczesane do tyłu. W rękach trzymał bukiet pąsowych róż na nieprawdopodobnie długich łodygach. Duszyczka pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Przepuście mnie – poprosiła policjanta.

– Nie wolno.

– Archanioł Gabriel dzwonił, żebyś przysła.

Policjant roześmiał się.

– A do mnie dzwoniła Królowna Śnieżka.

Azazel, zajęty kontemplacją Pałacu, nadal jej nie do-

strzegął. Duszyczka z frustracji zacisnęła szczęki. Nawet Belzebub swego czasu nie dał rady jej powstrzymać, a co dopiero grupa przemądrzałych niebieskich. Kucnęła obok udając, że zawiązuje but, a potem wystrzeliła do przodu jak sprinter na olimpiadzie, tuż pod rozłożonymi ramionami policjantów. Stróże prawa, nieprzygotowani na taką niesubordynację, nie zdążyli jej zatrzymać.

Wpadła w pusty krąg i zatrzymała się kilka kroków od Azazela. Diabeł odwrócił się w jej stronę i uśmiechnął, ale nie odwzajemniła jego radości.

– Co ty tu robisz? – spytała surowo, nawet go nie witając.

– Dzień dobry Duszyczko. Wpadłem z wizytą.

– Nie myśl, że ci wybaczę, kiedy dasz mi jakieś kwiatki – powiedziała z przyganą. Próbowwała nieuprzejmością pokryć zaskoczenie. Diabeł nie wdawał się tym przejęty, jakby rozumiał jej pobudki.

– Nie oczekuję tego. Wiem, że zrobiłem rzecz niewybaczalną. Jestem tu w innym celu. – Azazel ukląkł na jedno kolano i wyciągnął przed siebie bukiet. – Duszyczko, wiem, że powinienem to zrobić w bardziej romantycznej scenerii, ale czy zgodzisz się zostać moją żoną?

Przez tłum gapiów przetoczył się pełen niedowierzania szmer. Duszyczka patrzyła, oniemiała. Prędzej

spodziewałaby się, że w niebiańskim Pałacu zamieszka Belzebub.

– Ciekawe, kto ci pozwolił tu wejść? – spytała głupio, byle tylko coś powiedzieć.

– Napisałem petycję do Najwyższej Hierarchii, prosząc o zgodę i wyjaśniając, w czym rzecz.

– Napisałeś...?

– No właśnie. Uzyskałem też akceptację Belzebuba i Lucyfera, poparcie sześciu archaniołów i po czterech miesiącach starań dostałem zgodę na małżeństwo z tobą. Na piśmie. Mogę ci pokazać.

Nie dodał, że drugą jego prośbę zbyto w Pałacu wyniosłym milczeniem, a i z pierwszą było wiele problemów. Poparcie obu piekielnych władców zostało drogo kupione, a archaniołowie zgodzili się niechętnie i tylko pod naciskami nieprzebiegającego w środkach Gabriela.

– Hej, dziewczyno! – zawołała jakaś kobieta z tłumu.

– Decyduj się szybciej. Jak ty nie chcesz, to ja go biorę.

– Nie wbijaj się przed kolejkę – zaśmiał się kobiecy głos z innej strony tłumu. – Myśmy tu były pierwsze.

Duszyzka za wszelką cenę starała się odwlec decyzję, która przed nią stała. Czowała, że to, co zostanie teraz postanowione, będzie obowiązywało przez resztę wieczności. Taka ostateczność wydawała się jej przerażająca.

– Włosiennica... – zaczęła i przełknęła ślinę. – Te

worki znalazłeś w Gminnej Spółdzielni?

– Wyłudziłem w Kole Gospodyń Wiejskich. Kazałem Felicji uprać i ładnie pozszywać. Spisała się, jak widzisz. Całkiem stosowny strój, jak na tę okazję.

– A róże? – Nadal trzymała ręce za sobą, jakby się bała, że Azazel może jej wcisnąć bukiet siłą. – Kupiłeś tutaj?

– Nie. Mam zgodę na spotkanie pod Pałacem i poproszenie cię o rękę, a nie na bieganie po kwiaciarniach.

– W piekle takich nie sprzedają – stwierdziła podejrzliwie.

– Ależ ja ich nie kupiłem!

– Oświadczasz się, dając mi kradzione róże?! – wykrzyknęła z oburzeniem. Po tłumie poszedł szmer dezaprobaty.

Azazel kiwnął głową. W oczach miał iskiereki, jak psotny chłopczyk, który wie, że narozrabiał, ale spodziewa się, że i tak nie zostanie za to ukarany.

– Kręcisz. U nas... to znaczy, u was w piekle na pewno takie nie rosną – starała się brzmieć autorytatywnie. Pamiętała swój ogród, w którym bez względu na wysiłki żadne rośliny nie chciały się przyjąć.

– Rosną. W oranżerii Belzebuba.

Duszyzka poczuła, jak wbrew woli, na twarzy zakwita jej coraz szerszy uśmiech.

– Ależ będzie wściekły, jak się dowie.

– Już wie.

– Zostaniesz ukarany...

– Z całą pewnością.

– Znowu zamieni cię w ziarenko piasku i będziesz przez sto lat obijał się po Saharze.

– Może się i tak skończyć – kiwnął zgodnie głową. Zdawało się, że ta perspektywa wcale go nie martwi. – Jeżeli zostaniesz moją żoną, będzie warto, a jeżeli nie...

– wzruszył ramionami. – Wtedy nie będzie mnie obchodziło, jaką karę mi wymierzy.

Wśród rosnącego tłumu rozległy się ponaglające ją okrzyki. Duszyczka zamknęła oczy i przyglądała się swojemu życiu z Azazelem i bez niego, bezskutecznie próbując podjąć decyzję. Trwało to wieczność, podczas której diabeł trwał nieruchomo, klęcząc na jednym kolanie, z bukietem najbardziej zachwycających róż, jakie widziała ludzkość. W końcu uniosła powieki i badawczo spojrzała mu w oczy, szukając kłamstwa.

– Wstań – powiedziała w końcu surowo.

Pokręcił głową.

– Dopiero kiedy mi odpowiesz, czy zgodzisz się zostać moją żoną.

– Wstań – powtórzyła, marszcząc brwi. – Wyroku słucha się na stojąco.

W tłumie zapadła pełna zaskoczenia cisza. Duszyczka czekała, aż Azazel podniesie się z klęczek i liczyła

własne uderzenia serca, a ludzie stojący za kordonem aniołów z błękitnymi aureolami niepewnie popatrywali po sobie. Diabeł stał teraz o kilka kroków od niej, uśmiechając się smutno. Czuł, że przegrał.

Duszczyka chrząknęła, próbując coś powiedzieć, ale głos ją zawiódł. Otarła dłonie o spódnicę, chcąc dodać sobie odwagi. Obrzuciła wzrokiem zastygłe w niedowierzaniu twarze ludzi, którzy jeszcze przed chwilą liczyli na szczęśliwe zakończenie i, patrząc w czarne oczy Aza-zela, skoczyła do przodu jak w studnię.

Diabeł złapał w pół biegnącą ku niemu, roześmianą dziewczynę i triumfalnie uniósł w górę na wyprostowanych rękach, jakby całemu światu chciał pokazać swoje szczęście. Czerwone róże, duma Belzebuba, rozsypały się po marmurowych płytach chodnika, ale ich dwoje widziało tylko siebie nawzajem. Świat się zatrzymał, gdy powoli opuszczał ją w dół, aż objął mocno, a Duszczyka wtuliła twarz w zagłębienie ramienia, trzymając go za szyję, jak małe dziecko.

Tłum zaczął wiwatować i obcy ludzie klepali się radośnie po plecach, ciesząc się z cudzego szczęścia, choć przecież w najmniejszym stopniu ich nie dotyczyło. Brawa odbijały się echem na dziedzińcu.

W oknie na najwyższym piętrze Pałacu na moment mignęła uśmiechnięta twarz mężczyzny w wąskiej, złocistej aureoli.

Kancelista stał przy drzwiach w prywatnym gabinecie Najwyższej Hierarchii i czekał na papiery z klauzulą natychmiastowej wykonalności. Jego zadaniem było odnoszenie ich do wewnętrznego sekretariatu i bezwzględne nadawanie biegu. Pracował tu od dziesięcioleci, bo znakomicie umiał wyczuwać nastroje i odgadywać życzenia, nawet zanim jego pan je sobie uświadomił, jednak tym razem najwyraźniej różnił się w opinii od szefa.

Na biurku od kilku dni leżała w teczce ciągle nierozpatrzone druga petycja Azazela, pisemna zgoda na nią Belzebuba z odciskiem jego oficjalnej pieczęci i kilka kartek, na których archaniołowie wyrażali swoje poparcie dla tego szalonego i głupiego pomysłu. Nie rozumiał, jakim pokrętnym sposobem Azazel wszedł w ich posiadanie. Tego ranka kolejny raz ze wstrętem dotykał papierów, które przyszły z piekła i z niechęcią myślał, że będzie musiał je z powrotem odnieść do sekretariatu. Papiery wędrowały tak codziennie, a szef zwlekał z decyzją. Kancelista nie rozumiał, nad czym się tu namyślać. Nie można przecież stwarzać precedensu!

Czekanie przeciągało się i nagle w ciszy gabinetu rozległo się nieregularne i przerywane bębnienie palcami o biurko. Decyzja musiała być trudna, bo podobny dźwięk kancelista słyszał raz na kilka lat, ale nie wąt-

pił, że będzie odmowna. Już zgoda na ślub diabła była niesłychana, a co dopiero to! Kto to słyszał, żeby diabły miały dzieci?! Dzieci! Nawet archaniołom nie było to dane, a tu nagle księżę piekiel prosi o to dla siebie i żony. Co za tupet! Kancelista aż cicho sapnął z dezaprobatą.

Pełne potępienia rozmyślania o niesłychanej bezczelności, jakiej dopuścił się Azazel, przerwał stuk pieczęci. Klamka zapadła i petycja została odłożona do czerwonej przegródki dla decyzji o natychmiastowej wykonalności. Anioł podbiegł bezszelestnie i chwycił kartki, nie okazując, jak bardzo ich dotyk go mierzi. Ku jego bezbrzeżnemu zdumieniu, zamiast kategorycznej i wyniosłej odmowy, na petycji widniało jedno zdanie: „Wyrażam zgodę, o ile jego żona też tego pragnie.”

Machina ruszyła, ale Duszczyka i Azazel mieli się o tym dowiedzieć dopiero za kilka tygodni.

KONIEC

NEXTO

Zamówienie numer: 2251916

Email: biuro@koobe.pl